



WYDAWNICTWO
**STARA
SZKOŁA**



**MILOŠ ČERMÁK
LUDEK STANEK**

NAJLEPSZY CZESKI STAND-UP

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

NAJLEPSZY CZESKI STAND-UP

**MILOŠ ČERMÁK
LUDĚK STANĚK**





Miloš Čermák

PROLOG

Przyszedł Bóg do kawiarni na Karlinie

Przyszedł Bóg do kawiarni na Karlinie. Nie miał najlepszego dnia. Kiedy usiadł, podszedł kelner i spytał, co podać. W kawiarniach na Karlinie zazwyczaj nie obsługują kelnerzy. To znaczy nie prawdziwi kelnerzy. Ci ludzie wyglądają raczej jak malarze, którzy zostawili w domu rozpoczęty obraz. Albo pisarze, którzy w schowku na miotły piszą książkę. I tak po prostu przechodzili przypadkiem między stolikami i pomyśleli: „A może by tak obsłużyć kilka osób?”.

Tak wyglądał również kelner, który przyszedł obsłużyć Boga. Miał włosy spięte w kucyk, wypiełgnowaną brodę i szelki.

– Co podać? – spytał.

– Napiłbym się kawy – powiedział Bóg obojętnie.

W kawiarniach na Karlinie zawsze wypowiada się nazwę tego napoju z nabożnym akcentem. Kelner wspaniałomyślnie puścił gafę Boga mimo uszu.

– Świetnie, a jaką kawę? Ma pan wielkie szczęście, bo dziś za ladą stoi zdobywca drugiego miejsca w konkursie na baristę roku. Ukończył siedem prestiżowych kursów parzenia kawy, łącznie z kursem łączącym przygotowanie kawy cywetowej z robieniem wegańskich słodczy.

Bóg nie miał nastroju na pierdoły.

- Co podać? – powtórzył pytanie kelner.
- Duże ekspresso z mlekiem – odparł Bóg.

Może i Bóg jest wszechmogący, ale w odróżnieniu od obiegowej opinii nie jest wszechwiedzący. Nie wie zatem, ile debat przeprowadzono u nas na temat „ekspresso” przez ostatnie dwadzieścia lat.

A także na temat skarpetek w sandałach, ale o tym nie będziemy teraz mówić.

Kelnerowi stwardniały rysy twarzy. Powiedział:

Jak pan na pewno wie, nie istnieje nic takiego jak ekspresso, a tym bardziej jak duże ekspresso. Może czytał pan informację napisaną kredą na naszej tablicy, że dziś podajemy kawę przygotowaną z sześćdziesięciu ośmiu ziarenek kawy kenijskiej z górnej części płaskowyżu. Jak wiadomo, kawa ta posiada w spektrum smaku łagodną kwaskowość w prawym górnym rogu. A ta kwaskowość, jak również wiadomo, niezbyt dobrze łączy się ze smakiem mleka.

Zaskoczony Bóg zamrugął. Nie był pewien, czy nadaża za tymi informacjami.

Kelner spojrzał na niego i dodał jeszcze:

- Dlatego polecam panu lungo.

Jak już wspomniałem, Bóg nie miał nastroju na pierdoły.



Oczywiście mógł tego kelnera zabić na miejscu. Klasycznie, poprzez uderzenie piorunem. Nikt nawet nie wszcząłby śledztwa, a jako oficjalną przyczynę podano by wyładowanie elektryczne spowodowane na przykład awarią ekspresu.

To wyjaśniłoby całą sprawę, a Bóg skoczyłby na kawę na przykład do McDonald's, gdzie nie robią z jej przygotowaniem takich ceregieli.

Lecz sytuacja była dużo poważniejsza. Staromodna błyskawica by tego nie załatwiła.

Coś się w Bogu złamało. Już długo okazywał cierpliwość ludzkości. A nawet był z niej dumny. Bo doleciała na Księżyc, nauczyła się przeszczepiać serca i wynalazła penicylinę. Albo iPhone'y i masło czekoladowe.

Ale jednocześnie ludzkość Boga wkurzała. Globalnym ociepleniem, zabijaniem słoni czy wynalezieniem tofu i piwa bezalkoholowego.

Dziś słowa kelnera przelały czarę goryczy.

Bóg postanowił raz na zawsze skończyć z ludzkością. Wstał od stołu, odepchnął tego głupka z kucykiem i wyszedł na szeroką ulicę Karlina. Przed kawiarnią potknął się o różową hulajnogę, którą zaparkował tam kelner.

I właśnie w ten sposób my, ludzie, straciliśmy Boga. Jeszcze tego dnia wieść o tym rozniosła się po całym wszechświecie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Dziesięć powodów, dla których jeszcze nie wszystko
stracone, gdy wstajecie rano i orientujecie się, że
jesteście w średnim wieku**

1.

Już nie musicie dobrze wyglądać

W średnim wieku wyglądacie całkiem nieźle, choć nigdy wcześniej nie wyglądaliście dobrze. Kiedy jest się młodym, wygląd to jedyna naprawdę istotna rzecz. Oczywiście, że każda dziewczyna mówi, że szuka kogoś godnego zaufania, dobrego i inteligentnego.

W tej kolejności.

Może nawet naprawdę szuka kogoś takiego. Ale sypia z przystojnymi, bogatymi i umięśnionymi facetami.

W tej kolejności.

Kolejność na dwóch pierwszych miejscach może ulec zmianie, szczególnie jeśli w grze będzie naprawdę poważna kasa.

Poza tym jeśli ma się kasę, wygląda się dobrze. Nawet jeśli nie wygląda się dobrze. Pieniądze są pod tym względem trochę podobne do wieku średniego. Ale o tym będzie jeszcze mowa.

Kiedy jest się nastolatkiem albo ma się dwadzieścia czy na przykład trzydzieści lat, ale jeszcze nie czterdzieści, wygląd jest ważny. Kropka.

Dziesięć procent ludzi wygląda źle. Źle, czyli bez nadziei na poprawę, nieodwracalnie i definitywnie. Wszyscy znamy takich ludzi. Powinni

wywoływać w nas współczucie lub sympatię, ale tak naprawdę wywołują tylko żal. To smutne, ale nie można nic na to poradzić.

Nie musi to znaczyć, że przeżyją oni życie samotnie i że na przykład nigdy nie będą uprawiać seksu. Czasem łączą się w pary, ona i on z tych wspomnianych dziesięciu procent, choć z punktu widzenia jakości populacji jest to niebezpieczne.

Powinniśmy dbać o to, żeby brzydcy ludzie odnosili sukcesy finansowe, bo to pomoże im zdobyć partnerów z innych grup wyglądu. Dzięki temu jakość populacji się poprawi. Ale szczerze mówiąc, jeśli wygląda się źle, trudno jest nie tylko znaleźć partnera seksualnego, lecz także zarobić pieniądze.

Można je na przykład odziedziczyć, tylko pytanie, czy w takim przypadku przodkowie nie będą woleli przeznaczyć swojego majątku na wznioślejsze cele.



No to brzydkich mamy omówionych.

Osiemdziesiąt procent społeczeństwa wygląda jako tako. Anglicy powiedzieliby *managable*. Po prostu można coś z nimi zrobić. Wiadomo co. Kobiety malują sobie co rano nową twarz. Mężczyźni się myją. Jak to się mówi, robimy się na bóstwo.

Ludziom z przeciętnym wyglądem również pomagają pieniądze, choć w ich przypadku nie musi być ich aż tak dużo. Wśród tych dolnych dziesięciu procent szansę mają tylko dolarowi miliarderzy, natomiast w osiemdziesięciu procentach szerokiej przeciętności punktuja nawet dolarowi milionerzy, a nawet milionerzy złotychkowi.

Pozostaje dziesięć procent tych, którzy wyglądają dobrze. Po prostu cholernie dobrze. Nie trzeba tego bardziej wyjaśniać. Oni to wiedzą, wy to wiecie, wszyscy to wiemy.

Są to ludzie, u których widzicie, że wyglądają dobrze, chociaż są tej samej płci co wy, a wy jesteście heteroseksualni. Są tak ładni, że po prostu nie można się pomylić. To się wie.

Koleżanka pyta mnie:

– Słuchaj, co myślisz o tym nowym chłopaku z marketingu?

Odpowiadam:

– Którym?

Ona:

– No o tym przystojniaku!

To mnie wkurza, nie lubię, kiedy u nas w pracy mówi się o innych facetach, że są przystojni. Ale opanowuję się, odrzucam pokusę doniesienia do kadr, że koleżanka jest seksistką i traktuje przedmiotowo płęć przeciwną, po czym mówię zdziwiony:

– Którym?

Ona, już lekko poirytowana:

– No tym ze świetną fryzurą i brodą. Co nosi te obcisłe dzinsy.

Mówię:

– A, TEGO masz na myśli?

Oczywiście przez cały czas wiedziałem, kogo ma na myśli, a ponieważ zrobiłem z tego takie banalne przedstawienie, ona też już wie, że wiem.

– Tak, TEGO.

Patrzy na mnie, jakbym zazdrościł mu, że jest przystojny. I owszem, zazdroszczę. Gdybym mógł, zabiłbym go. Zarozumiałego, przystojnego i wypachnionego pięknisia. Z drugiej strony – ja też wolę patrzeć na ładnego człowieka niż na wspomnianych osiemdziesiąt procent normalnie wyglądających ludzi. O dziesięciu procentach brzydkich nawet nie wspominam.

Nie jestem homoseksualistą. Mówi się, że orientacja seksualna nie jest binarna, że nie jesteśmy jedynekami lub zerami, bo każdy człowiek znajduje się gdzieś pomiędzy zerem a jedynką. Że w każdym facecie jest większy lub mniejszy procent kobiety i na odwrót.

No, nie wiem, ja tak nie uważam. Jestem jedynką albo zerem, zależy jak je zdefiniujemy, ale nie sądzę, żebym miał w sobie jakąś ukrytą kobietę. A jeśli już, to lesbijkę.

Ale umiem sobie wyobrazić, że obejmuję na przykład takiego Davida Beckhama. Albo że idę z nim do sauny. I to bynajmniej nie dlatego, że chciałbym mu wcisnąć siusiaka w pupę. To nie przyszło mi do głowy nawet na milisekundę.

Po prostu jego nagość by mnie nie uraziła. Nie przeszkadzałaby mi.

Przeszkadzałaby mi dużo mniej niż to, że kiedy siedzę w niedzielę w naszej wioskowej restauracji, obok mnie przejeżdża rowerzysta w takim stroju kolarskim, który wygląda jak błyszcząca, plastikowa prezerwatywa naciągnięta na ciało.

Rowerzysta przejeżdża obok, a ja widzę, że w obcisłe spodenki ma wciśniętego fiuta, tak w poprzek, żeby nie przeszkadzał mu w pedałowaniu, ja jem rosół wołowy lub polędwicę na śmietanie, czuję się odświeżenie

i miło... A on dwadzieścia centymetrów od mojej głowy mknie z tym swoim ptaszkiem.

Nie znam nic straszniejszego.

Natomiast w nagości Davida Beckhama jest antyczne piękno i doskonałość. I to dotyczy tych dziesięciu procent niezaprzeczalnie pięknych ludzi. Niezależnie od płci. Nas, pozostałych, ich piękno przyciąga, niepokoi i śmieje się nam w twarz.

Bo boleśnie uświadamiamy sobie to, że my nigdy nie będziemy tak wyglądać.

Do czterdziestki ci ludzie królują światu. Niszczą nam życie, są chodzącymi dowodami naszej niedoskonałości i brzydoty.

A potem dzieje się TO.

Jak wyjaśnić tę zmianę najprościej?

Gdy przez całe życie macie twarz jak tyłek, a po czterdziestce zrobi się z niej pomarszczony tyłek, nie robi to nikomu aż tak wielkiej różnicy.

Ale kiedy wyglądacie jak David Beckham, a po czterdziestce wasza twarz zmienia się nagle w pomarszczony tyłek... notujecie porządny zjazd.

Dziękujemy za to wiekowi średniemu.

Dla jasności, żeby nie doszło do nieporozumienia. Owszem, David Beckham prawdopodobnie nawet po osiemdziesiątce, jeśli dożyje, będzie wyglądać lepiej, niż dziewięćdziesiąt procent z nas wyglądało w dniu osiemnastych urodzin.

Ale po prostu różnica nie będzie już taka duża.



2.

Nie musicie już ciągle myśleć o seksie

To nie znaczy, że w ogóle o nim nie myślicie. Według statystyk mężczyzna między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia myśli o seksie co osiemnaście minut. Ale z tego wynika, że w przerwach ma piękne siedemnaście minut, podczas których może myśleć o czymś innym.

Na przykład o jedzeniu. Już się wam nie zdarzy, że za każdym razem, gdy zamkniecie oczy, będziecie widzieć rozwartą, lśniąco piękną i powabnie wilgotną kobiecą waginę, która swoim wewnętrznym głosem... nie wiedzieliście, że waginy mają głos wewnętrzny...? Zatem ta wagina swoim wewnętrznym głosem mówi:

– Chciałbyś mnie, co? I to bardzo, prawda? Ha ha ha!

Zapomnij o tym, koleś! O mnie zapomnij!

W średnim wieku widzicie za zamkniętymi oczami... sam nie wiem... na przykład hot doga. Parówkę w słonym, chrupiącym rogaliku, trochę wysuniętą, lśniąco piękną. A ta parówka mówi:

– Możesz mnie mieć, kiedy tylko zapragniesz! Wystarczy, że wyjdiesz z mieszkania, zejdziesz po schodach na ulicę i kupisz mnie sobie w budce za rogiem. Z keczupem lub z musztardą, jak tylko zechcesz! I możesz mnie od razu schrupać.



Wagina nigdy nie powie wam nic podobnego. Nawet w waszych wizjach.

Nie musicie już myśleć o seksie, kiedy wsiadacie do tramwaju.

Gdy miałem szesnaście lub siedemnaście lat, tramwaj i autobus to były miejsca, w których najczęściej uprawiałem seks. Wsiadałem na przykład do autobusu nr 144 na pętli, ważne było, by zająć dobre miejsce. Wygodne i z widokiem, po prostu odpowiednie do seksu.

Oczywiście seksu mentalnego.

Radar w głowie we współpracy z innymi narządami natychmiast informował mnie, gdzie siedzi w autobusie najpiękniejsza kobieta. I przystępowałem do akcji.

Istotne było jeszcze to, czy jestem w romantycznym nastroju, mrugnięcie, mrugnięcie, długie, wyczekujące spojrzenie, potem przymknięcie oczu, rozpaczliwe zerknięcie przez okno, rozpaczliwe spojrzenie znów na nią, mrugnięcie, mrugnięcie i znów od nowa. I tak w kółko, z lekkimi wariacjami.

Zazwyczaj rozstawaliśmy się tam, gdzie większość pasażerów autobusu przesiadała się na metro. To znaczy nie ZAZWYCZAJ, tylko ZAWSZE. Każdej z nich posyłałem jeszcze jedno przeciągłe, smutne spojrzenie mówiące, że mogliśmy chodzić długimi godzinami po parku i trzymać się za ręce, potem wziąć ślub, mieć mnóstwo dzieci i umrzeć w tej samej

chwili w wieku osiemdziesięciu lat na ławeczce przed domem. Nad brzegiem jeziora.

Ale zanim metro dojeżdżało do kolejnej stacji, już byłem zakochany w najpiękniejszej kobiecie w wagonie metra. Jeździłem zazwyczaj do centrum, trzy stacje, więc nie mogłem marnować czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Kiedy ma się szesnaście lat, żyje się teraźniejszością i dużo bardziej przyszłością.

A czasem nie miałem nastroju romantycznego, tylko żywiołowy.

– Nie próbuj ze mną tych zakochanych spojrzeń, dziewczynko. Zaraz nadzieję cię na swój ruszt!

Coś w tym stylu. Wyobrażałem sobie, jak to robimy. W różnych pozycjach i na różne sposoby. Zmysłowo, wręcz wulgarnie.



Uf, jeszcze dziś na samo wspomnienie pocę się trochę na plecach. Z drugiej strony – wtedy nie istniał jeszcze Internet, a pornografią było dla nas wszystko, poczynając od obrazków neandertalskich kobiet z odsłoniętymi piersiami, a kończąc... właściwie zaczynało się to

i kończyło na tych obrazkach. Lata osiemdziesiąte, czego się spodziewaliście? W sumie najbrutalniejszą wizją, jaką miałem w autobusie lub w metrze, było to, że współżyję z tą kobietą na misjonarza.

A ona w pewnej chwili wzdychała:

– Ach!

Dziś dzięki swemu doświadczeniu życiowemu (tak, każdy oglądanie pornografii nazywa inaczej) potrafię sobie wyobrazić seks na tysiąc różnych sposobów. A kiedy wsiałam do autobusu, oczywiście natychmiast atakuje mnie najpiękniejsza kobieta w autobusie.

„Atakuje” w tym sensie, że tam siedzi, a ja ją dostrzegam. Patrzy na mnie, w moich wizjach zmysłowo, wręcz wulgarnie.

Czuję to. Nawijujemy kontakt wzrokowy.

Zerznij mnie, zerznij mnie, zerznij mnie, czytam w jej oczach. (Nie twierdę, że jestem doświadczonym tłumaczem kobiecych spojrzeń, więc traktujcie to raczej jako moją autorską interpretację... ale rozumiemy się).

– No nie wiem – mówię, oczywiście w duchu. – Nie jestem akurat w nastroju. – Też w duchu. – Gdybym wiedział, zażyłbym Viagrę! – próbuję tonem pełnym wyrzutu, wciąż w duchu. – Może po prostu porozmawiamy?

To nie jest porażka. Ta kobieta oczywiście niczego nie podejrzewa i wysiada na kolejnym przystanku. Siedzę i wyglądam przez okno, szczęśliwy mężczyzna w średnim wieku.

3.

Nie musicie już ciągle uprawiać seksu

Możecie, ale nie musicie. To wielka ulga, po tych wszystkich latach ciągłego uganiania się za spódniczkami.

Życie płciowe ma różne fazy i szczerze mówiąc, żadna nie jest idealna.

Najpierw nie macie z kim. Potem nie macie gdzie.

A kiedy już macie z kim i macie gdzie, to nie macie kiedy. I już nie zawsze się chce. Ale jeśli macie dwadzieścia czy trzydzieści lat, nigdy się do tego nie przyznacie.

Udajecie, że nie myślicie o niczym innym oprócz wszystkich możliwych kobiet, łącznie z żoną. To szalona presja.

Kiedy macie dzieci, nie wybieracie odpowiedniej chwili na seks. Nie czekacie, aż pojawi się odpowiedni nastrój, żona włoży TEN szlafroczek (tak, TEN, który wygląda trochę jak z filmu porno) i oboje będziecie trochę wstawieni. Nie, w tym okresie życia odpowiednia chwila na seks wybiera sobie was. Na przykład kiedy odwozicie dzieci do babci mieszkającej w bloku przynajmniej na piątym piętrze, w drodze powrotnej zdążycie z żoną machnąć jeden numerek już w windzie.

Nie jest to najlepszy seks roku... ale kto was pytał o zdanie? Po prostu tego się od was oczekuje.

W średnim wieku macie z kim, macie gdzie i macie kiedy. Jedyna różnica polega na tym, że niczego się już od was nie oczekuje. A to wielka ulga.

Między wami i żoną nie działa to już tak, że jedno spogląda na drugie i w sumie nieistotne, czy wy na nią, czy ona na was, bo oboje wiecie, że „czas brać się do pracy”.

Działałoby, ale przecież jesteście już dorosłymi ludźmi i podchodzicie do tego rozsądnie.

– Kochanie, ty chyba nie masz ochoty...? – pytacie figlarnym, ale też trochę napiętym głosem.

– Mam – odpowiada żona, bardzo nieprzekonująco.

– Naprawdę? – wy jakby zdziwieni, z niedowierzaniem.

– Tak – mówi żona jeszcze mniej przekonująco niż przedtem. A potem dodaje: – Ale chyba tobie zbytnio się nie chce.

Zdecydowanie kręcicie głową, że to bzdura. Ale musicie przyznać, że to też nie wygląda zbyt przekonująco.

– Mnie się chce!

– No mi też!

To mówi żona, ale w jej głosie słyszycie cały smutek i nieszczęścia świata, więc ostrożnie, pełni zrozumienia i empatii, wyszeptujecie to zdanie.

– Słuchaj, a może otworzymy wino i włączymy sobie jakiś film?

Prawie nie zdążyliście dokończyć, a żona już z ulgą:

– No dobrze.

Jak wspomniałem wcześniej, nie znaczy to, że współżycie przestało być dla was ważne. Będziecie współżyć sporo i zazwyczaj będzie to lepsze niż w tych pełnych stresu latach rzekomo ociekających seksem.

W średnim wieku również co jakiś czas wyobrażacie sobie seks z obcymi kobietami mijanymi na ulicy, widywanymi na spotkaniach służbowych.

Właściwie jest lepiej niż wcześniej. Bo w wieku trzydziestu lat istniało straszliwe ryzyko, że te wizje MOGŁY się urzeczywistnić. A w przypadku mężczyzn-łowców nawet ciśnienie, że POWINNY się urzeczywistnić.

TO nie zdarzało się w 99,9% przypadków, ale utrzymywało w ciągłym napięciu. Trochę jak oglądanie horroru w opuszczonym domu na odludziu.

W średnim wieku macie luzik, bo wiecie, że nie wydarzy się nic z tych rzeczy. Jest to podniecające, a jednocześnie bezpieczne i miłe. Jak oglądanie horroru w domu pełnym ludzi.



4.

Już was nie smuci, że nie dostaniecie Nagrody Nobla

I że nie zdobędziecie złotego medalu olimpijskiego, nie polecicie w kosmos i nie zostanieie prezydentem.

Na niektórych z tych rzeczy nawet wam nie zależy. Kiedy byłem mały, chciałem dostać Nagrodę Nobla.

Najlepiej w dziedzinie matematyki, ale taka nie jest przyznawana, i to mnie wkurzało. Lecz byłem pogodzony z Noblem z fizyki, ewentualnie nawet z chemii. One były jeszcze na poziomie.

Natomiast Pokojowa Nagroda Nobla wydawała mi się przypałowca.

– Szanowni Państwo, pozwólcie, że przedstawię Miloša Čermáka, laureata Pokojowej Nagrody Nobla.

Po takim zdaniu może nastąpić tylko pogardliwy uśmieszek.

W tłumie niesie się szum.

– Poważnie? On dostał POKOJOWĄ Nagrodę Nobla? – Kręcenie głową z niedowierzaniem. Spojrzenia pełne współczucia. – Po prostu nie był wystarczająco mądry na nagrodę z fizyki lub chemii, więc dali mu chociaż tę pokojową – podsuwa ktoś najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

– A co trzeba zrobić, żeby dostać taką nagrodę?

– Eh... tam nie ma żadnych wymagań.

Jako chłopak po prostu tego nie rozumiałem. Przeczytanie listy laureatów też wcale mi nie pomogło. Wydawało się, że można zrobić cokolwiek. Że to właściwie bez znaczenia.

Kiedy ma się pięć, sześć lat i robi się plany na resztę życia, potrzebne są dokładniejsze informacje.

Sceptyczny byłem również wobec Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Wprawdzie od czwartego roku życia chciałem być pisarzem, ale wydawało mi się to dość tanie. Szczególnie kiedy dowiedziałem się, że Hemingway dostał Nobla za *Starego człowieka i morze*.

Znalazłem tę cieniutką książeczkę w biblioteczce rodziców i przeczytałem ją. Czytanie Hemingwaya w drugiej klasie podstawówki nie jest najlepszym pomysłem. Lektura napełniła mnie wieloma sprzecznymi uczuciami.

Pierwszym było wzburzenie zmieszane ze zdziwieniem.

– Serio? Za TAKIE COŚ dają Nobla?

Jakiś staruszek idzie na ryby, w dodatku żadnej nawet nie łowi.

– No sorry, ale takie coś napiszę bez problemu w każdej chwili!

Drugim było przyjemne zadowolenie. Albo samozadowolenie.

– Jeśli za TAKIE COŚ dają Nobla, mógłby to być mój plan B. Jeśli nie wyjdzie z fizą i chemią. Po prostu kiedyś po pięćdziesiątce napiszę jakąś podobną bzdurę.

Kiedy macie już więcej niż pięć, sześć czy nawet siedem lat, i czas radykalnych poglądów macie już za sobą, zaczyna się czas kompromisów.

Aż w pewnej chwili machacie ręką nawet nad tym Noblem w dziedzinie literatury.

Zrozumiecie, że Nagroda Nobla i tego typu wyróżnienia nie są aż takie ważne. Że to tylko ulotne, pocieszające sreberko. Że dostają je dziwni ludzie i że serio trzeba się na to poważnie napocić.

A poza tym na pewno są ustawione, przecież wiemy, jak działają te organizacje non-profit. Interesują się tylko same sobą.

(– Jarek, kopsnij nam tu jeszcze z baru trzy piwka!)

Nie wspominając już o tym, że te medale i nagrody są strasznie przypałowe. Sami spójrzcie na tych, którzy wciąż za nimi gonią. To dziwacy niemający pojęcia o życiu.

(– I trzy pięćdziesiątki!) Prawda?

Witajcie w średnim wieku.



5.

Już nie zależy wam na tym, żeby wszyscy was lubili

Nie jestem małomiasteczkowy. Jeśli spytacie mnie, czy lubię oryginalność i niekonwencjonalnych ludzi, oczywiście przytaknę z zachwytem.

Boże, któż by nie lubił?

Może nawet wspomnę, że bardzo podobało mi się na przykład w takim San Francisco, gdzie można na ulicy spotkać gołego faceta tylko w czerwonych stringach i na wrotkach... i żaden miejscowy nawet się za nim nie obejrzy.

Albo dwóch transwestytów w kolorowych strojach z ptasich piór.

Albo po prostu kogoś innego, dumnie i wyzywająco demonstrującego swoją odmiennność.

Ale kiedy wsiadam u nas do tramwaju, a na końcu za siedzeniami stoi wyrostek w czarnym ubraniu, z dziurami na kolanach, z dziurami w uszach i z dziurą w nosie (okrągłe kolczyki w brwiach wolę przemilczeć), nie pytajcie, jakie myśli przelatują mi przez głowę.

(– Nie gap się tak na mnie, chłopczyku. Gdybyś był moim synem, powiesiłbym cię za te kolczyki na karniszu zamiast zasłon!).

Patrzemy na siebie, w moich oczach lśni jawna nienawiść. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Wyrostek spogląda na mnie trochę pustym, a trochę obojętnym wzrokiem. (A przynajmniej tak mi się wydaje).

To oczywiście wkurza mnie jeszcze bardziej. (– Te dziurawe spodnie są naprawdę żalosne!).

Na kolejnym przystanku schyla się po torbę i podchodzi do drzwi. Kiedy się rusza, dźwięczy mu łańcuch przy spodniach.

– Przepraszam – mówi, bo stoję mu na drodze.

Ale mnie swoją udawaną uprzejmością nie oszuka. Wyraźnie wyczuwam skrywany za nią ironiczny uśmiech. Cofam się o pół kroku, ale minę mam wciąż nieprzyjazną.

Kiedy chłopak stoi już przy drzwiach, odwraca się do mnie. Jego oczy natrafiają na moje lodowate spojrzenie.

– Czy pan przypadkiem nie nazywa się Čermák? – pyta. Zanim zdążę odpowiedzieć, dodaje zwięźle i chłodno: – Ma pan dość zabawne posty na Facebooku!

Próbuję złapać oddech. Tymczasem chłopak wysiada razem ze swoją obojętną, nieobecną miną.

Ale czy poprawnie wyczytałem to z jego twarzy? A jeśli nawet, czy zasłużył na moją nieprzyjazną reakcję?

Wstydzę się.

Myślę:

– Ciekawy chłopak! Oryginalny i spostrzegawczy. A przede wszystkim nie boi się mieć własnego zdania!

Tak to po prostu działa. Oczywiście nikt nie jest tak prosty, by pochwały innych wpływały na jego własny osąd. Chociaż... to trochę bardziej skomplikowane.

*

Kiedy ktoś mówi: „Słuchaj, ja naprawdę nie dbam o to, co myślą o mnie inni!” – najprawdopodobniej kłamie. Szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy obnażamy się w mediach społecznościowych.

Wszyscy jesteśmy celebrytami w naszych społecznościowych bańkach.

Jako dziennikarz jestem po wszystkich tych latach zahartowany. Ale i tak. Kiedy dostaję e-mail zaczynający się od słów: *Szanowny panie, przeczytałem pański artykuł...* – zamieram.

Ale jednocześnie jestem dzieckiem Facebooka, na którym nie ma wrednych ludzi, bo już ich wyrzuciłem ze znajomych i zablokowałem, więc w głębi duszy spodziewam się kontynuacji w stylu: *i muszę przyznać, że świetnie się ubawiłem!* Albo: *rechotałem jeszcze następnego dnia!* Ewentualnie: *jeśli napiszę, że tym tekścikiem całkowicie zmienił Pan moje życie, nie będzie w tym ani grama przesady!* Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze.

– Ależ proszę nie przesadzać – mówię półgłosem i wyczarowuję na wargach przyjazny i jednocześnie skromny uśmiech, tak jakby ten fan siedział naprzeciwko mnie.

Gorzej, jeśli kontynuacja będzie tak naprawdę brzmieć inaczej. Zupełnie inaczej. Na przykład: *i chcę Pana tylko poprosić, żeby, o ile to możliwe, palnął Pan sobie kulkę w łeb lub zabił się w jakiś inny sposób, a jeśli postanowi Pan tego nie robić, to przynajmniej proszę nie pisać już do gazet.*

Następuje *Z poważaniem*, nazwisko i adres. Jest to adres jakiejś firmy, a żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości, wiadomość została wysłana

ze służbowego e-maila. Po prostu prawdziwa reakcja prawdziwego człowieka.

I jednocześnie prawdziwy cios poniżej pasa.

Gdyby ten człowiek miał w sobie choć tyle grzeczności, żeby się nie podpisywać. I naszpikować swoją wiadomość wyzwiskami. Mógłbym powiedzieć: *Sorry, ale nie zamierzam zajmować się jakimiś anonimowymi wulgaryzmami!*

Ale nie, on się bezczelnie podpisał.

Boże, czy na świecie naprawdę istnieje człowiek, który chce, żebym postrzelił się w głowę? Który życzy mi czegoś ZŁEGO?

Reality check, jak mawiają Anglicy. Wróćmy do rzeczywistości. Owszem. Na świecie istnieje mnóstwo ludzi, którzy nas nie lubią albo wręcz nie znoszą. Szczególnie jeśli robimy coś publicznie. Wtedy możliwe, że jest ich całkiem sporo.

Ciekawe, jak takie odkrycie wwierca się w głowę i nie daje człowiekowi spać.

W odróżnieniu od odkrycia, że na świecie są ludzie, którzy was szanują i lubią.

Po otrzymaniu pochwalnej wiadomości od fana podniosły nastrój towarzyszy mi przez dwie, może trzy minuty. To coś miłego i zna to każdy, kto prowadzi swoje konto na Facebooku. Jak gdy dostaje się lajka.

Ale nie zajmujecie się tym długo. Raczej bąkniecie coś do siebie ze skromną sympatią: *Ale gdzie tam, proszę nie przesadzać! Nie jestem aż tak genialny! Przecież po prostu napisałem to, co myślę.*

Podświadomie trochę czujecie, że może jesteście TROSZKĘ genialni, ale jednocześnie wiecie, że geniuszom jest do twarzy ze skromnością.

Sytuacja całkowicie się zmienia, gdy ktoś wam napisze, że jesteście idiotami. Uważacie to za nieporozumienie.

– Może ten człowiek po prostu mnie nie zna! Bo w przeciwnym razie jak mógłby mnie nie lubić?

Albo:

– Może akurat miał kiepski nastrój, w takich przypadkach można z łatwością nie docenić tekstu tryskającego oryginalnym humorem i nowatorskimi pomysłami!



Po prostu szukacie tysiąca i jednego powodu, dla których ten człowiek napisał coś tak OHYDNEGO. A może nawet tysiąca i dwóch powodów albo wręcz tysiąca i trzech powodów.

Umyka mi tylko jeden jedyny prawdopodobny powód. Że ten człowiek napisał mi to dlatego, że naprawdę uważa mnie za kiepsko piszącego głupka. To uważam za całkowicie nieprawdopodobne, wręcz wykluczone. Mam wielką ochotę przekonać go, że się myli i że w rzeczywistości jestem dowcipną i charyzmatyczną osobą. Że gdybym naprawdę strzelił sobie w głowę, byłoby to nieskończonym grzechem.

Siadam i piszę: *Szanowny Panie, z przyjemnością odstrzelę sobie głowę, haha, ale pomyślałem, że wyślę Panu linki do kilku kolejnych artykułów, może się Panu spodobać i uzna Pan mój odstrzał za zbyteczny!*

Po prostu prawie włożę w tyłek komuś, kto wyraźnie, bez żadnych emocji i po namyśle napisał, że według niego moja praca nie jest nic warta.

To typowe, ale jednocześnie nielogiczne. Paradoksalnie więcej uwagi i energii poświęcamy w życiu tym ludziom, których nie interesujemy lub którzy nas nie lubią, a nie pozostałym. Nie dostrzegamy, że pewnie ze swojego punktu widzenia mają do tej niechęci dobre powody. I że naiwnością jest myślenie, że kiedy zaczniemy walczyć o ich sympatię, te powody znikną.

Lecz my wierzymy, że się uda.

Szczególnie kiedy na powyższy e-mail z propozycją ugody dostaję odpowiedź. Brzmi: *Zgoda, proszę nie strzelać sobie w głowę i po prostu iść w cholerę!* To bardzo mnie cieszy.

– No proszę, wygląda na to, że wszystko jest na dobrej drodze!

Nie jest. A im szybciej pogodzimy się z tym, że niektórzy ludzie nas nie lubią, tym lepiej dla wszystkich.

Dużo logiczniejsze byłoby skupienie się na tych, którzy nas lubią. Dotyczy to i życia, i pracy. W przypadku tych ludzi jest szansa, że kupią nasze książki, przyjdą na nasze występy i zareklamują nas wśród swoich znajomych.

Ale my mamy ich gdzieś, bo przecież ich mamy pewnych.

– Jasne, możesz mnie kochać, tylko nie zwracaj mi tym zbytnio głowy.

To głupie i krótkowzroczne. Ale cóż zrobić, wydaje się nam, że TO się nam uda.

– Co mamy zrobić, żebyście choć trochę nas polubili? Chociaż troszeczkę?!

Kiedy człowiek jest młody, ma wrażenie, że życie to niekończący się konkurs popularności. Walczymy o uznanie i podziw. I ranią nas ci, którzy z jakiegoś powodu nas nie uwielbiają.

Albo wręcz nie lubią.

Zawsze tak było, tylko obecne czasy lajków i smajlików (ale też złych komentarzy, zrywania przyjaźni i zablokowanych profili) potrafią tę miłość i nienawiść zwielokrotnić.

Wszyscy jesteśmy tak trochę celebrytami. Socjologowie mają na to nawet specjalne nazwy. Mikrocelebryci albo minicelebryci, możecie sobie wybrać.

Znów wsiadam do tramwaju, a na końcu wagonu, za siedzeniami, stoi inny wyrostek, choć podobny do tamtego ubranego na czarno. Też patrzy na mnie pustym i obojętnym wzrokiem.

A kiedy podchodzi do drzwi, zatrzymuje się przy mnie. Już szykuje sobie zdanie: *Tak, to ja, ten od dowcipnych postów na Facebooku. I na Twitterze!*

Ale on mówi tylko:

– Proszę uważać, rozwiązała się panu sznurówka. I wysiada na przystanku.

6.

Już nie musicie uwielbiać dzieci

Normalny mężczyzna boi się dzieci. Z łaciny nazywa się to pedofobia.

Nie mylić z pedofilią, jednym z najohydniejszych i najbardziej pogardzanych zbroczeń. Pedofobia stanowi jej absolutne przeciwieństwo.

Pedofil zabiera wam dziecko i wykorzystuje je gdzieś w ukryciu (lub w zakrystii).

Pedofob bierze dziecko, wciska je rodzicom w ramiona i krzyczy:

– Jezu Chryste, bierzcie to dziecko i idźcie z nim gdzieś.

Daleko! Natychmiast, błagam!

I to jest normalna, zdrowa reakcja normalnego mężczyzny w średnim wieku.

Nie znoszę tych dni, kiedy koledzy przyprowadzają dzieci do pracy. Pierwszy i ostatni dzień roku szkolnego, ferie świąteczne, Międzynarodowy Dzień Dziecka. Ciągają je po biurach jak trofeum. Jakby to był nie wiem jaki sukces, że mają dziecko.

Dziecko to nie jest żaden sukces. Wszyscy wiemy, że dzieci biorą się z seksu, czyli z jakiejś formy spędzania wolnego czasu. Każdy potrafi je zrobić.

– Może i nie jestem przesadnie mądry, ładny ani miły. W sumie jestem do niczego. Ale nie żyłem na darmo, bo mam dziecko.

Bzdura.

Na to można odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

– Nie tylko żyłeś na darmo, ale jeszcze przedłużyłeś swoje niepotrzebne życie o życie swojego dziecka. Bo jeśli nie stał się cud lub jeśli twoja żona nie była wystarczająco mądra, by począć twoje dziecko z kimś innym, jego życie będzie równie zbyteczne jak twoje.

Okrutne i nieprzyjemne, wiem.

Ale przyznajcie przynajmniej, że w robieniu dzieci nie ma nic trudnego.

Łatwiej zrobić dziecko niż zbudować z klocków lego półmetrową figurkę Barta Simpsona. To bardzo trudne zadanie, czytałem gdzieś, że jeden Amerykanin poświęcił na to siedem dni roboczych.

Zrobienie dziecka to łatwizna. Ponadto wiele dzieci powstaje niechcący. Tak jak na przykład idziecie w nocy do toalety i niechcący stajecie na klocku lego. Straszny ból. Tak się wystraszyliście, że kopnęliście w pudełko z pozostałymi klockami. Rano się okazuje, że stoi tam półmetrowa figurka Barta Simpsona.

A czasem to nawet nie wy kopiecie w to pudełko. Budzicie się rano, a w salonie stoi półmetrowy Bart Simpson. Pytacie żonę:

– Skąd on się tu wziął? Ona:

– No to chyba ty kopnąłeś w nocy w pudełko. (Rozumiemy się?)

Wy:

– Nie kopnąłem! Ona:

– Jasne, że kopnąłeś. Poszedłeś się wysikać i kopnąłeś! Wy:

– Nie kopnąłem i wcale nie wstawałem się wysikać! Ona widzi, że rozmowa idzie w nieodpowiednim kierunku, więc przystępuje do ataku.

Mówi trochę płaczliwie:

– Czyli ty już nawet nie pamiętasz, że kopnąłeś w pudełko?

Wy się wycofujecie, bo chcecie uniknąć konfliktu, przecież jest sobota rano:

– No może i rzeczywiście kopnąłem.

Ona, mając już całą sytuację pod kontrolą, więc wciąż ofensywnie:

– A widzisz, mówiłam. Po śniadaniu tu poodkurzaj i nie zapomnij zetrzeć kurzu z figurki Barta Simpsona!

Wy defensywnie:

– Dobrze, skarbie.

Tak łatwo powstają dzieci.

Mnie obce dzieci się boją, bo wyczuwają, że ich nie lubię. Ich rodzice uspokajają je:

– Nie bój się, wujek Miloš jest miły.

No więc po pierwsze, gnojki, nie jestem żadnym waszym wujkiem.

A po drugie: to, co wmawiają wam wasi starzy, jest wierutnym kłamstwem. Nie pozwólcie niszczyć swoich instynktów. Nie wierzcie rodzicom. Będą was okłamywać przez większość waszego dzieciństwa.

Będą wam wmawiać, że istnieje święty Mikołaj, że jesteście wyjątkowi, że znajdziecie miłość swojego życia i będziecie z nią aż do śmierci, że nauczyciel chce dla was dobrze i że jeśli zjecie na jedno posiedzenie półkilogramowy słoik Nutelli, umrze kotek sąsiada.

Nie wierzcie więc również w to, że wujek Miloš jest miły. Wierzcie swoim instynktom.

Nie jestem miły i nie lubię was. Po prostu tak to już jest. I nie, bynajmniej nie jestem żadnym potworem, przecież mam też własne dzieci. I kocham je, przede wszystkim dlatego, że dziś już nie są dziećmi.

Znacie to stare powiedzenie: dziecko jest jak pierdnięcie – człowiek toleruje tylko swoje.

To wielka mądrość. Ale prawdą jest też to, że niektórzy pierdzą tak strasznie, że nawet oni nie mogą tego znieść. Moja żona twierdzi, że tylko tak mówię i że na pewno, tak jak ona, już nie mogę doczekać się wnuków.

Bynajmniej!

– Poczekaj, aż zostaniesz dziadkiem. Od razu zaczniesz śpiewać inaczej.

Bynajmniej!

Wyjaśniam, że gdybym chciał marnować sobie życie kolejnymi dziećmi, załatwiłbym je sobie w pakiecie z nową, dwudziestopięcioletnią żoną.

Podobnie jak robią to inni mężczyźni w średnim wieku, na przykład moi koledzy.

I jest to, mówiąc na marginesie, jedna z największych pomyłek ewolucji. Ta siła, która pcha wyczerpanych, zniszczonych i zużytych samców w objęcia młodych, niezaspokojonych samic. To jakiś koszmarny błąd ewolucji.

Albo dowód na to, że Bóg nie jest mężczyzną, jak twierdzą feministki, tylko złośliwą kobietą.

Mówi się na to „druga młodość”. Ale tak naprawdę jest to bilet do piekła i przepustka do krematorium. W życiu nie istnieje nic takiego jak „druga młodość”. Wszystko jest podawane tylko raz. A kto upiera się przy drugiej porcji, ten jest idiotą, który nie zrozumiał, że mądry człowiek nie popełnia dwa razy tego samego błędu.

Mieć dziecko w wieku pięćdziesięciu lat to samobójstwo. Każdy z nas zna kogoś takiego. Ja mam takiego kolegę w pracy.

O siedemnastej stajemy przy jego biurku i mówimy:

– Cześć, w drodze do domu wpadniemy na jedno piwko.

Idziesz z nami?

Wytrzeszcza oczy.

– Zwariowałeś? My dziś ROBIMY KĄPIEL!

My wiemy, że dzieci kąpie się codziennie, ale nie komentujemy tego.

On kontynuuje:

– Jadę prosto do domu, skoczę tylko do sklepu po coś na kolację i zrobimy sobie z żoną miły wieczór!

Śmieje się piskliwym głosem.

Przy okazji, zauważyliście, że kiedy ktoś śmieje się piskliwym głosem, to znaczy, że coś jest nie w porządku? Szczególnie gdy piskliwym głosem śmieje się pięćdziesięciolatek?

OK, my idziemy na piwo. Następnego dnia znów staje przy biurku kolegi.

Pyta:

– I jak, byliście na piwie?

Zgodnie z prawdą odpowiadamy, że nawet na dwóch, a potem poszliśmy do domu i oglądaliśmy z żoną jakiś serial amerykański.

Zauważamy, że koledze zaczyna drzeć powieka. Ostrożnie pytamy, jak on spędził wieczór.

– Spoko, fajnie! – mówi piskliwym głosem.

Dopiero po chwili wyrzuca z siebie całą historię. Że pojechał do Makro po stek, ale był tam milion osób, a on ugrzązł w korku, więc do domu przyjechał godzinę później, niż planował. Dziecko było już wykąpane, a żona wściekła. Zaczął grillować mięso na balkonie, i o dziewiątej zaproponował je żonie, która tylko postukała się w czoło i powiedziała, że jeśli myśli, że ona będzie się o dziewiątej opychać mięsem, to jest

w błędzie. Sam więc opchał się mięsem, wypił pół butelki Jacka Danielsa, a przed północą rozpłakał się w pokoju dziennym.

Tyle na marginesie o „drugiej młodości”.

Jak już wspomniałem, dzieci są jak pierdnięcie.

Jasne, te swoje człowiek jakoś zniesie. Ale jeśli usiądziecie na kanapie i będziecie bez przerwy pierdzieć, nie myślcie, że robi się tam miło. Co za dużo, to niezdrowo.

Tak jak ze wszystkim. Kiedy co jakiś czas puścicie bąka, na pewno da się to wytrzymać. Ale we wszystkim trzeba zachować umiar.

Pozdrówcie dzieci!



7.

Już nie musicie bać się komunikacji miejskiej

Młodszy, ustąpcie miejsca starszym.

Nie MŁODZI, tylko młodszy, i nie STARYM, tylko starszym. Wokół tej znanej zasady istnieje sporo niejasności.

Zauważcie, że nigdzie nie jest dokładnie powiedziane, O ILE trzeba być młodszy, by musieć ustąpić miejsca komuś starszemu, ani JAK STARYM powinno się być, żeby ktoś nam ustąpił. A to dopiero początek dużych problemów mogących pojawić się podczas jazdy komunikacją miejską. Dla wielu ludzi jest ona piekłem. Przez pół życia boicie się, że będziecie musieli komuś zwolnić miejsce, a przez drugie pół, że ktoś zwolni je wam.

(A jeszcze gorzej mają grube kobiety, które przez całe życie obawiają się, że ludzie będą im ustępować miejsca, bo będą myśleć, że te kobiety są w ciąży. A kiedy naprawdę zajdą w ciążę, wtedy z kolei wiele osób nie ustąpi im miejsca w przekonaniu, że są po prostu grube. Ale to temat na inną opowieść).

Lecz istnieje krótki okres, kiedy podróżujecie stosunkowo spokojnie. Owszem, jest to właśnie ten niesłusznie przeklinany wiek średni, którego tak się obawiacie.

Może dlatego dopiero po czterdziestce zacząłem intensywniej jeździć metrem, tramwajami i autobusami. Wcześniej cieszyłem się luksusem

własnego auta w przeświadczeniu, że dojadę nim w życiu dalej. Szczególnie jeśli będzie ładne i drogie, a ja będę jeździć nim szybko, trąbić głośno i wymachiwać do pozostałych kierowców. Czy nawet parkować na miejscach dla inwalidów, ale tylko wtedy, gdy będę się śpieszyć, a nigdzie indziej w ogóle, ale to w ogóle nie będzie wolnych miejsc.

Tak naprawdę autem w życiu nie dojedziecie dalej, ale spędzicie setki godzin uwięzieni w korkach.

Przy okazji: jeśli mężczyzna w aktywnym wieku współżyje lub masturbuje się średnio dwa razy w tygodniu i dożywa, powiedzmy, siedemdziesięciu lat, czyli dzisiejszej średniej długości życia, to łączna długość orgazmów podczas jednego męskiego życia wynosi trzy godziny. TRZY godziny. Ten sam mężczyzna przestoi na skrzyżowaniach na czerwonych światłach sześćset dwadzieścia godzin. Tylko na skrzyżowaniach. Nie mówimy tu o naszych autostradach. Kto często nimi jeździ, zostawia tam łączną długość swoich orgazmów średnio co tydzień i nawet tego nie zauważy.

Kiedy przesiadacie się z auta do komunikacji miejskiej, zaleca się jak najmniejszy szok. Czyli metro. W zasadzie jest ono tylko dla VIP-ów. Spotkacie tam pachnących ludzi w garniturach lub garsonkach. Niewykluczone, że tu i ówdzie pojawią się nawet ładne kobiety na obcasach. Metro to tak właściwie „auto zastępcze”. Wiecie, kiedy macie na przykład audi i oddajecie je do serwisu, oni pożyczają wam volkswagena golfa. Normalnie nawet byście do takiego auta nie wsiedli, PRZECIEŻ MACIE AUDI!, a w serwisie dobrze o tym wiedzą. Dlatego pożyczają klientom volkswageny z naklejkami AUTO ZASTĘPCZE. Nie istnieje żaden inny powód pisania na aucie tej informacji.

(Pomysł na biznes: Sprzedawać ambitnym, ale na razie niemajątnym ludziom tanie i nielubiane auta z napisem AUTO ZASTĘPCZE. Możliwy

problem: sąsiadom i kolegom z pracy po jakimś czasie może się to wydać podejrzane). Ale wróćmy do komunikacji miejskiej. Kiedy jedziecie metrem i macie wymalowaną na twarzy lekką, prawie niezauważalną pogardę wobec pozostałych, wyglądacie, jakbyście mieli na czole napis: SORRY, LUDZIE, JA TU NIE NALEŻĘ, PO PROSTU PRZESIADŁEM SIĘ TU NA CHWILĘ Z AUTA.

I to jest OK.

Natomiast przesiadka z metra do tramwaju to degradacja. Tam już nie da się udawać, że na chwilę przesiedliście się z auta. Kiedy wsiadacie do tramwaju, stajecie się normalnym klientem MPK.

Jeszcze nie jesteście na przegranej pozycji. Wciąż możecie bronić się troską o środowisko. Oczywiście tramwaj jest dużo mniej HIPSTA niż rower lub hulajnoga, ale jak wspomniałem, wciąż da się to jakoś obronić.

Lecz tego wewnętrznego poniżenia, gdy będziecie czekać pół godziny na dwudziestkę dwójkę (a potem przyjadą trzy jedna po drugiej), a sto osób zacznie się z wami wciskać do pierwszego wagonu pierwszego tramwaju, już przed sobą nie obronicie.

Szczególnie gdy jako CI MĄDRZY wsiądziecie do prawie pustego drugiego wagonu, a tam okaże się, że na siedzeniu dla inwalidów śpi obsikany bezdomny.

Ale nie warto się zniechęcać, tramwaje są fajne. Przynajmniej w porównaniu z autobusami. Kiedy jesteście w tramwaju, znaczy to, że wasze życie podąża w nieodpowiednim kierunku, ale jeszcze możecie coś na to zaradzić. Natomiast autobusami jeżdżą ludzie, którzy już stracili nadzieję i którzy nie mają wiary. Nie ma już dla was ratunku. Kropka, przykro mi. Jeśli raz wsiądziecie do linii 144 i ruszycie nią na peryferie, już nigdy z niej nie wysiądziecie. Dużo osób w średnim wieku popełnia ten błąd. Uważajcie na to, a wszystko będzie w porządku.



8.

Już możecie mieć rozwiązane sznurówki

W tym tygodniu obchodziłem urodziny. Nie okrągłe, ale jestem już w wieku, w którym wszystkie można uważać za wyjątkowe. To chyba dobra okazja, by podzielić się z wami niektórymi przemyśleniami związanymi właśnie z wiekiem.

Na przykład napisać coś o sznurówkach. Straszne z nich zołzy. Zostały wynalezione po to, żeby szykanować mężczyzn w średnim wieku – poprzez rozwiązywanie się w najmniej odpowiednich momentach.

(Wyjaśnienie: najmniej odpowiedni moment = kiedy akurat nie siedzicie).

Ale nie, wy na pewno wiecie, że sznurówki zostały wynalezione po to, żeby but trzymał się człowiekowi na nodze. Najstarszy znaleziony but ze sznurówką pochodzi z Armenii i liczy sobie pięć i pół tysiąca lat.

Czyż to nie jest wystarczająco długi okres, żeby ktoś wymyślił coś lepszego? Przecież buty to miliardowy biznes. Nike, Adidas, Reebok. To tylko producenci pierwsi z brzegu. Korporacje, którym rachunki bankowe pękają w szwach. I potrafią tam wymyślić tylko rozwiązujące się sznurówki?

Słyszałem, że ktoś coś mi tu bąknął o butach na rzepy. Ale z nimi jest podobnie jak z pieluchami. Są albo dla bardzo małych dzieci, albo dla

bardzo starych ludzi. W pewnych fazach życia na pewno są ważne, pożyteczne i rozwiązują wiele problemów. Lecz średni wiek do tych faz nie należy.

Nas, mężczyzn w średnim wieku, sznurówki poniżają. Gdy chcecie je zawiązać, macie dwie możliwości. Albo musicie usiąść, albo położyć stopę na jakimś podwyższeniu. Musi się ono znajdować mniej więcej na 13% waszej wysokości, co przy moim wzroście wynosi około 37 centymetrów. Jeśli jest niżej, kłuje was w krzyżu. Jeśli wyżej – grozi wam naciągnięcie mięśni, wykręcenie stawu biodrowego lub... po prostu was to boli. Rozumiemy się?

Czasem idę ulicą i czuję, że noga przestaje trzymać się podeszwy. Oczami wyobraźni widzę, jak sznurówka rozluźnia się i zaczyna się rozwiązywać. Proszę ją: *Słuchaj, nie teraz, teraz naprawdę nie jest odpowiedni moment!* Wciąż się rozwiązuje.

– Proszę!

Nie robi to na niej żadnego wrażenia.

– Nie bądź taka wredna! Rozwiązała się.



Kiedy macie dwadzieścia lat, klękacie i zawiązujecie sznurówkę. Trzy sekundy.

Kiedy macie czterdzieści lat, przez minutę klniecie, ostrożnie kilkoma niepewnymi ruchami osuwacie się na ziemię, przy trzeciej próbie wreszcie zawiązujecie sznurówkę i, wciąż klnąc, po jakimś czasie wreszcie wracacie do pionu.

To nie znaczy, że rozwiązana sznurówka stanowi aż tak wielki problem. Inteligentny człowiek może spokojnie chodzić z rozwiązaną. Problemem jest to, że pozostali ludzie nie dadzą wam wtedy spokoju.

– Proszę pana, ma pan rozwiązana sznurówkę! (Czy ja wyglądam na ślepcę?).

– O, dziękuję, bardzo pani miła.

Idziecie dalej w naiwnej wierze, że ujdzie wam to płazem.

– Halo, proszę pana, niech pan sobie na nią nie nadeptnie.

(Rany boskie, babo, odczep się).

– Oczywiście, ma pani rację.

Marzycie tylko o tym, żeby ta kobieta się odwróciła i zajęła swoimi sprawami. Ale ona stoi i gapi się na was.

Przypomina wam nauczycielkę geografii, która stoi przy tablicy, wymownie uderza wskaźnikiem trzymanym w prawej ręce o dłoń lewej ręki i czeka, aż powiecie, jakie miasto jest stolicą Barbadosu.

Wy tego nie wiecie.

Trzydzieści pięć lat później nie chcecie zawiązać sznurówki.

Ani jedna z tych sytuacji nie jest bitwą, którą moglibyście wygrać. W wieku trzynastu lat oczywiście nie macie pojęcia, że stolicą Barbadosu jest Bridgetown. W wieku czterdziestu ośmiu lat nie macie siły ani ochoty na wiązanie jakiejś cholernej sznurówki.

Plusem wieku średniego jest to, że możecie po prostu wzruszyć ramionami i powiedzieć: – Wie pani co, ja jej nie zawiążę.

Tej dobrej kobiecie brwi wystrzeliwują w górę.

– Ale... – zaczyna coś mówić.

Lecz wy już tego nie słyszycie, bo odwracacie się i odchodzicie. Powiewająca sznurówka, w innych okolicznościach wydająca denerwujący

dźwięk, teraz zwycięsko postukuje o chodnik. To wy odchodzicie niepokonani i z tarczą.

Tyle że potem musicie cholernie uważać, żeby naprawdę na nią nie nadepnąć. I mieć nadzieję, że nie rozpiął się wam też rozporek.

Bo mężczyzna w średnim wieku z rozwiązaną sznurówką wygląda smutno, ale można to jakoś wytrzymać. Mężczyzna w średnim wieku z rozpiętym rozporkiem wygląda trochę smutniej, lecz to też mieści się w granicach tolerancji.

Ledwo, ale mieści.

Mężczyzna w średnim wieku z rozwiązanymi sznurówkami i JEDNOCZEŚNIE z rozpiętym rozporkiem to tragiczne nieporozumienie współczesnej cywilizacji.

Wiem, o czym piszę.

– Proszę pana, poproszę ze mną na bok! – zaczepił mnie umundurowany pracownik lotniska, kiedy kilka dni temu przechodziłem przez kontrolę bezpieczeństwa.

Zamarłem. Znacie to uczucie, kiedy już wiadomo, że coś jest nie tak, ale jeszcze nie wiadomo co? Z surowej miny nie dało się zbyt wiele wyczytać, ale spodziewałem się wszystkiego – od kontroli osobistej po aresztowanie.

Kiedy odeszliśmy na bok, mężczyzna kiwnął palcem wskazującym, żebym przystawił ucho do jego ust. Stłumionym głosem powiedział:

– Niech pan sobie zapnie spodnie! Kiepsko to wygląda.

Może wolałbym aresztowanie, bo wtedy mógłbym przynajmniej napisać na Twitterze coś o brutalności policji. Ale napisać, że służby bezpieczeństwa szykanowały mnie z powodu rozpiętego rozporka? Nie ma opcji.

Szybkim, wyuczonym ruchem zapiąłem rozporek, podziękowałem i ruszyłem z powrotem do taśmy z przeświecłanymi walizkami.

– Proszę pana? – usłyszałem za plecami.

Zatem to był tylko podstęp – przeleciało mi przez głowę. Próbowali obniżyć moją czujność, a teraz powalą mnie od tyłu na ziemię i zakują w kajdanki. Ale znów nic.

– Jeszcze ma pan rozwiązana sznurówkę – dodał tamten mężczyzna, już głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Zapiszcie sobie: Kiedy osiągnę wiek średni, będę na TO uważać.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że problemy z rozporkiem pojawią się trochę później. U dziadka wystąpiły dopiero po sześćdziesiątce.

– Boże, dziadygo, zapnij ten rozporek! – upominała go zawsze babcia.

Wydawało mi się to zabawne.

Kiedy ja, wówczas dziesięcioletni uczeń, zapominałem zapiąć spodnie, mawiała:

– Chcesz wyglądać jak emeryt? Natychmiast zapnij rozporek.

Nie mam pojęcia, dlaczego problemy z rozporkiem są przypisywane starszym mężczyznom. Ale tak to już działa. Nie chcę tu snuć domysłów, ale może jest tak dlatego, że chodzi o element odzieży zakrywający tę część ciała, która z biegiem lat traci na znaczeniu.

Nam, mężczyznom, w każdym wieku zdarza się nie zapiąć rozporka. To normalne. Ale z własnego doświadczenia wiem, że w wieku średnim ten problem stał się nieco... palący.

Po prostu rano wstaję, idę do pracy, chodzę po mieście... i w pewnej chwili, w najgorszym razie dopiero wtedy, gdy po południu idę się wysikać... orientuję się, że mam rozpięty rozporek.

Boże święty!

Najgorsze jest, że nikt nie zwróci wam na to uwagi, w odróżnieniu od lat młodości. Jako chłopcy nie mieliśmy z tym żadnego problemu. Na pewno pamiętacie te niby śmieszne powiedzonka. Ja ich nie cierpialem, ale kumple ciągle je powtarzali. *Zapnij rozporek, bo dzisiaj nie wtorek. Albo: Zapnij się pod szyję. Ha ha ha!*

Nawet w wieku dwudziestu czy trzydziestu lat rozporek nie stanowił tabu.

– Stary, masz rozpięte spodnie!

– Jezu, dzięki!

Przed pięćdziesiątką nagle zrobił się z tego drażliwy temat. Nie wiem dlaczego. Jaka jest różnica między rozpiętym rozporkiem zakrywającym trzydziestoletni penis a tym, który zakrywa czterdziestoletni penis. Skoro ponadto oba są schowane w bokserkach?

Olbrzymia. Jakby te dwa penisy znajdowały się w oddzielnych galaktykach.

Myślę, że chyba to rozszyfrowałem. Rozpięty rozporek w wieku dwudziestu lat to wypadek. Albo przypadek. Jak wolicie. Po prostu coś, co stało się wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i trzeba to naprawić.

A potem znów wszystko jest w porządku.

Kiedy zbliżacie się do pięćdziesiątki, rozpięty rozporek staje się SYMPTOMEM. Nieodwracalnym i jasnym dowodem na to, że wasze życie zbliża się do końca, równie zabawnego jak jazda po drodze powiatowej.

Wszędzie dziury, na zakrętach zimą lód, a latem zaparkowane auta z rejestracjami ze stolicy, przez jezdnię przebiega zdeorientowana zwierzyna i grzybiarze (właściciele wspomnianych aut ze stolicy), a przy drodze wysokie drzewa gotowe was zabić.

Nie ma żartów. Za wami życie, przed wami śmierć. A przynajmniej tak się wydaje.

Takiemu człowiekowi nie możecie powiedzieć, że ma rozpięty rozporek.

Tak jak nie możecie kazać zezowatemu patrzeć prosto. A będzie jeszcze gorzej.

Czytałem w Internecie, że w Japonii sprzedają spodnie, które – jeśli macie je na sobie, ruszacie się, a wasz rozporek jest rozpięty – wydają sygnał ostrzegawczy. W kieszonce pierwotnie przeznaczonej na prezerwatywy mają wszyty czip i mały głośniczek.

Tak jak pasy w aucie. Najpierw pipczą niemal frywolnie, potem was tak niby dowcipnie ponaglają, aż wreszcie wystrzeliwiają akustyczną kanonadę, która zmusza was, żeby je wreszcie zapiąć.

Pip, pip, pip.

– Zapnij pas, staruszkule!

Przepraszam, ale mnie to obraża. Podobnie jak propozycje mojej żony, żebym w związku z rozwiązującymi się sznurówkami wiązał je na podwójny supeł. Czip? Podwójny supeł?

To tak, jakbym miał przed seksem zażywać Viagrę. Każdy mężczyzna przyzna, że to świetny, wręcz genialny wynalazek. Ale dla rówieśników, bo przecież JA jej nie potrzebuję. NA RAZIE. Poczekamy. Zobaczymy.



9.

Już nie musicie wierzyć w Boga

Boga nie ma. Nikogo nie zmuszam, by też tak myślał, więc będę wdzięczny, jeśli nikt nie będzie mnie zmuszał, bym myślał inaczej.

Jako chłopak chodziłem czasem do kościoła. Zabierała mnie tam babcia, która też zbytnio nie wierzyła w Boga, ale obecność na niedzielnej mszy uważała za element dobrego wychowania.

W kościele podobało mi się to, że była tam woda święcona, w której macza się dwa palce, a po wykonaniu znaku krzyża można się nią trochę popryskać, odpędzając w ten sposób złe duchy.

Coś jak środek na komary, który stosowaliśmy podczas weekendowych wyjazdów do naszego domku letniskowego.

Wydawało mi się to praktyczne i sensowne. Miało to wymiar materialny, niezbędny dla małego chłopca dorastającego w materialistycznym społeczeństwie i w materialistycznych czasach.

Niepokoili mnie tylko dwie rzeczy.

Po pierwsze babcia mówiła, żebym tak naprawdę nie dotykał tej wody, tylko robił to na niby.

– Patrz, ilu starców i staruszek pcha tam łapska! Fuj! Na pewno ich nie myją, jeszcze złapiesz od nich jakieś świństwo!

Byłem mały i nie mogłem tego pojąć. W kościele potrafią poprzez święcenie sprawić, że woda niszczy złe duchy, ale nie radzą sobie ze zwykłymi wirusami wywołującymi gripę?

Pchi!

Po drugie: „złymi duchami” nazywano u nas w domu pierdnięcia.

Ta piękna ulga przy kolacji, kilka sekund ciszy i napięcia, a potem surowy głos mamy:

– Milošu?! Puściłeś złego ducha, prawda?

Kiedy macie pięć lat, wyobrażacie sobie, że zły duch wygląda tak jak w książkach dla dzieci. Duży, przejrzysty, złowrogi. Najczęściej niebieskawy.

Wydawało mi się, że mój bączek był za mały na coś takiego.

– Helenko, daj mu spokój – próbował uspokoić matkę mój dziadek, jej ojciec. – Lepsze jedno pierdnięcie niż dziesięciu lekarzy! – I mrugał do mnie.

Dziadek był dobrym człowiekiem, ale bronił też własnych interesów. On również często i chętnie pierdzał.

A babcia o tym wiedziała, więc od razu go ganiła.

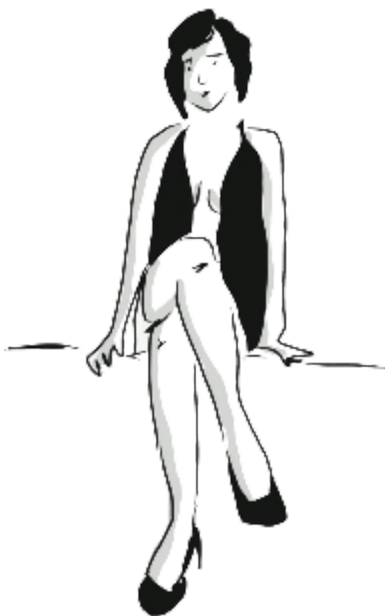
– Jarku, nie wyrażaj się tak przy tym chłopaku!

Dziadek odparł, że pierdnięcie to normalne słowo, ale jego autorytet już rozpływał się w wymuszonej pozycji obronnej.

Nie zauważyłem, by woda święcona jakoś pomagała na gazy.

I jeszcze jedna rzecz: środek na komary nie był zbyt skuteczny. Można się nim było popsikać od stóp do głów i śmierdzieć jak cholera, ale komarom to nie przeszkadzało. Dlatego do reklamowanego działania wody święconej również podchodziłem dość sceptycznie.

Widzicie, nawet w komunistycznym kraju można się nauczyć, że niektóre rzeczy to tylko marketing i nie należy do końca w nie wierzyć.



Podobny stosunek miałem wobec całej religii. Babcia nauczyła mnie dziecięcej modlitwy *Aniele Boży, stróżu mój*, którą uparcie i niezdarnie odmawiałem przed snem. Było to męczące, ale wytrzymałem bardzo długo. Może nie do trzydziestki, ale na pewno do początków dojrzewania.

Dobrze to pamiętam, bo wtedy *Aniele Boży* zaczęło mi zachodzić na inny wieczorny rytuał. Przed snem myślałem zawsze o Burianowej. Z naszej klasy w podstawówce.

Burianowa miała w sobie to, co dziś nazwalibyśmy sexappealem. Nie była pierwszą dziewczyną w klasie, której zaczęły rosnąć piersi, nie była też złotowłosą królewną, którą pierwszoklasiści malują na lekcji plastyki.

Ale mimo to odkryłem, że kiedy przed snem myślę o Burianowej, na przykład o tym, jak siedzi przed szkołą na poręczy za piętnaście ósma i czeka, aż zaczną „wpuszczać”, jest to fajne.

I że coś ciekawego dzieje się mniej więcej w połowie mojego ciała. Tak ciekawego, że zmusza mnie to, bym położył się na brzuchu, a wtedy staje się to jeszcze ciekawsze.

Jeśli miałbym sięgnąć po wyświechtaną terminologię, powiedziałbym, że stał mi kutas.

Pochodzę z niewinnej generacji, w której ludzie zazwyczaj mieli już za sobą pierwszy raz, gdy oglądali pierwsze porno. Nie twierdzę, że jesteśmy lepsi lub gorsi. Ale według mnie jest to istotne.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, co z tym stojącym kutasem zrobić. Cud masturbacji odkryłem dopiero kilka lat później. Do tego czasu przeżywałem męczarnie. Ale piękne męczarnie. Ten, kto to przeżył, wie, o czym mówię. Tak czy inaczej, pojawił się pewien problem. Byłem przyzwyczajony do tego, że zmawiam modlitwę i zaraz potem usypiam. Z drugiej strony usypianie ze stojącym kutasem i myślami dotyczącymi Burianowej też miały swój czar. Co zrobić?

Załatwić swoje obowiązki z Bogiem (który nie istnieje), a potem spokojnie nacieszyć się nieprzyzwoitymi myślami, czy może na odwrót? Co mogłoby Boga (nieistniejącego, ale co jeśli się mylę?) ewentualnie bardziej wkurzyć?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie prowadziłem z Bogiem na ten temat żadnych dyskusji. Z Burianową też nie.

Nigdy nie związałem się na poważnie z Bogiem ani z Burianową, ale jestem im wdzięczny za to, że stali się częścią mojego dzieciństwa.

Tyle na temat mojego stosunku do religii.

Oczywiście będę zaskoczony, jeśli po śmierci dowiem się, że Bóg istnieje.

Przejdę przez ten długi tunel ze światłem na końcu, a kiedy tam dotrę, posadzą mnie w poczekalni, a potem wezwą do biura. Za biurkiem będzie

siedzieć facet, taki podstarzały hipster z siwymi włosami.

– Dzień dobry, proszę usiąść.

– A kim pan jest?

– Bogiem, chłopczyku!

Olbrzymi szok. Tak jakbym w centrum stolicy trafił na kanara. Tam nigdy nie ma kanarów. Kiedy jadę z centralnego te swoje dwa przystanki, nigdy nie kasuję biletu.

Kontrolerzy w centrum byliby bez sensu. Po centrum jeżdżą tylko menadżerowie zachodnich koncernów, hipsterzy i Cyganie. Menadżerowie mają miesięczne, hipsterzy kasują dwa bilety (z powodu karmy), a Cyganie nie kasują żadnego.

Cyganie na kanarów „kładą lachę”, co nie jest obraźliwym, tylko rzeczowym i trafnym opisaniem faktu, iż nie zamierzają oni omawiać z kontrolerami MPK problematyki dokumentów podróży.

Nie ma tam turystów ani studentów, może oprócz studentów z wydziałów matematyczno-fizycznych, ale oni są tak zakręcenii, że żaden kanar z IQ w okolicach dziewięćdziesięciu im nie skoczy.

Po prostu kiedy spotyka się w centrum kanara, jest to szok.

No i podobny szok przeżyję – być może – stając twarzą w twarz z Bogiem.

Wiecie, ja nie mam w sobie tej pychy niewierzących, którzy twierdzą, że nie boją się Boga, bo nie robią nic złego i żyją jak należy nawet bez wiary. Że przestrzegają Dziesięciu Przykazań, choć nawet ich nie znają. Albo przynajmniej sześciu, siedmiu przykazań, czyli i tak więcej niż przeciętny człowiek.

Nie zabijają, nie kradną, to przede wszystkim.

A gdy się dobrze wiedzie, czczą nawet ojca swego i matkę swoją, nikogo nie obgadują i nie bzykają nikogo oprócz żon. Albo mężów. A już na

pewno nie bzykają żon lub mężów swoich kumpli.

Ale według mnie to za mało. Nie sądzę, żeby Bóg się tym zadowolił.

Musimy wziąć pod uwagę, że Bóg to gość, który oczekuje kościołów i świątyń wartych miliardy. Bóg nie jest żadnym naiwniakiem. Bóg nie przyjechał do naszej cywilizacji na mopedzie, tego możemy być pewni.

Bóg to megaziom, którego nie wzruszy to, że ktoś co jakiś czas się do niego modli i że zabił w najgorszym razie karpia przed świętami.

– Nie kradniesz? Nie cudzołożysz? To świetnie, stary. Ale ile razy, a przede wszystkim w jakiej kwocie, dorzuciłeś się do kościelnej kasy? Hę?!

Według mnie Bóg jest podobnym typem jak każdy CEO dużej, międzynarodowej korporacji. Superinteligenty i zdolny, ale jednocześnie mściwy i małostkowy.

(Boże, wybaczyć, jeśli istnieje).

Jemu nie wystarczy, że będziecie twierdzić (podobnie jak prawie połowa Czechów), że wprawdzie nie wierzycie konkretnie w niego, ale w „coś ponad nami”.

Ha ha, myśleliście, że taki bełkot ucieszy Boga?

To tak, jakbyście powiedzieli żonie, że wprawdzie niezbyt ją kochacie, ale wierzycie w „bzykanie dup”.

Owszem, brzmi to lepiej, niż gdybyście zaskoczyli ją wyznaniem, że wierzycie w „bzykanie facetów” i dużo lepiej niż w „bzykanie dzieci”, ale i tak dla większości żon byłoby to zbyt mało.

Rozumiemy się? (Panie Boże, wybaczyć).

Wiara to klub, do którego albo należycie, albo nie. Albo płacicie składki, albo nie. A jeśli nie, to do widzenia.

– Coś ty za jeden?

- Hitler.
- Zrobiłeś coś złego?
- Eeeeh... no... zabiłem kilka osób.
- Ile?
- Eeeeh... sześć milionów.
- Ja pierdolę, chyba cię pogrzało, nie?!
- To byli Żydzi.
- Aha... No ale słuchaj, sześć milionów to i tak dużo.

– Ale Boże, ja zawsze w ciebie wierzyłem i czciłem cię! Nie miałem innego boga przed tobą! To ty wyprowadziłeś mnie z ziemi egipskiej, nigdy nie wzywałem twojego imienia nadaremno i święciłem wszystkie dni świąteczne, myśląc o tobie.

- Naprawdę?
 - Tak!
 - W takim razie wejdź, synu. Twoje winy zostaną ci odpuszczone.
- Ja tego nie krytykuję. Ale tak to działa, nie bądźcie naiwni.

10.

Już nie boję się (tak bardzo) śmierci

Śmierć nas szokuje. Przede wszystkim gdy umiera jakiś celebryta. Wtedy możemy się tą śmiercią porządnie nacieszyć.

– Jezu Chryste, co za nieszczęście. Dlaczego? Dlaczego?! Kiedy umiera ktoś bliski, jest to nie tylko smutne, ale też męczące. Trzeba zorganizować pogrzeb, zająć się spadkiem i tego typu bzdurami. Ale gdy umiera celebryta, możemy oddać się szczerej, niczym niezakłócanej żałobie.

Pisze się na Facebooku RIP, a jeśli był to piosenkarz lub aktor, udostępnia się jakieś klipy z YouTube.

– No i XY wacha już kwiatki od spodu – mawia się z uczuciem.

Na marginesie: *wąchanie kwiatków od spodu* to bardzo ładne sformułowanie.

Pamiętam, że po raz pierwszy usłyszałem je jako młody chłopak. Na jakimś pogrzebie, bo gdzieżby indziej. *Wujek Jarek wacha już kwiatki od spodu.*

Lubiłem pogrzeby i wesela. Oznaczały, że będzie jedzenie i ogólny luzik.

Były dużo lepsze niż zwykłe wizyty, które mieliśmy u nas w domu, bo wtedy matka ciągle miała ze mną jakiś problem.

– Przywitaj się! – krzyczała już w chwili, kiedy tylko przekraczałem próg mieszkania i nie zdążyłem jeszcze nawet ściągnąć butów.

A potem przez cały czas mnie kontrolowała.

– Nie obżeraj się tak tymi kanapkami, nie jesteś tu sam! Albo:

– Boże, patrz, ile sałatki spadło ci na dywan. Natychmiast to posprzątaj!

Wolałem pogrzeby niż wesela. Lub niż urodziny. Na pogrzebie najważniejszy jest nieboszczyk, a on nie może zgłaszać żadnych pretensji. Nic w stylu:

– Muszę przyznać, że inaczej wyobrażałem sobie tę swoją stypę!

Albo:

– Właściwie nie dostałem żadnego prezentu! Itd.

Na pogrzebie nikt nie czuje awersji do głównego bohatera. Przede wszystkim dlatego, że skoro już umarł, to tak właściwie przestał komukolwiek przeszkadzać. I wszyscy próbują powiedzieć o nim coś miłego, bo mają wrażenie, że dzięki temu oni sami również postawią się w dobrym świetle. Tylko zawsze było mi smutno, kiedy o jakimś nieboszczyku mówiono, że „był dobrym człowiekiem”. To się zdarza, kiedy nikt nie potrafi sobie przypomnieć, w czym był tak naprawdę dobry lub wyjątkowy.

– Był dobrym człowiekiem.

(= niczego nie osiągnął, niczego nie wymyślił, jego żona miała kochanka, przy zmianie kierunku jazdy zawsze włączał kierunkowskaz, a sąsiad wycierał nogi o jego wycieraczkę).

– Szczęśliwej drogi, stary, i wypij tam na górze kielicha za nasze zdrowie!

Gdzie na górze?

– No przecież w tym niebiańskim barze!

Wśród ludzi panuje romantyczne przekonanie, że człowiek idzie po śmierci do jakiegoś baru i tam od razu zaczyna popijać alkohol.

No dobrze, nawet gdyby to była prawda, a on wypiłby jeden, dwa, trzy... dziesięć kieliszków... to co będzie robić potem? Nawet gdyby po śmierci było COŚ, a nie NIC, i gdyby to COŚ działo się w NIEBIE, to wizja wieczności jest nieznośna.

Muzułmanie mają obiecane w niebie trzydzieści dwie dziewice, co brzmi fajnie. Ale... na jak długo? Na tydzień? Dwa tygodnie? No dobra... rok? Wytrzymalibyście z trzydziestoma dwiema humorzastymi, prawdopodobnie skłóconymi babami?

Albo te gadki, kiedy umrze jakiś muzyk.

– Na pewno już jamuje z Jimim Hendrixem.

Tak, bez wątpienia, Jimi Hendrix nie ma w niebie od 1970 roku do roboty nic prócz brzdękania z każdym, kto znał trzy akordy i grał na gitarze kumplom przy ognisku. O nie, po śmierci nie ma NICZEGO, żadnych barów, żadnych dziewczyn w jacuzzi ani żadnego Hendrixa marzącego o kumplach do niebiańskiego zespołu.

Chociaż kto wie?

Ten nieskończony strach przed NICZYM, który – kiedy miałem pięć lat – ogarnął mnie i prawie udusił w tramwaju, zniknął. Ulotnił się i schował za innymi uczuciami i emocjami.

Kiedy dorastacie, orientujecie się, że są ważniejsze rzeczy niż paraliżujący strach przed śmiercią. Na przykład pornografia. Albo hot dog z keczupem i musztardą. Szklaneczka burbonu.

Jeśli chodzi o śmierć, to strach zmienia się w ciekawość. Przypomina mi to pewną hollywoodzką anegdotę.

Aktor Bob Hope dożył stu lat. Kiedyś, gdy był już w sędziwym wieku, przysłała do niego żona. Powiedziała, że na słynnym cmentarzu Forest

Lawn są dwa wolne miejsca. Jedno z widokiem na piękne cyprysy, a drugie na dolinę. Spytała męża, które miejsce woli.

Aktor się zastanowił. A potem powiedział:

– Zaskocz mnie!

To jest właśnie ta mądrość, która przychodzi z wiekiem. Pozwólmy się zaskoczyć.



CZĘŚĆ DRUGA

**Stereotypy albo dziesięć dobrych rad, gdy przeżywacie
coś po raz tysięczny i wciąż nie potraficie sobie z tym
poradzić**

1.

Gdy oczekujecie bezwarunkowej i dozgonnej miłości, kupcie sobie psa

Czytałem o mężczyźnie z Ameryki, który przyszedł do weterynarza ze swoim psem.

– Jaki ma pan z nim problem? – spytał weterynarz. Mężczyzna wyjaśnił, że jego pies jest fanem Donalda Trumpa.

Weterynarz się zaśmiał. Ale kiedy zrozumiał, że mężczyzna nie żartuje, powiedział:

– Proszę posłuchać, ja jestem weterynarzem. Leczę zwierzęta. Może powinien pan udać się do innego lekarza.

Lecz mężczyzna odparł:

– Wiem, że jestem u weterynarza i nigdzie indziej się nie wybieram. Będę tu czekać, aż mi pan pomoże.

Weterynarz zrozumiał, że ma do czynienia z wariatem, więc postanowił przynajmniej wyciągnąć z niego więcej szczegółów.

– No dobrze. Ale skąd pan tak właściwie to wie? Że pies jest fanem Donalda Trumpa?

– Poznaję to po tym, jak na niego patrzy, kiedy Trump pojawia się w telewizji.

Weterynarz odparł, że to jeszcze nie musi nic znaczyć.

– Psy często oglądają telewizję ze swoimi właścicielami, to nic dziwnego. A czasami wpatrują się w ekran ze szczególną uwagą.

– Wiem – przytaknął mężczyzna. – Mój pies oglądał telewizję już wcześniej. Ale na Donalda Trumpa patrzy inaczej. – Zamyślił się, jakby szukał odpowiednich słów. – Tak jakoś z podziwem. I oddaniem. Tak jak kiedyś patrzył na mnie!

Weterynarz pomyślał, że zaczyna rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– A dziś już tak na pana nie patrzy?

– Patrzy. Ale rzadziej. A od kiedy Donald Trump został prezydentem, pies przygląda mi się raczej... powiedziałbym, że się ze mnie wyśmiewa.

„Teraz już wiem na pewno, że to wariat” – pomyślał weterynarz, zachowując chłodną, profesjonalną minę.

– Rozumiem. Ale dlaczego przyszedł pan do mnie? Jakie rozwiązanie pan proponuje?

Mężczyzna westchnął i wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że będzie trzeba go uśpić.

Kiedy zobaczył szok na twarzy lekarza, szybko dodał, że to wszystko jest dla niego strasznie trudne i że przeżył ze swoim psem pięć cudownych lat. Ale od czasów kampanii Donalda Trumpa nie da się z nim wytrzymać.

– Uśpić? – powtórzył zaskoczony weterynarz. Zaproponował, że jeśli to naprawdę taki problem, niech po prostu tego psiaka komuś podaruje.

– Podarować? Psa, który jest fanem Donalda Trumpa? Czy pan zwariował?

Weterynarz powiedział, że jakiś fan Donalda Trumpa na pewno chętnie by go przygarnął, ale mężczyzna odparł, że nie zna nikogo takiego.

Mieszka na Brooklynie, a tam fanów Trumpa nie uświadcysz.

To znaczy oprócz tego psa.

– No to niech go pan da do schroniska – zaproponował weterynarz zmęczony już tą bezsensowną rozmową.

– To byłoby bardzo nieodpowiedzialne. Nie cierpię ludzi, którzy pozbywają się problemowych psów tak, że oddają je do schroniska. Co mają zrobić ci, którzy je potem adoptują? Nie wiem, jaki był finał tej sprawy, tego w artykule nie napisano. Psa chyba ostatecznie nie uśpiono, zresztą byłoby to nawet niezgodne z prawem. Choć jego właściciel twierdził, że byłby to wyłącznie akt miłosierdzia mający na celu skrócenie cierpień zwierzęcia.



Oczywiście cała ta historia jest bezsensowna. Ale nic na to nie poradzę. Od kiedy ją przeczytałem, zawsze kiedy widzę psa, a w naszej stolicy widuję go na każdym rogu, przypominam sobie o niej.

Patrzę na jakiegoś dużego i zmęczonego buldoga kręcącego się po parku i od razu myślę: „A jeśli to jest fan naszego prezydenta?”. Albo widzę skundlonego dobermana z piękną obrozą i od razu wiem, że mógłby on być fanem naszego premiera.

Jamnik wyglądający na zmartwionego kibicuje ministrowi edukacji, wściekły foksterier trzyma kciuki za ministra sprawiedliwości. I tak dalej.

Jako naród uwielbiamy psy. A one uwielbiają nas, a przynajmniej tak to wygląda. Ale kiedy chodzę po mieście i przyglądam się ich właścicielom, prowadzi to czasem do ciekawych wniosków.

Jakiś czas temu widziałem na przystanku kobietę z psem. Ona tak zwana zadbana pięćdziesiątka, a on piękny, rasowy bokser. Ten taki dostojny pies z atletyczną postawą. W tym przypadku z pewnością nie miało zastosowania powiedzenie, że właściciel i jego pies upodabniają się do siebie. Po prostu musielibyście tę babkę zobaczyć. Tona makijażu, kostiumik, który już dawno powinna z siebie zdjąć. Mówiąc obrazowo: dziesięć lat temu, a biorąc pod uwagę jego obecny stan, przynajmniej przedwczoraj. Było rano, a ona na przystanku pełnym ludzi jadących do pracy wyglądała dość ekstrawagancko.

Ale to nie przeszkadzało jej w głośnym rozmawianiu przez telefon z koleżanką. Wszystko wskazywało na to, że obrabiają tyłek jeszcze innej koleżance. *Ona sobie myśli, że jest bóg wie kim, ale na pewno nie jest bóg wie kim, to ja wiem aż za dobrze.* Coś w tym stylu.

Wszyscy obserwowaliśmy i słuchaliśmy jej na tym przystanku, większość z nas wbrew woli, niechętnie i nieprzyjaźnie. Z wyjątkiem tego psa.

On tylko siedział i się gapił. A wiecie, jak psy się gapią? Coś by obwąchały, obsikały, przegoniłyby kogoś, ale ponieważ nie ma co ani kogo, po prostu się gapią. Wyglądają wtedy jak my, mężczyźni, po dwóch, trzech piwach.

Mamy w oczach takie pełne rezygnacji zadowolenie. Tak jak ten pies. Co jakiś czas spoglądał badawczo na swoją właścicielkę, kiedy zaczynała

się rżącó śmiać lub gruźliczo kaszleć. Spodziewałem się dojrzeć w psich oczach choćby przeblysł niezgody, ale nie pojawił się tam.

Gdyby był bardziej rozgarnięty, skrzywiłby się w grymasie:

– Panowie, sorry, ale nic na to nie poradzę. Ewentualnie:

– Widzicie, z kim ja muszę żyć?

Albo spojrzalby na mnie umęczonym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

– Mam tego po dziurki w nosie!

Lecz jak już wspomniałem, z tego psa emanowało tylko przepełnione rezygnacją zadowolenie. I to jest właśnie powód, dla którego tyle ludzi kupuje sobie psy. Szukamy u nich tego, czego nie dostajemy od naszych najbliższych. I czego sami nie chcemy dawać innym. Bezwarunkowej, zawsze gotowej miłości. Za kielbasę. Albo za kawałek rogalika. Po prostu za jakąś drobnostkę. Miłość błyskawiczna zawsze wtedy, gdy jej potrzebujemy. Coś jak zupka w proszku albo gotowe indyjskie danie z Marks & Spencer.

Współczesny człowiek nie ma czasu, siły ani nastroju na całkowite poświęcanie się jakiejś wielkiej, absorbującej miłości. Ale kiedy wraca z pracy do domu, w tym krótkim czasie, nim trochę odpocznie, zrobi sobie kolację, a potem włączy na przykład film na Netflixie, może zapragnąć prawdziwej miłości.

Nie chodzi o seks, w żadnym razie. Z seksem potrafimy sobie poradzić, w erze treści cyfrowych jest to prostsze niż kiedykolwiek wcześniej. Nie, w tym przypadku poszukujecie czystego, szlachetnego uczucia.

I dlatego ludzie kupują sobie psy: żeby ich kochały, choć o ich miłość nie trzeba tak wyczerpująco zabiegać. Wystarczy dać im czasem kawałek kielbasy. A na spacerze w parku chodzić za nimi z papierowym workiem.

Kto pragnie skomplikowanego związku z niepewną zawartością i niejasnymi perspektywami, próbuje znaleźć żonę lub męża.

Kto marzy o nieszczęśliwej miłości, kupuje sobie kota. Kto marzy o miłości, kupuje sobie psa.

Tylko musi mieć nadzieję, że ten pies nie zacznie interesować się polityką.

2.

Jeśli chcecie być w pracy szczęśliwi, nie chodźcie tam do toalety i ignorujcie dzieci swoich kolegów

Do pracy nie chodzimy TYLKO pracować. Ściślej mówiąc, ZAZWYCZAJ w pracy nie pracujemy. Według zeszłorocznego badania amerykańskiego urzędu pracy pracownicy wprawdzie spędzają w biurach średnio 8,8 godziny dziennie, ale tak naprawdę pracują tylko przez niecałe trzy godziny. Zatem co tam robią? Czytają artykuły na portalach informacyjnych i w gazetach (średnio godzinę i pięć minut), siedzą w mediach społecznościowych (czterdzieści cztery minuty), rozmawiają z kolegami o sprawach nie dotyczących pracy (czterdzieści minut), szukają nowej pracy (dwadzieścia sześć minut), palą przed biurem (dwadzieścia trzy minuty) i wykonują około dziesięciu innych czynności.

Między innymi robią sobie kawę lub herbatę, podgrzewają i konsumują posiłki w kuchni (łącznie dwadzieścia osiem minut), są w toalecie (dziewięć minut) lub uprawiają seks z koleżanką lub z kolegą (tu średnia wychodzi poniżej minuty, ale to dlatego, że chodzi o czynność, którą według statystyk „wykonywało” tylko pięć procent zatrudnionych). Dziesiątki tysięcy osób codziennie w swoich biurach umierają.

Bezczelność pracowników jest po prostu bezgraniczna. Idą do pracy i robią tam, co się im żywnie podoba. Czytają gazety, jedzą, chodzą do

toalety, współżyją, a nawet umierają. Oto rzeczowe spojrzenie na to, co – oprócz pracy – robimy w biurach.

Kiedy Steve Jobs omawiał w 2000 roku projekt nowej siedziby swojej firmy Pixar, upierał się, żeby jedyne toalety znajdowały się w holu na parterze. Wystarczająco dużo, ale wszystkie w jednym miejscu. Jobs, opętany funkcjonalnością designu, był przekonany, że ludzie będą się dzięki temu częściej spotykać. A z tych spotkań zrodzą się nowe pomysły, inspiracje i projekty. Bo do toalety muszą chodzić wszyscy, chcą czy nie chcą.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że tylko jedna rzecz jest gorsza niż siadanie na ciepłej desce klozetowej. A mianowicie świadomość, kto ją wam zagrzał. Tym bardziej w pracy, kiedy wiadomo, że tego człowieka będziecie później spotykać. Kiedy zrobicie kupę... ale też jutro, za miesiąc i pewnie nawet za rok.

Ludziom znającym się tylko z miesięcznych narad lub przelotnych spotkań przy kserze otwiera to drogę do niepożądanego intymności. A spojrzenia typu *nie mogę znieść twojej twarzy, więc dlaczego, do cholery, muszę siadać na toalecie ogrzanej twoim tyłkiem* zbytnio nie pomagają tworzyć więzi w miejscu pracy.

Wszystkie poradniki o tym, jak przeżyć w pracy i nie oszaleć, radzą więc, by w pracy w ogóle nie robić kupy. Oczywiście istnieją sytuacje (na przykład po służbowym obiedzie, który nie przebiegł zgodnie z planem), gdy po prostu nie ma wyboru. W takich sytuacjach zaleca się przestrzeganie kilku podstawowych zasad ograniczających ewentualne straty do minimum.

Trzy podstawowe reguły brzmią następująco:

1. Jeśli to możliwe, postarajcie się nie spotkać nikogo w drodze do kabiny oraz w drodze powrotnej.

2. Jeśli już kogoś spotkacie, ograniczcie wszelkie kontakty łącznie z kontaktem wzrokowym i w żadnym razie nie próbujcie na przykład rozluźniać sytuacji żartami na temat metabolizmu.
3. W kabinie nic nie mówcie (a już na pewno nie do kolegi siedzącego za przepierzeniem), nie telefonujcie i ogólnie spędzajcie tam jak najmniej czasu.

To nie powinno stanowić problemu, ponieważ według badań wydalanie stolca zajmuje większości ssaków tyle samo czasu, czyli około dwunastu sekund, plus minus siedem sekund.

Jest to tym ciekawsze, że to badanie obejmowało zwierzęta o różnej wielkości. Słoń wypróżnia się prawie tak samo długo jak pies, choć słoń produkuje w tym czasie około dwudziestu litrów, a średniej wielkości pies dwa tysiące razy mniej, bo zaledwie 10 mililitrów.

Tyle że ludzie bynajmniej nie chodzą do toalety tylko w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych. Kiedy szwedzka firma SCA, produkująca artykuły do higieny, przeprowadziła w trzynastu krajach duże badania w tym zakresie, okazało się, że ludzie spędzają w kabinie w toaletach średnio około sześciu minut. Wiemy już, co robią przez dwanaście sekund. Ale co potem?

Aż dwadzieścia cztery procent pracowników biurowych chodzi do toalety, by telefonować, dwadzieścia dwa procent się tam przebiera, piętnaście procent chce pobyc chwilę w samotności i odpocząć od kolegów, siedem procent w toalecie płacze, pięć procent je (!), a trzy procent, jak to się mówi, ucina tam sobie komara.

Amerykanie są w gorszej sytuacji niż Europejczycy, ponieważ po drugiej stronie Atlantyku drzwi kabin zaczynają się aż trzydzieści centymetrów nad podłogą. Przez to mniej tłumią niepożądane dźwięki i zapachy. Wyjaśnia to również zasadę, której trzymają się stali bywalcy

tamtejszych toalet: nigdy nie noście charakterystycznych butów, po których moglibyście zostać rozpoznani!

Natomiast badaczy rynku mogłoby zainteresować to, że około dziesięciu procent Amerykanów pracujących w biurach dokonało w toalecie zakupów internetowych. To właśnie oni ogrzewają deski sedesowe.

Zostańmy jeszcze przy toaletach, tym razem już tylko męskich. Drogie Czytelniczki, możecie ten podrozdziałik przeskoczyć lub przeczytać wyłącznie w celach informacyjnych. Mowa bowiem będzie o pisuarach.

Dla nas, mężczyzn, wiążą się one ze stresem nawet w toaletach publicznych, gdzie spotykamy się z obcymi ludźmi. Tam też obowiązuje cała lista reguł, na przykład:

1. Jeśli to możliwe, mężczyźni utrzymują między sobą odstęp przynajmniej jednego pisuaru.
2. Mężczyźni, którzy się wypróżniają, nie witają się z innymi nawet spojrzeniem, a ewentualne rozmowy ograniczają do minimum.
3. Podczas wypróżniania mężczyzna ma zamknięte oczy („hedonista”) lub patrzy przed siebie („myśliciel”), ewentualnie trochę wyżej („marzyciel”), ale w miarę możliwości nigdy nie patrzy w dół i NIGDY w bok.
4. Pierdnięcia są dozwolone, ale tylko krótkie i melodyjne.
5. Tak zwane „otrzepanie” musi być szybkie i dyskretne.

W pracy obowiązują te same zasady, tylko są jeszcze surowiej przestrzegane. Na przykład punkt 2. ulega rozszerzeniu: zaleca się nie mówić nic, a już na pewno nie o sprawach służbowych. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że kiedy ten sam temat pojawi się podczas narady, obaj przypomnicie sobie, że to nie długopisy trzymaliście w dłoniach przy poprzedniej debacie poświęconej danemu zagadnieniu.

Nie zaleca się również puszczenia bąków, szczególnie w towarzystwie osób wyżej postawionych w firmie. Mogą być na to wrażliwi. Szczególnie jeśli firma ma kiepskie wyniki.

Na szczególny zwyczaj mężczyzn sikających w garniturze zwrócił przed laty uwagę artykuł pod tytułem *Etykieta przy służbowych pisuarach* w brytyjskim dzienniku „The Daily Telegraph”. Cytuję: *Podczas oddawania moczu nigdy nie zrzucajcie niedbale krawata przez ramię. Może to bowiem oznaczać dwie rzeczy. Albo że macie za długi krawat, albo za krótkiego...* Rozumiemy się?

Dwie grupy są wśród pracowników każdej firmy szczególnie podejrzane. Ci, którzy chodzą palić na zewnątrz, oraz ci, którzy w firmowej kuchni odgrzewają sobie posiłki przyniesione z domu.

Tych ludzi łączy szczególna więź, której my, pozostali, nie rozumiemy. Nawet nie możemy zrozumieć. Oni trzymają się razem. Jeśli nie należycie do żadnej z tych dwóch grup, nie macie do nich dostępu.

Na pewno wam też się to zdarzyło: zatrzymujecie się przy grupce palaczy przed wejściem, a oni, bez względu na to, o czym akurat rozmawiają, natychmiast milkną. Patrzą na siebie nawzajem. Patrzą na was. Bez otwartej wrogości, ale po prostu nie rozumieją, o co wam chodzi. Tak jakby nagle jakiś ubrany człowiek pojawił się na plaży nudystów.

Tak samo jest w kuchni około południa. Kiedy idziecie do lodówki po wodę, nagle przestają stukać sztućce, a ludzie przy talerzach robią się czujni. Jakby nagle jedzenie przestało im smakować. Znów: nie mają nic przeciw wam. Ale jeśli chcecie do nich należeć, zapomnijcie o tym, że przysiadzicie się do nich ot tak, na przykład z kanapką kupioną w barze na dole. Przynieście zapiekankę z makaronem z wczorajszej kolacji, odgrzejcie ją sobie w mikrofalówce, to pomyślimy.

Nie mam paranoi, ale wiem, że najważniejsze decyzje w firmach nie zapadają podczas narad kierownictwa ani na zebraniach wspólników. To tylko taki teatrzyk. Najważniejsze zmiany zawsze wychodzą od palaczy papierosów (zauważyliście, ilu bywa między nimi ludzi z managementu?). A wprowadzić je pomagają obiadowcy. Uważajcie na nich!

Najgorzej jest w pracy podczas wakacji lub w okolicy Bożego Narodzenia, kiedy pracownicy przyprowadzają do firmy swoje dzieci. I jednocześnie wydaje się im, że stanowi to źródło rozrywki lub radości ich kolegów. Jest to skutek zaburzenia hormonalnego, przez które przechodzi każdy rodzic dziecka w wieku od zera do około dziesięciu lat. Oczywiście autor tego tekstu również przez to przechodził, więc wie, o czym pisze.

Najgorsze jest to, że ci rodzice oczekują od was jakiejś reakcji. Przywlekają do waszego biura dziecko. Ono gapi się w tych swoich okularach na ekran telefonu lub tabletu, nawet na was nie spojrzy, i wygląda jak totalny idiota.

Rodzic tego nie dostrzega. Na twarzy ma wypisane pytanie: *I jak? Co o nim myślisz?*

A wy nie możecie powiedzieć: *Wykapany tatuś. Też wygląda jak debil!*

Nie, musicie odpowiedzieć dyplomatycznie. Mówicie więc, że wygląda mądrze.

(Paradoks: Im debilniej wygląda małe dziecko, tym częściej mówi się o nim, że wygląda mądrze. Bo cóż innego powiedzieć? Nie można powiedzieć, że jest miłe, sympatyczne czy nawet ładne. To byłoby zbyt naciągane, bo naprawdę wygląda jak debil).

Ale trudno, drobne kłamstwo was nie zabije, a rodziców ucieszy.

Kiedy kończą mi się pomysły i już naprawdę nie wiem, co powiedzieć, przebąkuję, że dziecko ma „wzrok urwisa”. Nie mam pojęcia, co by to

mogło tak naprawdę znaczyć. Ale nawet takie słowa cieszą rodziców.

Problematyczne są rozmowy z rodzicami dzieci otyłych. Niedawno jedna moja dwustukilowa koleżanka przyprowadziła do biura dwie swoje pociechy. Pięćdziesiąt lat temu poklepalibyście je po nabrzmiąłych policzkach i powiedzielibyście, że muszą mieć wilczy apetyt.

Ale dziś mogłoby się to skończyć pozwem, a już na pewno naganą.

Nie można im nawet powiedzieć, że mają wzrok urwisa, bo oczka zalewa im tłuszcz.

Rzuciłem więc:

– Ładny dzisiaj dzień, prawda? Macie jakieś plany?

Mama radośnie zafalowała szerokimi biodrami i szturchnęła dzieci:

– No pochwalcie się wujkowi! Zaraz po pracy idziemy do McDonald's!

A już naprawdę najgorzej jest z noworodkami w wózkach. Nie możecie powiedzieć *Jezu, jaki piękny chłopczyk*, bo:

1. nie macie pojęcia, czy to przypadkiem nie jest dziewczynka,
2. niezależnie od płci po prostu byłoby to kłamstwo!

Większość zwierząt ma piękne młode. Nawet ten obrzydliwy pies, który wyglądał jak nasz prezydent podczas zaprzysiężenia (ten naprawdę brzydki pies z zabawnie rozciągniętym pyskiem), ma ładniejsze szczenięta niż przeciętny ludzki noworodek.



Noworodki mają zaczerwienioną skórę z krostkami. Są całe oblepione i oślizgłe. I bardzo często śmierdzą, bo akurat się obfajdały.

Dużo łatwiej coś powiedzieć, kiedy kolega pokazuje wam mięso, które kupił na sobotni grill.

– Patrz, jaki kawał! Chyba się nada, co?

– Cudowny! – odpowiadacie zgodnie z prawdą. Ale co powiedzieć rodzicom małego dziecka?

Doskonale pamiętam sam siebie sprzed dwudziestu lat, gdy pragnąc usłyszeć jakieś miłe słowo, przyprowadzałem dzieciaki, by pokazać je starszym kolegom. Byli w wieku, w którym teraz jestem ja.

A oni uśmiechali się serdecznie, niemal niezauważalnie stawiali oczy w słup i mówili:

– Zabieraj mi stąd tego łebka. I widzimy się jutro na naradzie, jasne?

Ale do takiej mądrości trzeba się po prostu zestarzeć.

3.

Jeśli chcecie mieć miły dzień, musicie unikać niepotrzebnych pytań w fastfoodach

Istnieje sztuczka, dzięki której pracodawcy potrafią sprawić, że nie jest nam żal osób mających kiepską i słabo opłacaną pracę. Ta sztuczka to pytania, które te osoby muszą nam zadawać.

Na przykład:

– Czy posiada pan naszą kartę stałego klienta? Mógłby pan zaoszczędzić aż połowę obecnych wydatków.

– Zbiera pan punkty?

– Czy mogę zaproponować panu coś słodkiego, na przykład takie ciasteczko?

I tak dalej.

Szczególnie to ostatnie pytanie uwielbiam. Kiedy rano wpadam na kawę do pewnej restauracji z szybkim jedzeniem, której nazwy nie chcę tu podawać, swoje zakupy traktuję już prawie jak sport.

Podjeżdżam do drive-in, opuszczam szybę i szybkim spojrzeniem mierzę siły ze swoim przeciwnikiem. Jest to niepozornie wyglądający panel z obrazkiem klauna, podniszczonym głośniczką i mikrofonem.

Dochodzi z niego zgrzyt, a zaraz potem niewyraźny, najczęściej kobiecy głos.

(Poniższej rozmowie poświęćcie szczególną uwagę, ponieważ ukazuje, jak łatwo można wpaść w diabelską spiralę, z której właściwie nie da się uciec).

– Poproszę jedno latté.

– Oczywiście. A może spróbuje pan jednej z naszych kaw smakowych? Może waniliową lub karmelową?

– Dobrze. Poproszę karmelową.

(W tym miejscu popełniłem podstawowy, niewybaczalny błąd).

– Doskonale. A czy do tej kawy mogę zaproponować coś słodkiego? Ciasteczko z nadzieniem jabłkowym albo porzeczkowym?

– OK, poproszę z porzeczkowym.

– Przypomnę, że może pan również zamówić nasz zestaw śniadaniowy z darmowym placuszkiem z ziemniaków.

– Dobrze, poproszę.

– Jeszcze korzystniej wyjdzie panu zestaw XL z dużym zimnym napojem. Naszykować?

– No dobrze.

(Proszę zauważyć tę całkowitą rezygnację klienta).

– Ale uwaga, dziś jest środa, więc może pan kupić dwa zestawy śniadaniowe XXL w cenie jednego. To świetna oferta, prawda?

Wcale nie myślę, że normalny człowiek, który siedzi w aucie sam i przyjechał po jedną kawę, może jakoś sensownie spożytkować dwa zestawy śniadaniowe XXL z dużym zimnym napojem.

Ale na głos mówię:

– Tak.

Kobięcy głos podsumowuje zakupy i podaje mi cenę. Nie jest astronomiczna i nie zrukuje mnie. Ale przypominam raz jeszcze, że przyjechałem tu po kawę.

Właściwie nie zaskoczyłoby mnie, gdyby w głośniku znów zaszumiało i usłyszałbym:

- Mam jeszcze jedno pytanie. Czy podoba się panu nasz lokal?
- To bardzo ładny lokal, jak najbardziej!
- W takim razie proszę podjechać do pierwszego okienka i podpisać tam umowę franczyzy.

A ja, choć przyjechałem do McDonald's po jedną kawę, wyjechałbym stamtąd jako nowy właściciel restauracji.



To straszne, ale trzeba przyznać, że niezbyt da się temu przeciwstawić. Owszem, można próbować przejąć inicjatywę i jeszcze zanim sprzedawczyni lub sprzedawca zdążą nabrać powietrza w płuca, wyrzucić z siebie bez najmniejszej przerwy:

- Proszę jedną kawę niesmakową, ciasteczka nie chcę, placuszków z ziemniaków nie cierpię, zestawy XL i XXL mnie przerażają, a tak

właściwie to nienawidzę waszej restauracji.

Tyle że personel jest przeszkolony również na taką ewentualność. Zalecana reakcja brzmi następująco:

– Przepraszam, ale chyba pan nie wie, że akurat dziś mamy ciasteczko z nadzieniem sezonowym, konkretnie jagodowym. Lubi pan jagody?

Ważne jest, by nie stracić głowy. Bo kiedy puszcza wam nerwy i rykniecie: *Wie pan co? Niech pan weźmie to jagodowe ciasteczko i wciśnie je sobie w dupę!*, będzie to znaczyło, że przegraliście swoją walkę o godne i spokojne przeżycie nowego dnia.

Gorzką puentą jest moment, gdy podjeżdżam do okienka, a tam czeka na mnie torba z zamówionym jedzeniem, mały kubek kawy, a przede wszystkim sprzedawca. Czytaj: nie głośnik i mikrofon, tylko człowiek, który mi to wszystko sprzedał.

Zło otrzymuje twarz.

A moja pierwsza myśl brzmi: „Gdybym chociaż przegrał z godnym rywalem!”.

Człowieka, który wcisnął mi ciasteczko, placuszek, zimny napój i niemal całą restaurację, wyobrażam sobie jako supermana z wyjątkowymi umiejętnościami. Gdyby był lobbystą, sprzedawałby rządowi jeden projekt za drugim. Ale w okienku widzę szesnastolatka, na głowie ma słuchawki z mikrofonem, na twarzy trądzik i wygląda jak Lady Gaga. Albo po prostu ktoś, kogo nie ma się ochoty oglądać wcześniej rano. A kiedy jeszcze wciska mi przez to okienko gazetę, z którą konkuruje moja gazeta, i mówi: *Gratuluję, dziś pański szczęśliwy dzień! Dziś może pan przy śniadaniu przeczytać swoją ulubioną gazetę, i to za darmo!*, walczę o resztkę własnej godności.

Tylko jakie mam inne możliwości?

Jasne, mogę wejść po kawę do jednej z tych hipsterskich kawiarni. Zamiast Lady Gagi ze słuchawkami pracują tam tak zwani bariści. Mają fartuchy z jakimiś dowcipnymi napisami, grube oprawy okularów ze szklami bez dioptrii i świeżo nastroszoną brodę. Hipsterskie kawiarnie nie są lokalami w prawdziwym znaczeniu tego słowa. To raczej świątynie. Kawa nie jest tu napojem, tylko religią.

Właściwie naprawdę wygląda tam jak w kościele. I też można tam wejść, nawet jeśli nie wierzy się w Boga, a przeżycie i tak jest mocne. A kiedy trafi się w kościele na jakiś obrzęd, nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Dokładnie tak jak w takiej kawiarni.

– Dziś mamy kenijską kawę ze szczytu płaskowyżu. Może być?

Ja, wdzięczny, że nikt nie proponuje mi ciasteczka z owocami, oczywiście kiwam głową. Barista wesoło podskakuje.

– Podać espresso, lungo, flat white czy latté?

Zamawiam latté, płacę, a barista wykonuje taki taneczny, niemal dyskotekowy ruch (zrozumie to tylko pokolenie narodzone w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych).

– Pańska kawa zostanie przygotowana na drugim końcu baru!

Cały bar ma łącznie może dwa metry długości. Cofam się więc o pół kroku i czekam.

Przygotowanie kawy to punkt centralny obrzędu. Mężczyzna za ladą pociąga za różne dźwignie, wypuszcza parę, coś odsysa, wymienia naczynia. Patrząc na niego, pojmuję, dlaczego ekspresy do kawy są takie drogie. Dlatego, że zrobienie z czegoś tak prostego jak przygotowanie kawy, czegoś tak skomplikowanego jak pilotowanie airbusa, musiało kosztować miliony dolarów. Setki milionów.

Stoję tam sam, ale mężczyzna i tak odwraca się, by się upewnić, że nie popełnia żadnego błędu.

– Latté na wynos? Kiwam głową.

Sięgam po kubeczek z myślą, że po prostu wezmę go i wyjdę, ale jest to naiwny, prawie dziecięcy błąd. Nadchodzi kolejna część obrzędu. Mężczyzna za ladą będzie robić obrazek na pianie w kubeczku.

Śpieszę się, od minuty powinienem już być na naradzie, która odbywa się w biurze pięć minut stąd, ale ten świrus w białym fartuchu z jakiegoś powodu uważa za ważne, żeby w pianie, którą zaraz i tak zakryje pokrywką, stworzyć: listek, serduszko lub coś innego, równie ładnego.

– Przepraszam, ale bardzo się śpieszę... Czy mógłbym już dostać tę kawę?

– Oczywiście! Oto ona!

Podaje mi kubeczek, a w oczach lśni mu duma i wiara.

A mnie ogarnia wstyd, gdy przypominam sobie, co mi to przypomina.

Starsi z was być może pamiętają dawne czasy normalizacji, gdy papier toaletowy był towarem deficytowym, a w toaletach publicznych klienci z „grubszą sprawą” dostawali go na przydział.

Tak zwana babcia klozetowa odwijala go ze służbowej rolki. A teraz wyobraźcie sobie, że zanim wam go poda, zacznie na nim coś bazgrać.

Was aż skręca, po prostu nie możecie już wytrzymać.

– Poproszę... ten papier!

– Sekunda! Piszę tam panu wierszyk!

Dokładnie tak się czuję, kiedy barista maluje mi na pianie mojego latté to swoje słoneczko lub serduszko.

Dobry dzień to taki, kiedy wychodzę bez słowa, z szerokim uśmiechem.

4.

**Kiedy rozmawiacie z mamą, zachowujcie się jak
w autoryzowanym serwisie. Nie dziwcie się
agresywnym pytaniom ani wysokiej cenie
i spodziewajcie się najlepszych usług!**

Zadzwońeł do mamy.

– Cześć, mamó!

– Dlaczego ty nigdy do mnie nie dzwonisz?

Milkne zdezorientowany. Kręcę głowę, patrę na telefon z niedowierzaniem.

– Mamó, przecież właśnie do ciebie dzwońię!

– Wiesz, o co mi chodzi!

Takie zdania słyszymy od rodziców przez całe życie. Bez względu na to, ile mamy lat. *Już ci to mówiłam, ale ty nigdy mnie nie słuchasz. Albo: Nie róó tych min, bo ci tak zostanie. Albo: Jeszcze kiedyś mi za to podziękujesz! Lub: Czy jak ona wyskoczy przez okno, to ty też wyskoczysz?*

I oczywiście wieczne: *Nie jesteś głodny?*

Mama mówi:

– Rozmawiałam z dziewczynami.

Wiem, co będzie dalej. Rozmawiała z którąś ze swoich koleżanek, która:

1. widziała mnie w telewizji,
2. spotkała mnie na mieście,
3. miała o mnie sen. Tak czy inaczej, wyrobiła sobie na mój temat jasne zdanie.

– Podobno znów jesteś zarośnięty!

– Mamo, ja mam czterdzieści osiem lat!

– I właśnie dlatego ci o tym mówię!

Kiedy słyszycie takie coś od mamy, zastanawiacie się, kiedy przestaniecie być dzieckiem dla swoich rodziców. Kiedy, mówiąc z odrobiną przesady, usuną was z ewidencji, czyli przestaną się „wami zajmować” i z tego dość skomplikowanego związku między wami pozostanie tylko miłość. To odwieczne pytanie nie posiada jednoznacznej odpowiedzi.

Gdy macie dwanaście lat, zakładacie, że stanie się tak, gdy skończycie piętnaście lat. Wtedy można już legalnie uprawiać seks, więc w waszej dziecięcej logice oznacza to, że rodzice mogliby przestać traktować was jak dzieci.

Ha ha!

W wieku piętnastu lat okazuje się, że:

1. nie uprawiacie żadnego seksu,
2. wciąż macie rodziców i traktują was oni dokładnie tak samo.

To może po osiemnastce.

Hm, również nie.

Kiedy się wyprowadzę.

Kiedy się ożenię. (Zabawne jest myślenie, że akurat ślub komuś pomoże).

Kiedy będę mieć własne dzieci.

To brzmi logicznie, lecz tylko pozornie. To, że macie dzieci, nie znaczy, że sami przestajecie nimi być. Tyle że jednocześnie jesteście rodzicami, co zdecydowanie nie jest zmianą na lepsze. Więc jak to rozwiązać?

Kochamy swoich rodziców, chcemy spłacić im całą tę miłość i opiekę, którymi nas objęli. Szczerze. Ale docenilibyśmy również, gdyby dali nam trochę świętego spokoju. Lecz to niemożliwe.



Mieć rodziców to trochę tak, jak jeździć autem do autoryzowanego serwisu. Dopóki auto jest na gwarancji (= dopóki nie jesteście pełnoletni), jeździ się tam obowiązkowo. Potem można wybierać. Albo tam pozostać, albo jechać gdzie indziej.

W autoryzowanym serwisie prowadzą wam książkę serwisową i wiedzą wszystko o waszym aucie. Dbają o nie najlepiej na świecie. Ale kosztuje to

niemało. A kiedy z waszym autem coś się dzieje, macie wrażenie, że to wasza wina.

– Sprawdziliśmy tylne amortyzatory i są zużyte w siedemdziesięciu sześciu procentach.

– Naprawdę?

– Tak. A przecież od wymiany przejechał pan tylko dziesięć tysięcy kilometrów. Pan chyba... jeździ dość agresywnie? Mężczyzna w garniturze przygląda się wam pytająco, a w jego oczach dostrzegacie wyrzut.

– Ja? Nie, w żadnym razie. Mężczyzna wzrusza ramionami.

– No, w każdym razie znów je wymieniliśmy. Kosztuje to dwa i pół tysiąca.

– Dwa i pół tysiąca? Ale przecież mówił pan, że zużycie wynosi dopiero... ile? Jakoś ponad siedemdziesiąt procent?

– Siedemdziesiąt sześć procent. Według naszych tabel nadawały się już do wymiany.

– A nie mogliście zostawić tam tych starych? Stałoby się coś?

– Nie, proszę pana, zapewniam, że nie mogliśmy! – Patrzy na was jak na potencjalnego mordercę. – Zużyte amortyzatory obniżają skuteczność hamulców!

Aha.

W nieautoryzowanym serwisie facet w uświnionym ubraniu roboczym podaje wam kluczyki i drapie się w krocze.

– Gotowe, szefie!

Ze strachem pytacie:

– I?

– No, spoko. Wymieniłem olej i podregulowałem skrzynię biegów. Jeśli nie potrzebuje pan rachunku, poproszę półtorej stówki.

– To świetnie! Dziękuję. Poza tym wszystko z autem w porządku?

– Tak, przecież mówię. Znaczy... miska olejowa trochę cieknie. Ale to nic takiego.

– Wycieka olej?

– No. Najwyżej niech pan go wytrze w garażu pod autem, żeby nikt się nie poślizgnął.

– Ale to nic poważnego? Że wycieka olej?

– Nie, spoko. Chyba że cała micha pójdzie się walić. Ale wtedy pan przyjedzie i wymienimy ją. Mam tu prawie nową miskę z fiata za trzy stówki.

– Z fiata? Przecież to jest audi?!

– Szefie, są prawie takie same. Ta z fiata może i jest nawet lepsza. Trochę się podszlifuje i będzie jak ułał.

Może tak, może nie. Może spokojnie przejedziecie z miską olejową z fiata dziesiątki tysięcy kilometrów, a może jednak ten gość nie dopasuje jej tak dobrze, miska się urwie i zablokuje przednią oś.

Siedzicie na poboczu przy unieruchomionym aucie i wspominiacie z płaczem autoryzowany serwis.

Ale jest jeszcze coś gorszego: gdy się starzejecie, widzicie, że zaczynacie traktować swoje dzieci dokładnie tak samo, jak wasi rodzice traktowali was. Na przykład pytacie dzieci, czy nie są głodne. To jest uniwersalne pytanie rodzica dokonującego podstawowych prac serwisowych u swoich dzieci.

– Nie jesteś głodny?

Tak naprawdę chcecie spytać na przykład: *Nie czujesz się samotny? Niczego ci nie brakuje? Nie usypiasz ze strachem, że nie poradzisz sobie w życiu? Nie upadasz pod ciężarem świata? Nie potrzebujesz pomocy?*

To wszystko przychodzi wam do głowy i umieracie ze strachu, ale na głos pytacie dziecko tylko o jedno:

– Nie jesteś głodny?

Bo to jest coś, co potraficie zmienić. Dziecko:

– Jestem głodny. Wy:

– To chodź do kuchni, zjemy sobie parówki z musztardą.

Lecz gdyby syn lub córka powiedzieli wam, że przygniała ich ciężar świata, nie wiedzielibyście, co odpowiedzieć. Pewnie tylko wymamrotalibyście jakąś bzdurę... a potem westchnęlibyście z ulgą i powiedzielibyście:

– To wiesz co? Chodźmy do kuchni, zjemy parówki z musztardą.

– Jesteś głodny? – pyta mnie mama za każdym razem, gdy odwiedzam ją i tatę, choć skończyłem już czterdzieści osiem lat.

Czasem jestem trochę szczuplejszy, czasem trochę grubszy, ale przez ostatnie trzydzieści lat nie zanotowałem poważniejszych wahań wagi. Lecz mama wciąż ma wrażenie, że NIGDY nie ważę tyle, ile powinienem. Z moją wagą zawsze coś jest nie tak, tylko nie wiadomo co.

– Jesteś strasznie chudy. Nie jesteś chory?

– Nie.

– Nie jesteś głodny?

– Nie.

– Usmażę ci kotleta, chcesz?

– Nie. Nie jestem głodny.

– To wiesz co? Wyciągnę z zamrażarki polędwicę, której tata nie dojadł w zeszły weekend.

– Naprawdę nie jestem głodny.

– Boże, jaki z ciebie uparciuch.

I zaczyna smarować mi rogaliki pasztetem. Muszę je zjeść. Udaje mi się wynegocjować przynajmniej tyle, że jednego zjem od razu, a drugiego wezmę ze sobą na drogę.

Dwa tygodnie później znów widzę się z mamą.

– Czy ty aby nie przytyłeś?

– Myślę, że nie.

– Według mnie trochę tak.

– Hm.

– Wiesz, lepiej wyglądasz szczupły.

– Wiem, mamo.

– A nie jesteś głodny? Może usmażyć ci kotleta?

– Mamo?! Przecież przed chwilą mówiłaś, że przytyłem!

Robi minę człowieka, którego nie da się tak łatwo przegadać.

– Bo jesz nieregularnie. Wiadomo, że ludzie, którzy o sobie nie dbają, szybko tyją. Podgrzać ci gulasz?

Ostatecznie dostaję na drogę rogalik z pasztetem i cieszę się, że na tym się skończyło.

Ale nie narzekam.

Kto wie, może gdyby takiemu Hitlerowi nie umarła matka, gdy miał osiemnaście lat, wszystko potoczyłoby się inaczej: *Adolfie, co z tą twoją grzywką? Jest za długa. I zgól te wąsy. Czy ty aby nie jesteś za chudy? Odgrzać ci bratwurst z kapustą? A kiedy przemawiasz do ludzi, to tak nie rycz. Jeszcze pomyślą, że jesteś jakimś psychopatą.*

Czasem niewiele trzeba, żeby obudzić w ludziach to, co dobre.

– Adolfie, dlaczego nie powiedziałeś panu Rubinsteinowi dzień dobry?

– Przecież chyba nie będę kłaniać się Żydowi!

– Chcesz oberwać po dupsku? Natychmiast zacznij traktować pana Rubinsteina, jak należy! To starszy człowiek! Matczyna laska, coś zrobić. Gdzie świat byłby bez niej?

5.

Kiedy zachowujemy się jak idioci, dobrze o tym wiemy, ale i tak nie możemy na to nic poradzić

Uśmiecha się i wzdycha.

Spóźnienie pociągu wynosi kilkadziesiąt minut, w hali dworca tłoczą się nerwowo setki osób.

Nie wiadomo, czy pociąg w ogóle odjedzie. A co dopiero czy potem dotrze do celu. Jest niedzielny wieczór, a kraj dochodzi do siebie po najgorszej wicherze ostatnich lat. Podchodzę do kasy, żeby sprawdzić, jakie są nadzieje.

– Jeśli pan może, proszę przełożyć podróż na jutro. Uniknie pan ewentualnych problemów! – mówi dziewczyna w okienku z napisem Pendolino.

– A czy może mi pani wymienić bilet?

– Oczywiście. – Uśmiecha się. – Pod warunkiem, że kupił go pan w kasie, a nie przez Internet.

Jasne, że kupiłem przez Internet. Czy ktoś jeszcze chodzi po bilety na dworzec?

Dziewczyna znów się uśmiecha. Widać, że bardzo się stara.

– W takim razie niech go pan wymieni w sklepie internetowym.

Proste jak drut. A raczej byłoby proste, gdyby ten sklep teraz działał. Ale przez całe popołudnie jest niedostępny. Albo dostępny, ale bardzo powolny. Wieje wiatr, czego się spodziewałeś?

Dziewczyna wzrusza ramionami na znak, że w takim razie nie może mi pomóc, i już przenosi wzrok na mężczyznę stojącego w kolejce za mną. Mową ciała bardzo kulturalnie daje mi do zrozumienia, że już niepotrzebnie zajmuję miejsce przy jej okienku.

Ale nie ze mną te numery. Podnoszę głos.

– Chwileczkę, przecież to nie jest mój problem, że wasze pociągi nie jeżdżą, a sklep nie działa. Proszę wymienić mi bilet!

– Bardzo bym chciała, ale nie mam takiej możliwości. Jeszcze trochę podnoszę głos.

– Jak to?

– Nie mam dostępu do sklepu internetowego. Nasze systemy nie są połączone. I przepraszam, ale muszę obsłużyć kolejnych pasażerów.

Znów podnoszę głos.

– Nie ma mowy! Najpierw obsłuż pani mnie! Chcę wymienić bilet i nie interesuje mnie, że macie wadliwy system!

Dziewczyna znów wzrusza ramionami.

Chyba nie muszę powtarzać, że znów trochę podnoszę głos. Mówię:

– Proszę wezwać kierownika!

Już kiedy wypowiadam te słowa wśród dziesiątek pasażerów i ośmiu styranich pracowników kolei, wiem, jak absurdalne jest to żądanie.

– Kierownika tu nie ma – mówi dziewczyna.

– To mnie nie interesuje!

Dziewczyna wzdycha i chyba też już zaczyna się w niej powoli gotować, bo mamrocze pod nosem coś do siebie. Niewyraźnie, a ja tylko

widzę, jak stawia oczy w słup. Niedobrze.

– Co pani powiedziała? – pytam, obawiając się jednocześnie, że mój podniesiony głos przechodzi w nieprzyjemny pisk.

– Nic – odpowiada.

– Proszę natychmiast to powtórzyć! – Chyba zaczynam też wytrzeszczać oczy.

Dziewczyna kręci głową, ja spoglądam znacząco na jej plakietkę z nazwiskiem, przypiętą do służbowej bluzy, i krzycząc: – Złożę na panią skargę! – odwracam się. Ludzie schodzą mi z drogi.

Podsumujmy to. Po pierwsze: zachowuję się jak idiota. Po drugie: jestem tego w pełni świadomy. Po trzecie: i tak nie potrafię na to nic poradzić.

Od kiedy ta dziewczyna powiedziała mi, że biletu kupionego przez Internet nie można oddać w kasie, dalsza rozmowa nie miała sensu. Wiem to, nie jestem głupi. Tylko tak się zachowuję. Czasami. I przez to musiałem wypić piwo, którego sobie nawarzyłem.

Tak samo jak dwa tygodnie temu, kiedy w drive thru w KFC zamówiłem skrzydełka, a gdzieś z okienka dobiegło do mnie: *Pańskie zamówienie nie jest jeszcze gotowe, czy może pan poczekać dwie minuty na parkingu?* Potem czekałem na te głupie skrzydła dziesięć, a może nawet piętnaście minut.

Kiedy wreszcie pojawiła się osiemnastolatka z moim kubelkiem, zacząłem wściekle walić pięściami w kierownicę i krzyczeć:

– Wie pani, jak długo trwają dwie minuty? Czy pani w ogóle wie, co to jest minuta? Uczyli panią w szkole godzin? Powtarzałem to nawet po tym, jak kilkakrotnie mnie przeprosiła, wcisnęła mi przez otwarte okno kubelek na kolana i wróciła do restauracji.

Moja żona obserwowała mnie ze strapioną miną. Delikatnie uniosła brwi, a gdy zobaczyła, jak cierpię przez własne idiotyczne zachowanie, powiedziała cicho:



– Dobrze jej wygarnąłeś! – i westchnęła cicho, ale przeciągle.

Albo miesiąc temu, kiedy stałem na skrzyżowaniu za jakimś małym citroenem próbującym wyjechać z podporządkowanej ulicy na główną. A kiedy pojawiała się szansa, by wreszcie wyjechał, on tylko dwa, trzy razy podskakiwał, a potem prawdopodobnie zdychał mu silnik. Po chwili cały spektakl się powtarzał. I tak w kółko. Raz, dwa, jeszcze raz. W końcu nie wytrzymałem i kilkakrotnie zatrąbiłem, długo, agresywnie.

Było jasne, że to nie pomoże, wręcz przeciwnie. Kobieta za kierownicą jeszcze bardziej się zestresowała, a jej auto podskoczyło nerwowo pięć razy. Efekt był taki, że ja i wszyscy pozostali czekaliśmy kilka minut dłużej.

Założę się, że w pozostałych autach stojących na tym skrzyżowaniu rozległy się słowa:

– Dlaczego ten idiota trąbi? Czy on nie wie, że to w niczym nie pomaga? Że ta kobieta nie może ruszyć?

Gdyby było to możliwe, odpowiedziałbym spokojnym głosem:

– Oczywiście, że wiem. Ale nie potrafię nad tym zapanować, rozumiecie?

Albo przed miesiącem z kawałkiem, kiedy dzwoniłem do swojego operatora. I pomimo iż najpierw wysłuchałem informacji, że wszystkie rozmowy są nagrywane, już po kilkudziesięciu sekundach rozmowy z pracownikiem obsługi wrzeszczałem histerycznie:

– Proszę mi wyjaśnić, dlaczego od dwóch godzin nie działa mi Internet! Czy hasło „Nasz klient, nasz pan” przestało już być aktualne! Hę?

I jeszcze zanim zdążyłem odłożyć telefon, już pisałem na Twitterze, że to po prostu skandal, że firma XY ma koszmarną jakość usług i zatrudnia skończonych kretynów. Niektóre słowa pisałem dużymi literami, a na końcu zdań dodawałem trzy wykrzykniki.

Właściwie miałem szczęście, że Internet naprawdę nie działał, a połączenie naprawili dopiero za godzinę, bo dzięki temu zdążyłem jeszcze raz przeczytać ten tweet i skasować go, zanim trafił do sieci.

Krótko mówiąc, czasem zachowujemy się jak idioci. A jeśli nie jesteśmy prawdziwymi idiotami, zazwyczaj bardzo szybko zaczynamy się za siebie wstydzić. Lecz jak już wspomniałem, nie potrafimy na swoje zachowanie nic poradzić.

Istnieje nawet tzw. Prawo Wheatona, które brzmi: *Don't be a dick!*, w wolnym tłumaczeniu: „Nie bądź dupkiem”. Aktor i guru gier komputerowych sformułował je na konferencji Penny Arcade Expo w Los Angeles w sierpniu 2007 roku jako jedną z reguł grania online.

Ta prosta maksyma stała się później jedną z podstawowych „reguł internetowych”, mających zastosowanie szczególnie w rozmowach w sieci oraz w mediach społecznościowych. Możemy krytykować ludzi, jeśli coś nam się w nich nie podoba, możemy ich nawet nie lubić, ale nie

powinniśmy zachowywać się jak durnie. Niektórzy obchodzą nawet „dzień, kiedy nie zachowujemy się jak dupki”. Przypada 29 lipca, czyli w urodziny Wheatona.

Istnieją środowiska, które sprzyjają głupiemu zachowaniu, a nawet je umacniają. Jednym z nich jest Internet, bo daje anonimowość, przynajmniej pozorną, oraz poczucie bezpieczeństwa, kiedy chowamy się za monitorem komputera lub ekranem telefonu i nie grozi nam konfrontacja twarzą w twarz.

Ale to prawo można równie dobrze stosować w realnym świecie. Jak idioci zachowujemy się też za kierownicą, w restauracjach lub przy tych wszystkich okienkach, infoliniach, wobec podwładnych i kolegów... albo po prostu wobec kogokolwiek, kto się akurat pojawi. Pytanie brzmi, dlaczego tak się dzieje?

Jesteśmy wychowani tak, żebyśmy byli mili, uprzejmi i pełni wzajemnego zrozumienia. Takich ludzi szanujemy i lubimy. Problem w tym, że przyroda i ewolucja „zaprogramowały” nas inaczej.

Opryskliwość, ordynarność, po prostu „zachowanie durnia” jest dla naszego mózgu ważniejszą informacją niż to, że ktoś w naszej bliskości jest miły i uprzejmy. To logiczne: człowiek z rozzłoszczoną miną oznacza zagrożenie. Szczęśliwi i zadowoleni ludzie dużo mniej absorbują naszą podświadomość.

Psychologowie i neurologowie z brytyjskiego uniwersytetu w Bangor przeprowadzili w 2008 roku ciekawy eksperyment. Jego uczestnikom pokazywali fotografie obcych ludzi. Różniły się one wyrazem twarzy. Niektóre miny były rozzłoszczone i wkurzone, natomiast inne uśmiechnięte lub neutralne.

Wniosek? Respondenci dużo lepiej zapamiętywali twarze z negatywnymi emocjami. Potrafili lepiej je opisać, po prostu dużo bardziej wryły się im w pamięć. Rezonans magnetyczny wykazał ponadto, że ich widok wywołał w mózgu dużo większą aktywność niż widok twarzy pozytywnych lub neutralnych.

To, że kobiety zakochują się w „dupkach”, jest tematem wielu powieści dla kobiet, ale też poważnych badań. Bycie *nice guy* jest koszmarnie nieatrakcyjne. Wprawdzie nie sądzę, że wspomniana na wstępie pracowniczka kolei żywiła wobec mnie romantyczne uczucia, lecz bez wątpienia wryłem się w jej pamięć tamtego wietrznego dnia.

Dupkom ogólnie jest łatwiej. Kiedy ktoś objeżdża po torach tramwajowych auta stojące na światłach, a potem wciska się na pożądany pas ruchu, musi być gruboskórnym idiotą. Ale w końcu i tak ktoś go wpuszcza, a on oszczędza czas. Takie przykłady możemy znaleźć w naszych normalnych życiach bez liku.

Poza tym głupie zachowania są zaraźliwe. Wystarczy, że pojawi się ono raz, i już tylko kwestią czasu staje się to, kiedy – najpierw niepewnie i niemal niechętnie, a potem już dość brawurowo – zaczną pojawiać się naśladowcy.

W bezpośrednim starciu prawie zawsze wygrywa dupek, po prostu dlatego, że kieruje się on swoimi idiotycznymi zasadami, podczas gdy normalny człowiek kieruje się tymi normalnymi, ludzkimi. Jesteście bez szans. Albo musicie przygotowywać się na takie pojedynki. Trenować. Robert Sutton, amerykański psycholog i profesor uniwersytetu w Stanford, wydał niedawno książkę: *Jak przeżyć, będąc dupkiem (The Asshole Survival Guide)*.

Ale uwaga, odczytanie tego tekstu w taki sposób, że ja – jego autor – jestem dupkiem, byłoby zbyt pochochne. Nie, tekst jest o czymś innym. Że istnieje bardzo subtelna, prawie niezauważalna różnica między tym, gdy jesteśmy miłymi i pełnymi zrozumienia ludźmi, a tym, gdy nagle zaczynamy się zachowywać jak idioci. I że pod wpływem okoliczności łatwo tę granicę co jakiś czas przekroczyć.

Jednak od dupków różnimy się nie tylko dlatego, że jesteśmy tego świadomi (bo oni często też są!), ale że nam to doskwiera. Może nawet bardziej niż tym, wobec których zachowujemy się jak dupki. Bo kiedy spotykacie się z dupkiem, zawsze macie szansę machnąć ręką i po prostu go ignorować. Lecz kiedy macie dupka w sobie, choćby tylko chwilowo, jest dużo gorzej.

Wiercie, że staramy się żyć zgodnie z Prawem Wheatona. Trzymamy swoich wewnętrznych głupców krótko na smyczy. Ale czasem po prostu coś idzie niezgodnie z planem. Dziękujemy lepszej części ludzkości, że mimo to ma do nas cierpliwość.

6.

Gdy spotykacie ludzi, którzy znają instrukcję obsługi życia, pomyślcie o tych, którzy jej nie znają i nigdy nie znali

Istnieją ludzie, którzy wszystko wiedzą lepiej niż wy. Że diesel jest lepszy niż benzyna, że ta droga jest szybsza niż tamta i że rude są namiętniejsze niż blondynki. Na przykład.

I ci ludzie niezmiennie się dziwią, że wy tego nie wiecie. Kiedy chwalicie się im, że byliście na wyśmienitej kolacji w restauracji X, odpowiadają:

– Tak? Ale jeśli lubisz naprawdę porządną i stylową kuchnię, musisz iść do restauracji Y. To absolutny numer jeden. Bez dwóch zdań!

Albo mówicie, że właśnie wróciliście z urlopu na wyspie X.

– A byłeś już na wyspie Y? Bo kiedy raz tam pojedziesz, nie będziesz mieć żadnego powodu, by jeździć gdziekolwiek indziej, nawet na wyspę X.

Z rozpaczy wymyślacie, że w samolocie „upgradowali” was do pierwszej klasy i że przez cały lot nad Atlantykiem siedzieliście obok Paula McCartneya.

– Podobno Ringo Starr jest dużo zabawniejszy! Takich ludzi po prostu nie pokonacie.

Jeden mój kolega zaprosił niedawno mnie i moją żonę na kolację. Powiedział:

– Jeśli przyjdziecie autem, możecie spokojnie zaparkować w ulicy prostopadłej do naszej.

– Moment – mówię. – Przecież tam jest zakaz parkowania, nie?

– Tak – odpowiada kolega. – Ale wieczorem policja nie odciąga stamtąd aut.

Mówię, że w takim razie mogę zaparkować też przed jego domem, bo tam jest ta sama strefa.



– Jest – potwierdza kolega – ale uważaj, bo tam czasem odciągają!

Wzruszam ramionami i parkuję dokładnie tak, jak mi doradził. Po kolacji wracamy z żoną do auta. Oczywiście już go tam nie ma. Odciągnęli je.

Nazajutrz opowiadam o tym koledze przez telefon. Nie jestem na niego zły, przecież to nie jego wina.

– Naprawdę odciągnęli ci auto? – pyta z niedowierzaniem.

– No – przytakuję. Już chcę zacząć go uspokajać, żeby się nie przejmował, że przecież to nie jest żadna tragedia. Ale on mi przerywa.

– Czekaj! A czy wczoraj nie był piątek?

Nie do końca rozumiem, jaki to ma związek z moim autem, ale mówię, że owszem.

– No to wszystko jasne – śmieje się kolega, a w jego głosie znów słyszę pewność siebie człowieka wszechwiedzącego. – Od piątku do niedzieli zawsze odciągają stamtąd auta. W naszej dzielnicy wszyscy o tym wiedzą.

Nie chcę mu przypominać, że to on doradził mi, żebym tam zaparkował. Przecież to w sumie bez znaczenia. Ale ta pewność siebie mnie fascynuje.

Podziwiam ludzi, którzy mają instrukcję wszystkich zwyczajnych sytuacji życiowych. Wiedzą na przykład, że jeśli wsiada się do metra pod naszą pracą, to:

– jeśli jedzie się jedną stacją dalej, trzeba wsiąść drugimi drzwiami trzeciego wagonu,

– jeśli jedzie się dwie stacje dalej, trzeba wsiąść pierwszymi drzwiami pierwszego wagonu,

– jeśli jedzie się trzy stacje dalej, trzeba wsiąść ostatnimi drzwiami ostatniego wagonu,

– jeśli jedzie się na końcową stację, trzeba wsiąść drugimi drzwiami trzeciego wagonu itd.

Tylko taki układ gwarantuje, że na tych stacjach wysiądzie się najbliżej wyjścia. Nie trzeba będzie zrobić ani jednego zbytecznego kroku. Ci życiowi spryciarze dumnie ruszają tam ku ruchomym schodom, a ludziom wysiadającym z innych drzwi rzucają spojrzenie:

– Boże, czy wy w ogóle nie znacie tej linii?



Oczywiście istnieją też ludzie, którzy żadnej instrukcji nie znają, wręcz przeciwnie. Wszystko odkrywają wciąż na nowo. Dotyczy to szczególnie odruchowych, drobnych czynności. Takim człowiekiem jest na przykład moja żona. Wsiadamy do auta, ja za kierownicę, a ona na fotel pasażera. Usadawia się, na jej twarzy pojawia się uśmiech.

– Pas. Na Boga świętego, zapnij pas – mówię. Ale w duchu, bo gdybym powiedział to głośno, odparłaby, żebym przestał ją pouczać z każdym drobiazgiem. Ruszamy i po kilkudziesięciu metrach rozlega się sygnalizacja dźwiękowa niezapiętego pasa. Najpierw delikatnie, potem głośniejsze, aż w końcu nieznośnie. Córka na tylnym siedzeniu mówi:

– Boże, mam, zapnij wreszcie ten pas!

To wyrywa moją żonę z zamyślenia. Rozgląda się zaskoczona.

– To ja pipczę?

Jakby dopiero teraz zorientowała się, że mamy w aucie pasy bezpieczeństwa, które inżynierowie firmy Volvo wymyślili już w latach pięćdziesiątych, a ich używanie jest od kilkudziesięciu lat obowiązkowe prawie na całym świecie.

Albo inny przykład: ludzie telefonujący w metrze. W tunelach nie ma zasięgu, z wyjątkiem kilku nowych stacji. Nigdy go tam nie było i nie

będzie. Ale i tak codziennie widzimy ludzi, których to zaskakuje.

Dzwoni im telefon, kiedy metro stoi na stacji. To może się zdarzyć, wam też na pewno czasem się to przytrafia. Prawdopodobnie – podobnie jak ja – rozłączacie się lub odbieracie i wyjaśnacie, że jesteście w metrze i że za chwilę oddzwonicie.

Ale ONI nie.

Odbierają, a ponieważ dzwoni do nich kumpel lub kumpela, nagle cali promienieją i rozsiadają się wygodnie na siedzeniu.

– No hej! Jasne, że nie przeszkadzasz. Jestem w metrze. Spoko, nawijaj. Powoli ruszamy i wjeżdżamy do tunelu.

– Halo? Słuchaj, coś przerywa. Nic nie słyszę. Halo? Halo? Na przemian krzyczy do słuchawki *Halo!* i z niedowierzaniem sprawdza ekran.

Potem rozgląda się po wagonie i patrzy na nas, mimowolnych widzów tej sytuacji.

– No nie mogę! Tu chyba nie ma sygnału! Na kolejnej stacji wybiera numer.

– No siemka, to ja. Coś przerwało, ale już w porządku. Słuchaj, musimy się umówić na weekend.

Powoli wjeżdżamy do tunelu.

– Halo? Słyszysz mnie? No nie wierzę, to chyba jakieś jaja. I wszystko powtarza się od nowa.

Są to po prostu szczęśliwi ludzie, bo dla nich każdy nowy dzień stanowi gwarancję nowych przygód, bez względu na to, że przeżywają je na okrągło.

Istnieją też tacy, którym okoliczny świat nie jest potrzebny. Ściślej mówiąc, traktują go wybiórczo, kierując się własnymi potrzebami. Przypomina mi się kobieta, którą też widziałem w metrze.

Wsiadła z telefonem przy uchu. Najwyraźniej dzwoniła do męża.

– Karol? Słuchaj, naprawdę myślę, że powinniśmy wyjechać już w piątek, a nie w sobotę. Wiem, że nie jesteś tym zachwycony, ale ty nigdy nie jesteś zachwycony. Bądźmy szczerzy.

Skład wjeżdża do tunelu, ale oni rozmawiają dalej.

– Chcę być w tym domku już w piątek, bo w sobotę przyjeżdża Maria. Wiem, że się z tego nie cieszysz, ale ty nigdy się nie cieszysz z jej przyjazdów. Tyle że to moja siostra i raz na jakiś czas chcę się z nią zobaczyć.

Wciąż rozmawiali. Zatrzymywaliśmy się na kolejnych stacjach.

– Karol, już ją zaprosiłam. I myślę, że koniecznie musisz tam w sobotę odkurzyć. Wiem, że ci się nie chce. Ale tobie się nigdy nic nie chce. To jest właśnie ten problem.

Obserwowałem to zafascynowany, podejrzewając, że może któryś z operatorów testuje nowy sygnał w naszych tunelach.

Nie testował. Na kolejnej stacji kobiecie zadzwonił telefon, który wciąż trzymała przy uchu.

Ona się w ogóle nie zorientowała, że już nie rozmawia z mężem! Że rozmowa została przerwana po jej pierwszym zdaniu! I wciąż mówiła, choć ze strony męża nie słyszała żadnej reakcji.

Najwyraźniej w niczym jej to nie przeszkadzało.

Ale kiedy telefon zaczął jej dzwonić przy uchu, strasznie się przestraszyła. Natychmiast odebrała.

– Karol? Wiesz, jak się przestraszyłam?

A potem dodała cudowne zdanie, stanowiące genialną puentę całej tej historii.

– Dlaczego do mnie dzwonisz, gdy z tobą rozmawiam?! Wyobraziłem sobie tego biedaka, rozwalonego wygodnie w fotelu i oglądającego jakiś popołudniowy program z wyciszonym dźwiękiem.

Całkiem możliwe, że była tam z nim ich dorosła córka i mówiła mu:

– Tato, powinienes zetrzeć kurze. My z mamą wiemy, że ci się nie chce. Ale tobie nigdy się nie chce ścierać kurzu. Lepiej to zrób, zanim wróci mama.

A kiedy za dwadzieścia lat ten człowiek umrze, będzie siedzieć dwa tygodnie przed telewizorem, zanim żona zauważy, że jej nie odpowiada. A i to tylko dlatego, że ciało zacznie śmierdzieć.

Ona będzie chodzić wokół i mówić:

– Karolu, musisz tak śmierdzieć? Ja wiem, że tobie to nie przeszkadza, tobie te sprawy nigdy nie przeszkadzały. Ale powinienes myśleć też o pozostałych.

Zatrzyma się przed fotelem i położy dłonie na biodrach.

– Karolu?

7.

Kiedy macie nieprzyzwoite myśli, ale nie uświadamiacie sobie, że będziecie musieli za nie zapłacić

Wiedzieliście, że codziennie współżyje na świecie dwieście czterdzieści milionów osób? To szacunkowe dane podawane przez renomowanych seksuologów, ale podobno opierają się one na rzeczywistych danych.



Jeśli odliczymy od tego małe dzieci i naprawdę brzydkich ludzi, z którymi nikt nie chce sypiać, wychodzi nam, że codziennie uprawia seks mniej więcej co dwudziesty piąty człowiek. Zatem kiedy rano jedziecie

pełnym tramwajem, w którym jest, powiedzmy, sto osób, seks dzień wcześniej uprawiały tylko cztery z nich.

Zazwyczaj można je bez problemu zidentyfikować.

A jednocześnie wyjaśnia to, dlaczego pozostali mają takie skwaszone miny.

Wiedzieliście, że statystyczny mężczyzna w wieku siedemdziesięciu pięciu lat przeżył przez całe swoje życie trzy godziny orgazmu? Nie przesłyszeliście się. TRZY godziny.

To tyle co podróż z Ostrawy do Pragi, ale orgazmy są przyjemniejsze.

Albo tyle co dłuższy film pełnometrażowy. Na przykład jedna część *Gwiezdných wojen*.

Nie żeby *Gwiezdne wojny* nie były świetne. Oczywiście, że są.

Ale pomyślcie o całej tej energii i staraniach, które my, mężczyźni, poświęcamy przez całe życie na to, żeby... za przeproszeniem, tu i ówdzie trochę pobzykać. Połóżcie to na jedną szalę. A na drugiej jest podróż do Ostrawy lub – w lepszym przypadku – JEDEN film?

Choćby nawet świetny?

Mnie to się wydaje mało.

Ale idźmy dalej.

Wiedzieliście, że mężczyźni myślą o seksie przez całe życie, codziennie, we dnie i w nocy? Według niektórych wyliczeń co osiem minut, według innych, prawdopodobniejszych, około dwudziestu, trzydziestu razy dziennie.

A jeśli akurat nie śni się wam seks, mózg mężczyzny ma zaprogramowane coś w stylu „automatycznej erekcji”. Badania wykazały, że w ciągu nocy zdrowy mężczyzna ma kilka erekcji, nawet bez bodźców erotycznych.

Jest to coś na kształt kontroli ważnych organów. W elektrowniach jądrowych takie testy są na porządku dziennym.

W ciągu dnia nasze myśli na temat seksu nie pojawiają się same z siebie. Wyobrażamy sobie seks z kobietami, które spotykamy.

W jednym badaniu sprawdzano, w których zawodach kobiety najczęściej stają się obiektem fantazji erotycznych. Okazało się, że są to barmanki, nauczycielki, pielęgniarki oraz sprzedawczynie w sklepach z luksusowym asortymentem.

Ale czy wiedzieliście, że zdecydowanie najczęstszym obiektem naszych westchnień są stewardesy?

Oczywiście już dawno przestało obowiązywać to, że wszystkie stewardesy wyglądają jak modelki, jak miało to miejsce w czasach linii PanAm w latach siedemdziesiątych. Ale i tak wciąż mają one całkiem atrakcyjną aparycję.

W samolocie nas obskakują, a jednocześnie spełniamy każde ich polecenie. Przy odrobinie fantazji jest to trochę jak *lap dance* w barze ze striptizem. Jesteście przypięci do siedzenia, a stewardesy spełniają wasze życzenia. Oczywiście tylko niektóre. Ale wy musicie być grzeczni. Bo jeśli nie będziecie, stewardesy mogłyby zawołać kapitana! Czyż to nie brzmi jak gra wstępna do namiętnego, dzikiego seksu?

No i jeszcze ten show przed startem, kiedy stewardesa pokazuje, jak w razie potrzeby skorzystać z maski tlenowej i kamizelki ratunkowej. Też widzieliście to przedstawienie już przynajmniej sto razy, prawda?

Ale dobre wychowanie nie pozwala wtedy spać czy choćby po prostu czytać książkę. Nie muszę dodawać, jaki rozkaz wydajecie w takiej chwili swojej fantazji.

(Dobra znajomość pornografii może okazać się pomocna).

Gdzieś czytałem, że stewardesa, która jednego dnia spędza z pasażerami w powietrzu około sześciu-ośmiu godzin, staje się obiektem fantazji erotycznych około pięćdziesięciu mężczyzn.

Uf, to mogłoby wystarczyć na akcję protestacyjną związkowców. Wyobraźcie sobie, że jesteście pracującą kobietą w średnim wieku, a codziennie w pracy pięćdziesięciu facetów rżnie was wzrokiem.

Może powiecie, że lubieżne myśli jeszcze nikomu nie zaszkodziły. To prawda. Nie można w tym przypadku mówić o gwałcie. Ani wykorzystywaniu. Ale jakiś mały biznesik można by na tym zbudować.

Kupując bilet, płacimy opłatę paliwową, co nie jest zbyt sensowne, bo przecież samolot nie może lecieć bez paliwa. Dlaczego więc za paliwo płaci się osobno?

Kierując się tą samą logiką, można by wprowadzić też opłatę za bzykanie. Miałyby stałą wartość, na przykład osiemdziesiąt złotych, i obejmowałyby jakąś konkretną liczbę fantazji erotycznych.

Wszystko monitorowałyby specjalne urządzenia, na razie niewynalezione, ale nie wątpię, że jeśli linie lotnicze zwęszą interes, mogą wywrzeć presję na odpowiednich konstruktorach. Czasy, kiedy ludzie za darmo dostawali w samolocie posiłki, minęły bezpowrotnie. Dziś płaci się za kanapki, a w niektórych samolotach nawet za wodę, więc dlaczego – szczególnie tanie linie lotnicze – miałyby nie pobierać opłat za kosmate myśli?

A w uzasadnionych przypadkach mogłyby nawet żądać dopłaty.

Po wylądowaniu przy drzwiach samolotu pojawiałaby się dodatkowa bramka płatnicza.

– Proszę pana!

– Tak?

– Według naszych informacji miał pan osiem niestosownych myśli.
W cenie biletu jest pięć.

– Ehm... Ile mam dopłacić?

– Standardowa opłata to cztery euro za każdą dodatkową niestosowną myśl.

– Czyli trzy razy cztery... Dwanaście euro?

– Piętnaście, proszę pana. Za seks w trójkę z pilotem jest dodatkowa opłata trzy euro.

– Wypraszam sobie. Z jakim pilotem?

– Moment... Przepraszam, pomyliłam pana z pasażerką w czwartym rzędzie. Pan ma dopłatę jedno euro za seks analny. Czy zapłaci pan gotówką?

Gotówką. Bo kto chciałby mieć COŚ TAKIEGO na wypisie z banku, prawda?

8.

Kiedy kochacie dobrych ludzi, ale macie w sobie tak trochę złego człowieka

Stoję na rogu przed hotelem w Manchesterze. Idę pobiegać i czekam, aż aplikacja w moim telefonie złapie sygnał GPS.

To jest opowieść o tym, że trzeba uważać na dobre uczynki.

Bo przy chodniku zatrzymuje się auto. Stary vauxhall corsa lub kadet.

Wyskakuje z niego pięćdziesięciolatek w tweedowej marynarce.

– Czy potrzebuje pan pomocy? Szuka pan czegoś? Jakby nie widział, że trzymam w dłoni telefon.

Mam ochotę odpowiedzieć:

– Drogi panie, nawet gdybym czegoś szukał, na przykład pańskiej żony, to to urządzenie pomogłoby mi sto razy lepiej i szybciej niż pan. Zatem bardzo dziękuję, ale proszę zostawić mnie w spokoju.

Ale tak naprawdę odpowiadam:

– Nie, dziękuję bardzo. Wszystko w porządku. Lecz on nie daje się spławić.

– Ja jestem stąd! – Potem pokazuje na tablicę na domu za moimi plecami. – To Princess Street. – Potem wskazuje na tablicę po drugiej stronie ulicy. – A tam jest George Street.

– Aha! Rzeczywiście! Bardzo mi pan pomógł!

Ale on wciąż nie odchodzi. Pyta przyjaźnie, co robię w Manchesterze i jak mi się tu podoba. I skąd jestem. Zapewnia mnie, że dobrze zna Czechosłowację. Jeszcze tam nie był, ale wybiera się od dawna. Zresztą pochodziła stamtąd szwagierka jego dobrego kolegi. Moment... a może ona była z Chorwacji?

Wciąż się uśmiecha.

Jest to po prostu dobry człowiek. A dobrego człowieka nie można tak po prostu posłać do na przykład diabła. Bo jeśli tak zrobicie, twarz mu się rozjaśni i powie:

– Z wielką chęcią. A którądy to? A kiedy wyjaśnicie:

– To niedaleko. Niech pan wsiądzie do auta, jedzie pan po Princess Street i na drugim skrzyżowaniu skręci pan w prawo – twarz jeszcze bardziej się im rozjaśni i powiedzą:

– No racja! – Potem na chwilę się zamyślą i dodadzą: – Można by tam dojechać też po George Street i na pierwszym skrzyżowaniu skręcić w lewo. Ale to byłaby chyba dłuższa droga.

Ostatecznie porozmawialiśmy sobie przez jakieś dziesięć minut, potem życzyliśmy sobie nawzajem miłego dnia i pożegnaliśmy się. A ten mężczyzna, jeszcze zanim odjechał, opuścił szybę i spytał, czy na pewno nie potrzebuję pomocy.

Wtedy pojąłem, że nie potrafię rozmawiać z dobrymi ludźmi.

Ze złymi jest to proste. Gdybym przechodził przez Princess Street ze wzrokiem wlepionym w telefon, a ktoś by na mnie zatrąbił i krzyknął: *Patrz, gdzie leziesz, głupku!*, pokazałbym mu środkowy palec i odkrzyknąłbym: *Sam jesteś głupkiem*. I po problemie. Pięć sekund później obaj wrócilibyśmy do swoich spraw.

Z dobrym człowiekiem spędzacie dziesięć minut, a często i tak macie z tego złe wrażenia.

Na przykład niedawno byłem na poczcie. Nie zrozumcie mnie źle, nie chcę się skarżyć na pocztę. Narzekanie na pocztę to amatorszczyzna. Zawodowcy chodzą na pocztę, by nad sobą popracować.

Podobnie jak na siłownię, z tą różnicą, że nie ćwiczą mięśni, tylko cierpliwość i samokontrolę.

Wciskam przycisk, dostaję numerek i czekam. Na marginesie: zauważyliście, że na poczcie mają kilka różnych numeracji, więc nie macie najmniejszego pojęcia, ile osób jest przed wami i jak długo będziecie czekać?

Ale ja się nie skarżę i spokojnie obserwuję urzędniczkę w okienku. Za każdym razem najpierw obsługuje klienta, a potem wciska jakiś przycisk. Sekret tkwi w tym, że nie robi tego od razu.

Zrozumiałbym, gdyby jeszcze musiała na przykład coś zapisać o poprzednim kliencie. Ale ona tylko siedzi i patrzy. Rusza oczami w lewo i w prawo.

Może mają dozwoloną minutę bezczynności, nie wiem, tak czy inaczej, wygląda to dziwnie. A potem dostojnym ruchem, który jeszcze większe wrażenie zrobiłby w zwolnionym tempie, z elegancją wirtuoza kończącego sonatę fortepianową kameralnym „a”, wciska przycisk.

Rozlega się głośny, nieprzyjemny dźwięk, a na ekranie pojawia się mój numer.

Podchodzę do okienka. Muszę tylko potwierdzić oryginalność swojego podpisu, czyli nic skomplikowanego. Pod warunkiem, że przy sąsiednim okienku nie stałaby około czterdziestopięcioletnia kobieta w kostiumiku, z drogą torebką i telefonem przy uchu.

Wygląda na to, że dziś mój trener na siłowni przygotował trudniejszy zestaw ćwiczeń niż zazwyczaj.

– Klara? Nie zdążę na ten *workshop* o jedenastej. Niech mnie pani *delejtnie* w Outlooku. I proszę *zshareować* przeprosiny dla pozostałych. Już to pani zrobiła? Klaro, pani jest cudowna.

Rozmawia przez telefon, a jednocześnie podsuwa urzędnicze pod szybą około pięciu listów poleconych.

– Klaro, sekundczkę! – Odsuwa telefon od ust i pyta kobietę w okienku. – Gdzie mam podpisać? Tutaj? – A kiedy tylko podpisze dowód nadania, kontynuuje rozmowę. – Jeszcze, Klaro, niech pani dryndnie do Dzonego, że chciałabym się z nim zobaczyć przed jutrzejszym *boardem*. Wystarczy pięć minut.

Obserwuję ją na wpół z podziwem i na wpół z dezaprobatą. Irytuje mnie. W duchu mówię: *Jezu, czy może się pani uciszyć?* Ale jednocześnie podziwiam, jak sobie z tym wszystkim radzi.

Ja też nie mam łatwo przy swoim okienku. Urzędniczka się nie śpieszy, wystukuje coś na klawiaturze, aż wreszcie nachyla się do okrągłej dziury w szkłe i mówi:

– Osiem złotych.

Wtedy uświadamiam sobie, że nie mam przy sobie gotówki.

– Czy mogę zapłacić kartą?

Ale już kiedy zadaję to pytanie, wydaje mi się równie nonsensowne, jak gdybym pytał o latające auto w sklepie żelaznym.

Urzędniczka jest szczerze rozbawiona.

– Kartą? Nie, tylko gotówką.

Melodramatycznie przetrząsam wszystkie kieszenie. I jeszcze raz. I znowu. Wysypuję na ladę sześć złotych w drobnych.

Jeszcze raz przeszukuję kieszenie, ale już wiem, że na próżno. Brakuje mi dwóch złotych.

– Boże, co ja teraz zrobię? – pytam i staram się, żeby nie brzmiało to rozpaczliwie.

Urzędniczka się rozgląda.

– Najgorzej, że będzie pan znów musiał wziąć nowy numerek. Oczywiście ja obsłużyłabym pana bez kolejki – uśmiecha się, lecz dodaje, że to niestety niemożliwe.

Rozważam jakiś akt niesubordynacji obywatelskiej, ale wiem, że i tak zaraz po prostu odwrócę się i pójdę do bankomatu.

Tyle że wtedy nachyla się ku mnie ta kobieta w kostiumiku, stojąca z telefonem przy sąsiednim okienku.

Tak, ta głośna dama.

Wciąż telefonuje, lecz teraz już w znany mi sposób odsuwa komórkę od ust i szepcze do mnie:

– Ile pan potrzebuje?

Zaskakuje mnie to. Ona jest po prostu doskonała. Nie tylko wydaje polecenia asystentce, wysyłając jednocześnie listy polecane, ale w dodatku wie, że zabrakło mi drobnych.

– Nieważne, skoczę do bankomatu – macham ręką. Lecz to jest menadżerka przyzwyczajona do podejmowania decyzji. Powtarza rzeczowo, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Ile pan potrzebuje?

– Dwa złote.

Sięga do portmonetki leżącej na ladzie i wyciąga dwa złote.

– Klaro, jeszcze moment – rozkazuje do telefonu i podaje mi monetę.

– Dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć!

– Chryste Panie, chyba nie poleci pan po dwa złote do banku!

– Ale... – Wciąż waham się zakłopotany. – Nie będę miał jak pani tego oddać.

Raczej tylko z uprzejmości się uśmiecha, a jej mina mówi, że naprawdę nie ma czasu na głupoty. Szybko biorę monetę i dziękuję, ale kobieta już znów rozmawia z Klarą. Wychodzę z poczty z potwierdzonym podpisem, zawstydzony i skonfundowany.

Dręczy mnie to, jak złym jestem człowiekiem. Ta sytuacja była tego doskonałym przykładem. Przecież znienawidziłem tę kobietę. Irytowało mnie jej zachowanie i wysoki, władczy ton. A ostatecznie okazało się, że mnie uratowała.

Co ze mnie za człowiek?

W takim nastroju docieram do pracy, w samą porę, bo właśnie zaczyna się nasza popołudniowa narada. Pierwszym punktem jest pytanie, kto weźmie niedzielny dyżur za naszego chorego kolegę. Wszyscy się spodziewają, że nikt się nie zgłosi, bo zapowiada się słoneczny weekend.

– Ja – słyszę swój głos. – Ja wezmę.

Racjonalna część mózgu opiera się już w chwili, gdy to mówię. Lecz nieracjonalna część jest silniejsza. Musi jakoś zrekompensować sobie ten straszliwy nokaut z poczty.

Po prostu muszę zrobić jakiś dobry uczynek.



Widzę najpierw zaskoczone, a potem wdzięczne twarze kolegów. A jednocześnie wiem, że dobrowolne zepsucie sobie weekendu z powodu dwóch złotych jest... no, powiedzmy, że przynajmniej nie do końca przemyślane.

Czuję nagły przypływ wściekłości. Na siebie i na tę babę w kostiumiku. I że żałuję, że nie wepchnąłem jej tych dwóch złotych do gardła, żeby wreszcie się uciszyła.

Tak, gdzieś w środku znów obudził się we mnie ten zły człowiek. Wszystko wróciło do normy. A wy uważajcie na dobre uczynki.

9.

Kiedy nie rozumiecie, dlaczego brzydka marchewka jest taka droga. Ale potem pojmujecie, że ona wskazuje nam drogę

W supermarketach sprzedawane są ładne warzywa. Na przykład marchewka. Prosta i pomarańczowa. Większość tych marchewek znajduje swoich nabywców. A te, co zostaną, są wywożone gdzieś na tyły sklepu.

Cięcie.

Potem brzydkie warzywa w jakiś tajemniczy sposób pojawiają się w sklepach, które mają w nazwie któreś z następujących słów: moje, nasze, farma, ogród, bio lub eko. Ewentualnie coś po włosku.



Sprzedaje się je tu za wielokrotność ceny, za którą można kupić w supermarkecie warzywa ładne.

Nie doszukujcie się w tym Bóg wie jakich tajemnic. To jest po prostu marchew „z historią”.

Brzydka marchewka nie wyrosła na zwykłej grządce. Wyrosła... na przykład... na polu znajdującym się w punkcie ciężkości trójkąta, którego wierzchołki tworzą dawne znaleziska celtyckie.

Albo wyhodował ją farmer, kiedyś pedofil, który teraz odsiedział zasłużoną karę, ponownie się ożenił i dziś ma z żoną, undergroundową poetką piszącą wolnym wierszem, siedmioro własnych dzieci.

Albo jest to marchew wyhodowana w ramach tajnego programu NASA, przygotowującego żywność na pierwszy lot załogowy na Marsa.

Cokolwiek, co akurat przyjdzie wam do głowy.

A potem klienci tych sklepów zabijają się o tę krzywą, brzydką marchewkę.

A między tymi brzydkimi warzywami przewożonymi w brzydkich skrzynkach krzątają się strasznie piękni hipsterscy sprzedawcy, którzy zachowują się tak, jakby na tej trzydziestoletniej wadze nie sprzedawali marchwi na kilogramy, tylko odmierzali lek na raka. Mają wypielegnowane brody i chodzą na pedicure, manicure i wybielanie odbytu. O czym wspominam tylko dlatego, że najchętniej wepchnąłbym im tę marchew w tyłek.

Uwaga! Ja nie krytykuję tych brzydkich warzyw jako takich. A w tym, że część społeczeństwa je kupuje, widzę pomysł, który zasługuje na większy biznes niż tylko poszczególne warzywniaki.

Wyjaśnię to na przykładzie.

Wyobraźcie sobie, że przychodzicie do baru. Nie jesteście przyzwyczajeni do przesadnej uwagi ze strony ładnych kobiet. Siedzicie

i pijecie piwo. Sami. Jak co wieczór.

Jesteście „brzydką marchewką”. Przysiada się do was kobieta.

To ten typ kobiety, która czeka przy barze na mężczyznę, który:

1. wygląda jak George Clooney,
2. ma tyle pieniędzy co George Clooney,
3. jest Georgem Clooneyem.

Nie spodziewacie się, że ta kobieta zwróci na was uwagę. Z doświadczenia wiecie, że dla niej i jej podobnych kobiet jesteście niewidzialni.

Lecz nie dziś!

Patrzy na was, jej policzki oblewają się pąsem, posyła wam miłosne spojrzenia.

– Boże, jaki ty jesteś cudownie brzydki! Wzruszacie ramionami.

– Czy ty przypadkiem... nie jesteś z historią?

Szybko odpowiadacie, że oczywiście tak. Albo macie już tę historię wymyśloną, albo naprędce ją wymyślacie. Na przykład:

Wasza matka była rosyjską agentką, a wasz ojciec amerykańskim agentem. Poczęli was w jej służbowej wołdze podczas tajnego spotkania w wirze zimnej wojny.

Lub coś w tym stylu.

Wyraźnie czujecie namiętność rozpalającą się w tej kobiecie przy barze. To nieokiełznane, spalające uczucie. Ledwo zdążycie zapłacić i już siedzicie w taksówce, która wiezie was oboje do mieszkania dziewczyny.

Ma wspaniałe mieszkanie. Wygląda jak mieszkanie, które kupił jej mężczyzna:

1. przystojny jak George Clooney,
2. bogaty jak George Clooney,

3. George Clooney.

Tyle że akurat nie ma go w domu.

Uprawiacie z tą kobietą dziki, niczym nieskrępowany i nieskończenie cudowny seks. Ona was uwielbia, to oczywiste. Wy wiecie, że nie musicie się śpieszyć i że możecie się tym w pełni nasycić.

A kiedy minutę później leżycie obok siebie i szybko dyszycie, wiecie, że właśnie przeżyliście seks roku. Dekady. A może nawet stulecia.

Chwilę trwa, zanim złapiecie oddech. Ona na was spogląda.

– Boże! Jesteś tak cudownie brzydki! A seks z tobą był najgorszym seksem, jaki kiedykolwiek uprawiałam!

Kiedy to mówi, zaczyna szczytować, chyba podobnie jak konsument brzydkiej marchewki tuż po tym, jak przyrządził ją sobie na maśle lub na oliwie, połknął z niesmakiem, ale osiągnął spełnienie, omamiony poczuciem własnej wyjątkowości.

Przecież zjadł brzydką marchew z historią!

Szczytuje, z przymkniętymi oczami i rozchylonymi ustami, z których wydobywa się pełne zadowolenia westchnienie.

Nie obrażcie się, ale brzydkie warzywa wskazują nam drogę.

10.

Kiedy macie wrażenie, że wasze małżeństwo trwa już zbyt długo, sprawdźcie jakość sygnału

Stoi na rogu przed domem. Przed chwilą wyszedł. Ma na sobie podkoszulek i krótkie spodenki. Czeką, aż na telefonie włączy się aplikacja joggingowa. Problem w tym, że aplikacja się nie włącza, bo nie pobiera danych z Internetu.

Telefon jest wciąż połączony z domowym routerem. Jego sygnał jest już za słaby na transfer danych, ale zbyt mocny, by telefon się rozłączył. Bardzo złożona sytuacja. Na ekranie kręci się bezradne kółeczko oznaczające wczytywanie danych, lecz nic się nie dzieje.

On ma dwie możliwości. Zacząć biec i czekać, aż w odpowiedniej odległości od domu telefon zacznie pobierać dane z sieci, albo wrócić do domu, gdzie jest lepszy sygnał. W obu sytuacjach aplikacja natychmiast się włączy.

– Rozumiesz? Przecież to genialna metafora – wykrzyknął mój kolega, trochę starszy niż ja, kiedy mi to opowiadał.

– Metafora czego? – nie rozumiałem.

– No przecież długiego małżeństwa. Dokładnie tak czułem się z żoną po dwudziestu latach. Już to było zbyt słabe, żebyśmy mogli coś do siebie

czuć, ale nie działo się nic tak strasznego, żebyśmy znaleźli sobie innych partnerów.

Przyznałem, że coś w tym jest.

– I jak to się skończyło?

– Znalazła sobie faceta. A ja miałem już wtedy kochankę, więc spoko – powiedział kumpel i zamówił sobie kolejne piwo.

W tym tygodniu obchodziliśmy dwudziestą szóstą rocznicę ślubu. Nie ma ona żadnej nazwy. To ciekawe. Na Wikipedii nazwy rocznic ślubu mają swoje osobne hasło. Aż do piętnastej rocznicy („kryształowej”) każda ma nazwę, na przykład po siedmiu latach obchodzi się „wełnianą”, a po trzynastu „koronkową”.

Potem leci się już co pięć lat. Dwudziesta rocznica jest „porcelanowa”, dwudziesta piąta „srebrna”, a trzydziesta „perłowa”. A co między nimi? *Przepraszamy, ale nie wymyśliliśmy, proszę sobie ją nazywać, jak pan chce.*

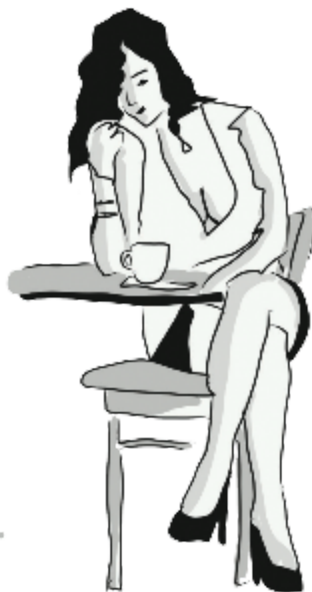
Według mnie to dyskryminacja, bo my, wytrwali, zasługujemy raczej na większą opiekę. Po co nadawać nazwy trzeciej lub czwartej rocznicy? Do niej dotrwa każdy. Ale pomyślcie, że dociągnięcie do dwudziestu sześciu lat razem – i nic.

Amerykańskie strony internetowe polecają przynajmniej odpowiednie podarunki dla partnera. Kwiatem na dwudziestą szóstą rocznicę jest róża, kamieniem – nefryt. A wskazanym prezentem dzieło sztuki, najlepiej obraz współmałżonka na zamówienie (jakieś maziaje nie muszą być chyba zbyt drogie?), ewentualnie z galerii (tu byłbym ostrożniejszy).

Ogólnie ja nie cierpię ślubów, bez względu na to, jakie są. Może zastanawiacie się, jak to możliwe, że wytrzymaliśmy z żoną tak długo. To proste! Jeśli nie cierpicie ślubów tak bardzo jak ja, nie możecie zepsuć swojego małżeństwa. Musicie ożenić się z kimś, z kim wytrzymacie,

w miarę możliwości, „dopóki śmierć was nie rozłączy”. Ale o tym później. Dobrze wiecie, że nie znieśliście kolejnego ślubu.

Ja nie cierpię ich dlatego, że mam wybujałą wyobraźnię. Wystarczy, że zobaczę szereg aut przyozdobionych wstęgami i trąbiących ze wszystkich sił, i od razu robi mi się niedobrze.



Wyobrażam sobie tych dwóch nieszczęśników biorących ślub. Siedzą obok siebie w aucie albo karmią się nawzajem tortem... i od razu widzę, jak dziesięć lat później on siedzi w knajpie i mówi:

– Jaki ja byłem głupi, że się z nią ożeniłem. Ta głupia krowa zniszczyła mi życie!

Tymczasem ona leży w łóżku z jego kolegą z pracy, pali papierosa po seksie, a kiedy wydmuchuje nad siebie dym, oświadcza:

– Boże, dlaczego byłam taką głupią krową, że wyszłam za takiego durnia?

Byłem na czterech ślubach, z tego na trzech jako świadek i na jednym jako pan młody, dwa z tych małżeństw są już rozwiedzione.

Śluby pojawiają się w życiu człowieka w pewnych cyklach. Między dwudziestką a trzydziestką jest ich mnóstwo, biorą je wasi przyjaciele i koledzy ze szkoły. Wy też. Potem się uspokaja.



A gdy jesteście między czterdziestką a pięćdziesiątką, zaczyna się to na nowo, śluby biorą dzieci, wasze i waszych kolegów, i nie tylko, wasi koledzy zaczynają brać śluby po raz drugi. Wy też możecie.

I znów pojawiają się gadki o tym, że on i ona będą razem na wieki.

„Dopóki was śmierć nie rozłączy”. Co za straszne zdanie.

Sam pomysł małżeństwa może i nie był zły. Ale powstał w czasach, kiedy mężczyźni dożywali średnio niecałych pięćdziesięciu lat i żenili się po trzydziestce. To dało się wytrzymać!

Ale dziś „dopóki was śmierć nie rozłączy” może spokojnie oznaczać nawet pięćdziesiąt lat!

A to bardzo długo.

Co chwilę słyszę, że ktoś obchodzi złotą rocznicę. Pięćdziesiąt lat! Pozostali im gratulują, jakby małżonkowie właśnie przebiegli maraton. Ale to coś innego. Wiem, bo przebiegłem maraton.

Kiedy przebiegnięcie maraton, jesteście na mecie i macie spokój. Nie czujecie się jakoś szczególnie, wszystko was boli i uświadamiacie sobie, że

przebiegnięcie maratonu nie było najlepszym pomysłem, ale jak już powiedziałem, macie to za sobą.

Kiedy świętujecie złote gody, nie oznacza to bynajmniej, że dotarliście do jakiegokolwiek mety. Wciąż biegniecie. A meta jest Bóg wie gdzie.

Po prostu pięćdziesiąt lat to bardzo długo.

Mój dobry przyjaciel, a mówiąc na marginesie również doskonały lekarz (o czym wspominam, żebyście uwierzyli, że to wykształcony człowiek znający się na ludziach), zwierzył mi się kiedyś ze swojego pomysłu, jak można by rozwiązać ten problem.

– Po prostu po dwudziestu latach trzeba by rozdzielać wszystkie małżeństwa.

Zaskoczony aż zamrugalem.

– Mieliby brać rozwód?

– Nie, po prostu małżonkowie żyliby osobno. Jeden rok. A potem mogliby decydować, czy chcą do siebie wrócić, czy nie.

– A jeśli nie chcieliby się rozdzielać? – spytałem.

– No właśnie o to chodzi! Po prostu by musieli – powiedział mój kolega, nachylił się ku mnie i dodał: – Wiadomo, że gdyby to było dobrowolne, żadna żona nie pozwoliłaby na to mężowi!

– Genialne! – westchnąłem.

Plusy tego pomysłu nie podlegają dyskusji. Przede wszystkim zmniejszyłaby się liczba rozwodów. Według statystyk wiele osób rozwodzi się między piętnastym i dwudziestym rokiem małżeństwa. Jeśli porównalibyśmy to do maratonu, jest to odległość, gdy człowiek nie dotarł jeszcze nawet do połowy trasy, ale już dalej po prostu biec nie może.

Po piętnastu latach oboje małżonkowie są zmęczeni, zdezorientowani i przerażeni.

Człowiek potrzebuje widoków na przyszłość. A gdy ma przed sobą tylko wieczność (*dopóki was śmierć nie rozłączy*), staje się to nieznośne.

Te pomruki, które czasem z siebie wydajecie i które przez kilka pierwszych lat po ślubie wydawały się waszej żonie takie urocze, nagle stają się dużo mniej urocze.

A kiedy wasza żona, która w młodości świetnie radziła sobie w biegach na orientację, mówi wam w aucie: – O, tu skręć! – a kiedy skręcicie, dodaje: – Aj, jednak dopiero na następnym skrzyżowaniu! – tysiąc razy wydaje się wam to zabawne, ale przy tysiąc pierwszym już nie jesteście w stu procentach pewni, czy to naprawdę jest śmieszne.

Ale wróćmy do planu mojego kolegi.

Jak już wspomniałem, rozdzielić musiałyby się nawet pary, które by tego nie chciały. Takie zapisy znalazłyby się w Kodeksie cywilnym, a może nawet w prawie karnym i policja bezlitośnie by tego pilnowała.

Łazisz do żony? Za pierwszym razem będzie to wykroczenie i dostaniesz mandat. Powiedzmy trzy tysiące złotych. Jeśli przyłapią cię po raz drugi, dostajesz mandat i zawiasy. Za trzecim razem idziesz do więzienia. Nie ma zmiłuj.

Pary, które nawet po dwudziestu latach wciąż się kochają, musiałyby spotykać się w tajemnicy. Czujecie romantyczny nastrój? To przebudzenie namiętności, wcześniej zduszonej codziennością i nudą małżeńską. Pożyczalibyście mieszkanie od kolegi z pracy i tam spotykalibyście się z żoną.

Żona kładłaby wam rękę na usta:

– Ciii, nie hałasuj tak, bo sąsiedzi wezwą policję!

Oczywiście oboje musielibyście mieć przez ten rok innych partnerów, tylko jako „przykrywkę”, jako alibi. Bo ludzie żyjący przez ten rok bez partnera byłiby szczególnie podejrzani. Policja miałaby ich na oku.

– Panowie, Čermák wciąż jest singlem. Czy on przypadkiem nie spotyka się ze swoją starą? Musimy zacząć go śledzić!

Po roku partnerzy mogliby zdecydować, czy chcą do siebie wrócić, czy może raczej zostaną z tymi nowymi. Kiedy tak przyglądam się kolegom, którzy odeszli od żon do kochanek, i słyszę, co opowiadają mi po jakimś czasie, myślę, że powroty nie należałyby do rzadkości.

Wiem, że brzmi to dziwnie i nierealnie. Wciągnąłem ten pomysł na listę „niezrealizowanych ulepszeń”. Zresztą mnie i tak to już nie dotyczy. Dwudziestą rocznicę ślubu mamy już dawno za sobą. W tym tygodniu mija wspomnianych dwadzieścia sześć lat naszego małżeństwa. Żona nie lubi róż, biegać za nefrytem nie zamierzam, a obrazu nie chcemy. Lepszej kobiety nie znajdę. Nie mówię jej o tym zbyt często, więc przynajmniej napiszę to tutaj. To musi wystarczyć na rocznicę, która nawet nie ma nazwy.

Ale wróćmy do tej opowieści z początku. Ja też chodzę biegać! Stoję przed domem na rogu, ale moje połączenie z Internetem działa. Dane się przenoszą. Cały sekret spoczywa w tym, żeby mieć w domu dobry i mocny router.



Luděk Stanek

CIĘŻKIE ŻYCIE CZTERDZIESTOLATKA

1.

Kiedy macie trzydzieści dziewięć lat, a zwłaszcza kiedy macie trzydzieści dziewięć lat już od kilku lat, pojawia się problem. Na tym świecie właściwie nie ma niczego dla takich jak my. Albo chodzi się z kijem baseballowym i dużymi słuchawkami, albo słucha się Radia Złote Przeboje i spędza się urlop w swoim domu letniskowym. Między tym nie ma niczego, oczywiście oprócz spłacania hipoteki. Przed wami są ludzie, których nie cierpicie, a za wami ludzie, których nie cierpicie. A wy jesteście zakleszczeni między nimi. I to jest z tego wszystkiego najgorsze.

A w dodatku wcale nie wiadomo, jak do tego doszło. Nie skreśliście źle na żadnym skrzyżowaniu. Nie popełniliście żadnego poważniejszego błędu. Uważaliście i powtarzaliście sobie: *Przecież ja taki nie będę*. Byliście naprawdę bardzo ostrożni. Ale potem stało się. A wy się nawet nie zorientowaliście. Po prostu pewnego dnia wyszliście o piątej rano z klubu i od razu poszliście do Castoramy po kosiarkę. W tak zwanym międzyczasie nic się nie wydarzyło, nie popełniliście żadnego błędu. To wszystko jest strasznie nie fair.

Przejawia się to na przykład tak, że jesteście najstarsi w kinie. Co jest dość dziwne, bo sądząc po tym, jak głośny jest w kinach dźwięk, spodziewalibyście się raczej, że kina są przeznaczone dla głuchych emerytów. Nie, kina produkują głuchych emerytów. Lecz jeśli idziecie do kina i macie czterdzieści lat lub więcej, coś wam doradzę. Idźcie tam z dzieckiem. Nawet jeśli musielibyście je ukraść. Bo samotny

czterdziestolatek w kinie wygląda dziś jak pedofil. Wy samotni, a wokół tylko młodzież. Będziecie wyglądać podejrzanie, choćbyście wcale tego nie chcieli.

Ale to oczywiście nie jest najgorsze. Najgorsze są te próby czterdziestolatków, by pozostać młodym. Próbowałem. Próbowałem chodzić na te wszystkie parties, Magnetic, Apocalypsa... I brać te wszystkie ich narkotyki... feta, meta i co oni tam jeszcze biorą.

Na marginesie: tego u tych młodych nie kumam. Jak oni orientują się w tych narkotykach. Wszystkie te skróty to tylko kilka liter. A jeśli młodziakom coś się pomyli? Przecież to w ich przypadku całkiem możliwe. I już zamiast fety mogą mieć metę.

Nie zrozumcie mnie źle. Mam trzydzieści dziewięć lat, i to już od kilku lat, dorastałem w Pradze lat dziewięćdziesiątych, więc co nieco wiem o narkotykach. W latach dziewięćdziesiątych albo zarabialiście pieniądze, albo braliście narkotyki. A ponieważ ja jako trzydziestodzieściolatek już od kilku lat chodzę po scenach i opowiadam dowcipy, musi być dla was jasne jak słońce, co wtedy robiłem. Wtedy ćpali naprawdę wszyscy. Albo przynajmniej dilowali. Serio. Jeśli w latach dziewięćdziesiątych nie sprzedawaliście w centrum turystom narkotyków, dostawaliście mandat za psucie wizerunku miasta! Ach, lata dziewięćdziesiąte, cudowne czasy. Ludzie uwielbiają je wspominać. Zresztą sami to wiecie, bo retro jest dziś w modzie. Wszyscy kupują kakao w starym opakowaniu. Oglądają w telewizji czterdziestoletnie komedie, w których ludzie mówią do siebie *towarzyszu*. Słuchają muzy z tamtych lat. Niektórzy zaszli nawet tak daleko, że głosują na komunistów. Nie można się temu dziwić, skoro w telewizji oglądają tylko komunistyczne seriale, w których ludziom żyje się tak dobrze.

Nie mam nic przeciwko modzie na retro. Bynajmniej. Jestem dzieckiem lat siedemdziesiątych i toleruję tylko ludzi narodzonych w latach osiemdziesiątych. Ludzi urodzonych w latach dziewięćdziesiątych staram się ignorować, a ludzi urodzonych w latach zerowych po prostu nie cierpię. Ściślej mówiąc, czuję wobec nich coś między nienawiścią i pogardą. Oczywiście, że was nienawidzę, bo kiedy mieliście się po raz pierwszy upić, nie byliście skazani na tanie wino. A pierwszy komputer, który widzieliście, nie powstał w sąsiedniej wiosce. I nie miał wymiarów dwa metry na dwa metry. I zajmowanie miejsca nie było jego jedyną funkcją. Ale i tak było to coś ważnego. Niektóre dzieciaki w mojej klasie nie miały nawet takiego kolosa. Im pozostawały komputery wyrzeźbione z pnia świerku.

Owszem, jako dzieci lat dziewięćdziesiątych mieliście łatwiejsze życie. Kiedy jako dzieci lat dziewięćdziesiątych chcieliście coś mieć, mogliście to sobie kupić. A nie tylko chodzić na to patrzeć jak my. A to patrzeć i tak było tą lepszą opcją, bo czasem na wystawach nie było niczego. Wtedy musieliśmy oglądać sześćioletnie niemieckie katalogi *Neckermann*. Zgadza się: wtedy luksusem było oglądanie rzeczy, a nie ich posiadanie. Ludzie z lat dziewięćdziesiątych mają w życiu wszystko, są rozpieszczonymi gnojkami. Natomiast my nie mieliśmy nic. Dziś każdy głupek urodzony w latach dziewięćdziesiątych ma kijek do selfie. A my mogliśmy w najlepszym razie potrzymać sobie kijki sztandarków, i to tylko raz w roku. A jeśli nie wiecie, po co i z jakiej okazji, to jesteście człowiekiem, któremu nie ma sensu niczego wyjaśniać.

Jak już mówiłem, zazdroszczę ludziom urodzonym w latach dziewięćdziesiątych, ale jednocześnie nimi gardzę, bo w tym, w czym dorastaliśmy my, dziś ci zasrani hipsterzy z wymuskanymi włoskami i płócienną torbą Club Maté, którzy spędzili dzieciństwo w krzeselkach

dziecięcych, nie przeżyliby ani godziny. Bez Jägermeistrów, bez odlotowych narkotyków. Trzeba było improwizować. Pierwszy alkohol, jaki piłem w życiu, to Amol. Bo moja matka uważała, że Amol jest zdrowy. A kiedy już zdobyliście coś, co jest zdrowe, stosowaliście do oporu. Szkoda, że wtedy nie było internetowych portali dla rodziców, bo gdyby przepis mojej matki się rozniósł, dzisiejsi hipsterzy mogliby rodzić się z trzema rękami i wreszcie się do czegoś przydać.

Dziś młodym ludziom wszystko przychodzi strasznie łatwo. Nam nie przychodziło. Nie było tak jak dziś, że ma się smartfony... i można na nich w szkole oglądać porno. My oczywiście nie mieliśmy takich możliwości. Wyobraźcie to sobie: dorastacie, ale bez porno. Pierwszy film porno, jaki w życiu widziałem, tak właściwie tylko słyszałem, bo opowiedział mi go kumpel z klasy, który miał w domu magnetowid. Szczerze mówiąc, niewiele z tego kumałem. Po pierwsze dlatego, że kumpel był koszmarnym narratorem. Brzmiało to tak, jakby ktoś z pamięci opowiadał mecz jakiejś dyscypliny, której reguł nie zna, więc sam jest dość zdezorientowany, a przy tym kipią w nim uczucia, które odbierają mu pewność, czy to, co widzi, jest prawdą.



– No a potem ona weszła do tej stajni, a tam była jej kumpela... to znaczy nie, właściwie to był jej tata... albo ktoś z sąsiedniej wioski w takim dziwnym stroju, jakie nosi się w Austrii.

Strasznie mnie to sfrustrowało, ale dopiero potem zrozumiałem, jak się rzeczy mają. Kiedy raz wkradliśmy się do domu kumpla pod nieobecność jego rodziców, okazało się, że to porno na kasecie VHS miało tak koszmarną jakość, że nie było nic widać. Tylko rozmazane plamy uzupełnione kiepskim dubbingiem. Właściwie mogliśmy obejrzeć jakiś austriacki film przyrodniczy i wyszłoby na to samo. Nie widzieliśmy prawie nic. Patrzyliśmy i myśleliśmy, że albo są tam dwie współżyjące osoby, albo karmienie gadających krów, z których jedna ponagla obojętnym męskim głosem:

– Jeszcze, jeszcze, tak, już dochodzę.

Nic dziwnego, że porno sieje zamęt w niewinnych dziecięcych główkach.

Dziś wszystko jest w dobrej rozdzielczości i to w telefonie. A ludzie nie mają najmniejszego pojęcia, przez co my, dzieci lat siedemdziesiątych, musieliśmy przejść, by dotrzeć do naszej pierwszej wizualnej stymulacji seksualnej. Na przykład dziś młodzi ludzie w ogóle nie wiedzą, jak to jest, gdy w filmie porno występują owłosieni ludzie. Gdy wtedy oglądaliśmy porno, widzieliśmy przez godzinę więcej włosów, niż dziś hipsterski fryzjer widzi przez całe życie. I jakoś nikomu to nie przeszkadzało. Kiedy kobieta się rozbierała, wszędzie miała kudły, ale faceci się nie bali i brali się do roboty. Bo byli twardzi. To znaczy... mam na myśli: odważni.

Jedną z rzeczy, którą ludzie podkreślają, gdy rozmawiam z nimi o swoim dorastaniu, jest to, że wtedy ludzie byli dla siebie miłsi. Ta wizja, że kiedyś było lepiej, jest po prostu pociągająca. Ale przyznaję, ludzie byli dla siebie miłsi. A wiecie dlaczego? Bo nie mogli wysyłać sobie nawzajem

SMS-ów po pijaku. Właściwie po pijaku nie mogli nawet telefonować. Bo wtedy w telefonach były te takie kręcące się tarcze. Pamiętacie? Nawaleni za nic nie dalibyście rady wykręcić numeru. To był świetny środek prewencyjny. Znacie te sytuacje, gdy jesteście pod wpływem, a wasze ręce uniezależniają się od mózgu? Zaczynają ruszać się bez waszej wiedzy. I tą pijaną, skaczącą ręką trzeba było trafić do odpowiedniej dziurki na okrągłej tarczy. Wykręcić i poczekać, aż tarcza wróci na początek. Wrr-wrrrrrr, wrr-wrrrr, wrr-wrrrrrr. W połowie zapominało się nie tylko numer, ale też to, co tak właściwie robimy przy tym telefonie.

Jeśli w latach osiemdziesiątych facet chciał się rozejść z kobietą i nie chciał robić tego osobiście, jedyną alternatywą był telefon. No, był jeszcze telegram, ale to nie wyglądało zbyt dobrze i wychodziło dość drogo, bo płacono się za każde słowo. A między słowami było słowo *stop*, oddzielające poszczególne słowa. Zatem najwięksi twardziele mogli się rozejść właściwie dwoma słowami. I przy okazji zaoszczędzić. *Marto. Stop. Luděk.* I załatwione. Pod warunkiem, że adresatka zrozumiała przekaz, co wcale nie było takie pewne. Telefon był bezpieczniejszy.

Tyle że jeśli nie mieliście w domu aparatu telefonicznego, trzeba było iść do budki i próbować się dodzwonić, co też należało do ciekawych doświadczeń tamtych czasów. Bo wtedy nie telefonowało się do kogoś, tylko dokądś. Tak, telefonowało się tam, gdzie był telefon. Gdzie była nie tylko osoba, z którą chciało się rozmawiać, ale też kilka innych osób, z którymi się rozmawiać nie chciało, na przykład rodzice tej dziewczyny i tak dalej. Ale to wciąż była ta lepsza opcja. Bo równie dobrze mogło tam nie być nikogo. I się nie dodzwanialiście. Znacie tę frustrację, gdy dziś ktoś nie odbiera wam trzy razy z rzędu? To pomnóżcie to razy tysiąc. Właściwie to cud, że ludziom nie pękały wtedy głowy ze złości. Zdarzało się, że całymi dniami nie mogliśmy się do kogoś dodzwonić, żeby powiedzieć mu,

że już nie chcemy z nim być. A w tym czasie na przykład kilka razy spotykaliśmy się z tą osobą na żywo. Było więc mnóstwo czasu, by się rozmyślić. To uratowało wiele związków.

– Dzwoniłem do ciebie wczoraj, nie było cię w domu.

– No, zostałam dłużej w pracy, chciałeś coś?

– ...eee... nie, chodźmy się pobzykać.

Wiecie, długo nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy, ale tak naprawdę zrozumiałem, że jestem stary, kiedy urodziło mi się dziecko. Ludzi, którzy mają małe dzieci, poznacie po tym, że wobec wszystkiego mają jakiś żal. Wpatrują się smutno w rzeczy, które kupowali, zanim urodziły się dzieci. Teraz już nie mogą sobie na nie pozwolić. Mogą sobie na nie pozwolić tylko bardzo bogaci ludzie lub homoseksualiści. Znam kilka osób, które wręcz udają, że są homoseksualistami, żeby nie musieć mieć dzieci i móc dalej kupować sobie wszystko, na co mają ochotę. To logiczne. Heteroseksualista decyduje: nowe tenisówki czy kołderka dla dziecka, nowe tenisówki czy kołderka dla dziecka. A homoseksualista? On mówi najwyżej: nowe tenisówki czy kołder... co??? Poproszę dwie pary tych tenisówek! Dlatego jestem za tym, by homoseksualiści mogli adoptować dzieci. Bo myślę, że homoseksualiści powinni mieć takie same prawa jak heteroseksualiści. Przede wszystkim prawo do cierpienia.

Na marginesie: to, że macie tyle lat, co ja, przynosi ciekawe możliwości. W praktyce oznacza to, że teoretycznie mógłbym być i może nawet jestem ojcem któregoś z was. Co szczerze mnie przeraża. Tak, przeraża. Bez wątpienia bardziej przeraża to mnie niż was. Jak już wspomniałem, nastolatki mnie przerażają. Podobnie jak przeraża mnie to, że kiedyś moje małe, urocze dziecko zmieni się w nastolatka. Wyobraźcie sobie, że macie w domu głupka, który na zmianę obija się o ściany, milczy, ewentualnie mówi w hashtagach i próbuje nagrać was na

Snapchat. Właściwie wygląda jak ten morderca z serialu kryminalnego. Miota się po kuchni i jest bardzo, bardzo pobudzony. Jeśli ma w ręce telefon, jest jeszcze w porządku, bo prawdopodobnie próbuje po prostu nagrać was na Snapchat. Jeśli ma w ręce nóż, jest gorzej. Prawdopodobnie zamierza was zabić. Bo nastolatkowie to robią. Mordują ludzi i nagrywają to na telefon. Otwieracie sobie Internet, a tam: *Nastolatkowie podpalili bezdomnego i nagrali to na telefon. Nastolatkowie nagrali na telefon, jak szykanują kolegę z klasy. Nastolatkowie zgwałcili koleżankę z klasy i nagrali to na telefon. Czy słyszeliście kiedyś, żeby rencista zabił konkubinę i nagrał to na telefon? Albo żeby para w średnim wieku nagrała na telefon, jak okrada stację benzynową? Nie czytaliście? Bo nikt na świecie nie jest takim debilem, żeby sam produkował dowody przeciw sobie!*

Wiecie, za moich młodych lat często okradano banki. Dziś już nie ma to sensu, bo w bankach nie ma pieniędzy, ale kiedyś było to dość popularne. Wyobraźcie sobie, jak wyglądałoby to dzisiaj.

– Hej, idę zrobić bank w centrum. Oglądajcie, jaka to będzie jazda. Już skręcam do banku, już prawie jestem na miejscu... kurwa, pały. Skąd mogli się o mnie dowiedzieć?!

Nastolatkowie to wkurzające stworzenia. Mają obrzydliwą modę, obrzydliwe hobby, obrzydliwe zwyczaje. Jednym z tych zwyczajów jest beznadziejne ubieranie się. Na przykład to, że ubierają się „ironicznie”. Zazwyczaj to znaczy, że ohydnie. *Teraz pokażę wam swoim strojem, co myślę o świecie! Czyli włożę bluzę z napisem „Walimnieto”.* No i spoko. Gdyby pomyśleli „walimnieto”, zanim wywalili na tę bluzę dwie stówy, nie musieliby teraz wyglądać jak krety. Ale nie, oni wywalają tę kasę, żeby potem móc mówić, jak ich to wali. Bo są nastolatkami i mają w głowie tylko seks, a w ciele tylko alkohol, narkotyki, cukier i myśli o seksie.

Najbardziej śmieszy mnie, jak teraz ci wszyscy cool nastolatkowie noszą te obcisłe czarne džinsy porozcinane na kolanach. To nie są prawdziwe dziury, tylko takie wąskie szpary. Noszą to przede wszystkim dziewczyny z szerokimi nogami. Wszystkie. To bardzo zabawne. Kiedy idzie pięć takich dziewczyn obok siebie, wyglądają jak muzułmanki w nikabach. Właściwie jest to jedyna szansa, żeby zobaczyć tę rzekomą wielką inwazję muzułmanów w praktyce: poczekać, aż będzie przechodzić pięć nastolatek.

Najgorsze jest to, jak nastolatkowie piją. Mają taki specjalny trik, widzieliście to kiedyś? Idą do nocnego całą grupą i kupują tam butelkę wódki i dwulitrową Coca-Colę. Litr tej coli wylewają od razu na chodnik, uzupełniają butelkę wódką i przez resztę wieczora kopią śmietniki, ryczą do siebie jakieś nieartykułowane dźwięki i niezdarnie próbują uprawiać seks... Po prostu robią to, co zazwyczaj robią młodzi pijani ludzie. A wy patrzcie, jak oni wylewają tę colę, z dystansem człowieka, który już od kilku lat ma trzydzieści dziewięć lat, i myślicie:



– Koleś, rano będzie ci tego litra coli cholernie brakować. Klasycznym przykładem tego, co jest u nastolatków najgorsze, są youtuberzy. Niedawno zacząłem dokładniej się im przyglądać i próbowałem zrozumieć ten fenomen. W sposób naprawdę naukowy. Z dystansem. Jak kiedy obserwujecie jakiś nieznany szczep Indian amazońskich. Bo właśnie tym są

dla mnie youtuberzy. I wreszcie to zrozumiałem. Wszystkie widea na Youtube mają wspólny mianownik. Jeden wspólny temat. Zostało to nawet potwierdzone naukowo. Wszyscy youtuberzy różnymi językami i w różny sposób mówią mniej więcej: *patrzcie, jaki ze mnie dureń*, ewentualnie *patrzcie, jaka ze mnie idiotka. Nic nie potrafię, ale nagrywam o tym filmik, co tydzień.*

Świetna była na przykład Teri Blitzen, znacie Teri Blitzen? Youtuberka. Chyba już była youtuberka. To wszystko, co o niej wiem. Miała taki kanał, nazywał się *Herbatka z Teri*, piła tam ten modny napój, w którym jest tylko woda i cukier, ale nazywa się to inaczej i pociągająco, więc żaden młody człowiek mu się nie oprze. Teri była po prostu boska. Filmik zawsze zaczynał się od banału typu *Odkryłam dziś taką super herbatę*. Przy czym słowo *odkryłam* znaczy *przynieśli mi ją tu, a ja muszę wcisnąć ją wam w gardła, bo potrzebuję kasy na te obrzydliwe markowe bluzy*. Ale potem nagle wszystko się zmieniło, bo okazało się, że oprócz wody i cukru w tych herbatach są jakieś chemikalia i już nikt nie chciał ich pić. *Aha, jest to fioletoworóżowe, pływają w tym jakieś kolorowe bańki i inne rzeczy, które wyglądają dużo ohydniej niż powinny, ale ja naprawdę nie wiedziałam, że to jest niezdrowe!* Oczywiście tej toksyczności nie odkryli nastolatkwie, tylko moje pokolenie. Bo moje pokolenie jest opętane zdrowiem. Rozmowy moich rówieśników wyglądają zazwyczaj następująco:

- W latach dziewięćdziesiątych eksperymentowałem z heroiną...
- Wszyscy eksperymentowali...
- Ta dzisiejsza kokaina to już nie to, co dawniej...!
- Racja, masakra...
- Wiesz, znam lekarza, który może załatwić fajne recepty...
- Świetnie, akurat potrzebuję Oxydocon albo chociaż Tramal!
- Można łączyć antydepresanty z alkoholem?

- Ja zawsze łączę!
- Wiesz, mnie dość smakuje ta gazowana herbata...
- Powaliło cię? Wiesz, co to za gówno?

2.

Czytałem w gazecie, że mają ściągnąć z wizji program „Mam talent”. Podobno już nikt tego nie ogląda. Według mnie dlatego, że w jury siedzi ten facet. No bo zobaczcie: czy naprawdę wierzycie, że o tym, czy ktoś jest w czymś dobry, może decydować człowiek, który zdecydował, że ta jego Agata jest wystarczająco dobra, by mogła zostać jego żoną?



Ale oczywiście ocenianie kogoś na podstawie tego, z kim się ożenił, jest nie fair. Bo mężczyźni żyją dziś pod straszną presją. A ludzie pod presją popełniają błędy. Zatem jest bardzo prawdopodobne, że kobieta, którą wybraliście, po prostu jest nieodpowiednia. Dlaczego? Bo oczekuje się od was, że wybieriecie sobie tylko jedną. A w taki sposób nie da się odpowiednio wybrać partnerki na całe życie. Nawet kiedy idziecie do sklepu samoobsługowego po mikser, macie lepsze warunki niż wtedy, gdy wybieracie partnerkę... Miksery możecie wypróbować na miejscu. Partnerkę nie. Możecie kupić nawet kilka mikserów i korzystać z nich

w domu jednocześnie... Możecie mieć nawet pięć mikserów i nikomu to nie przeszkadza. A przede wszystkim nie przeszkadza to tym mikserom. A mimo to któryś mikser prawdopodobnie oddacie. Więc jak ma przeżyć wasz związek? Rozwodowość w Czechach wynosi pięćdziesiąt procent. To znaczy, że pięćdziesiąt procent z was, czytających tę książkę, straci ją podczas rozwodu lub późniejszej wyprowadzki. Czyż to nie wspaniałe?

Oczywiście za wiele męskich problemów odpowiada feminizm. Ja obwiniam feminizm o wszystko, przede wszystkim dlatego, że to on jest wszystkiemu winien. Serio. Spójrzcie, jak feministki twierdzą, że gender to konstrukt społeczny. Nie do końca rozumiem, co to znaczy, ale myślę, że najdokładniejsze tłumaczenie brzmiałoby *nie bój się swych emocji, kup mi auto i spadaj na macierzyński!* Uwielbiam, gdy kobiety mówią: *Prawdziwi dżentelmeni już wyginęli.* Nie wyginęli. To nie jest tak, że złapali jakąś tajemniczą chorobę i umarli. Nie, prawdziwi dżentelmeni zostali wybici. A przez kogo? No oczywiście przez kobiety. Feministki wybiły prawdziwych dżentelmenów. Do pnia, jak Indian. Kilku prawdziwych dżentelmenów wciąż żyje w rezerwatach do tego przeznaczonych. Te rezerwaty nazywają się hotele. Prawdziwi dżentelmeni, ostatni, którzy pozostali, pracują tam, odziani w zabawne kostiumy. Otwierają drzwi i noszą bagaże, a czasem nawet popalają papierosy. W ten sposób czekają na swój koniec.

Owszem, dzięki feminizmowi kobiety są dziś dużo bardziej doświadczone. Zarabiają własne pieniądze, prawie tyle co wy. Mówią, że nie tyle co wy, ale już niewiele brakuje. Zatem dlaczego w restauracjach płacą tylko faceci? I przede wszystkim: gdzie znikają te pieniądze zarobione przez kobiety? Oczywiście, część idzie na kosmetyki. Ale to nie jest inwestycja tylko dla kobiet. Kiedy uda się wam przenieść połowę jej make-upu na swoją twarz bez użycia rąk, w najlepszym razie podczas

namiętnych pocałunków, zazwyczaj oznacza to bardzo przyjemny wieczór. Ale gdzie podziewa się reszta? Czy kobiety mają jakieś tajne magazyny, w których gromadzą pieniądze na decydującą wojnę z mężczyznami? Feminizm zniszczył wszystko... Naprawdę. Zniszczył nawet miejsca, których byście o to nie podejrzewali. Na przykład stacje benzynowe. Kiedyś były to świątynie mężczyzn. Kupowaliście tam olej, benzynę, płyn chłodniczy. Było to miejsce dobrego szowinizmu. Tankowaliście paliwo, rozmarzonym wzrokiem patrzyliście na okolicę, zazdrościliście pozostałym mężczyznom ich aut, robiliście męskie miny i tak dalej. Po prostu mogliście robić te różne męskie sprawy. Dziś sprzedają tam czasopisma dla kobiet i cukier zapakowany na milion sposobów. A gdzieś tam mają nawet kąciaki dla dzieci.

Ale po prostu takie są czasy. Jeśli nakręcicie film *Franciszek to dziwkarz*, możecie spodziewać się najważniejszych nagród. Ale spróbujcie nakręcić film *Helena to dziwka*, a do gardła od razu skoczy wam banda feministek gotowa zrobić z was seksistowską świnię. Tylko proszę mi tu od razu nie myśleć, że znam jakąś Helenę... Nie znam. Naprawdę nie. No widzicie, to kolejna sprawa... Faceci dziś mają skłonność do ciągłego przepraszania. Wciąż za coś przepraszamy. Zazwyczaj za to, że o czymś zapomnieliśmy. Istnieje różnica między tym, o czym pamiętają mężczyźni i kobiety. Mała, ale zasadnicza. Mężczyźni nie pamiętają niczego. Kobiety wszystko. Podobno jest tak dlatego, że u kobiet informacje łączą się z emocjami. A kiedy informacja jest połączona z emocją, łatwiej ją zapamiętać. Zatem kobiety pamiętają mnóstwo rzeczy, bo świat je interesuje i chcą przeżywać go intensywnie. Mężczyźni nie pamiętają niczego, przede wszystkim tego, co mówią im kobiety. A wiecie dlaczego? Bo jest nam to obojętne. Kobiety pamiętają mnóstwo rzeczy. Ale jedną rzecz pamiętają jeszcze lepiej niż pozostałe rzeczy. Imiona waszych byłych dziewczyn. Faceci zazwyczaj

zapamiętują dziewczyny według systemu: dobryseks, kiepskiseks, dobryseks, dobryseks, okropnyseks, superseks, superseks. Kobiety wiedzą nawet to, kiedy wasza była dziewczyna miała imieniny, jak daleko od was mieszka, kiedy z nią chodziliście i kiedy przestaliście chodzić. Wie to dokładniej niż wy. Znacie te sytuacje:

- Kochanie, byłem tam dziesięć lat temu ze swoją byłą dziewczyną.
- Ale przecież wtedy już trzy dni chodziłeś ze mną, ty zakłamanym draniu!

Mężczyźni i kobiety różnią się też, jeśli chodzi o ciążę. Nie, bynajmniej nie mam tu na myśli fizjologii. Dla kobiety jest to piękny stan, szczyt życia, nadanie mu sensu. Dla mężczyzny jest to próba tego, jak bardzo potrafi panikować. Znacie to. Dzwoni do was wasza dziewczyna i poważnym głosem mówi, że musicie porozmawiać. Że była u ginekologa... A wy myślicie: *Hm, Boże święty, co ja od niej złapałem? Grzybicę? Rzeżączkę? Z kim jeszcze spałem?* A potem siadacie, a ona mówi: *Wiesz, jestem w ciąży...*

Istnieje powód, dlaczego kobiety mówią to raczej neutralnie i ostrożnie niż wesoło, choć często jest to przecież jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu. Bo już się rozniosło, jak mężczyźni na to reagują. Kiedy mężczyzna słyszy „jestem w ciąży”, mdleje. Wewnętrznie. Jego ciało wciąż tam jest. Patrzy. I w jakiś automatyczny sposób reaguje. Ale wewnątrz jest całkowicie omdlały i nie zapamiętuje kolejnych kilku minut rozmowy. Zatem te pierwsze kilka minut to tylko wyuczone reakcje. *Aha, jasne, to super.* Potem ten człowiek otrząsa się z wewnętrznego omdlenia. I zaczyna panikować. *Dokąd ja ucieknę? – Czy mogę powiedzieć, że to nie moje? – Jezu Chryste, mam przesrane. – Zrób minę, szczęśliwą. – Jak robi się szczęśliwą minę? – Dokąd ja ucieknę? – Chyba zwymiotuję. – Kurwa, to koniec mojego życia. – Jak to się mogło stać? – Dokąd ja ucieknę? – Zrób*

szczęśliwą minę. – O, jeśli to będzie chłopiec, będziemy razem grać w piłkę. – O kurwa, a jak to będzie dziewczynka? – O kurwa, a jak to będą bliźniaki??? I przez cały czas patrzycie na tę kobietę, która w tej chwili, w tej jednej sekundzie zmieniła się z obiektu waszego pożądania w kogoś, kto zniszczył wam życie.

I nie możecie nic zrobić, bo kobietom nie da się powiedzieć prawdy. Kobiecie nigdy nie możecie powiedzieć prawdy. Zaczyna się od tego zdania: *Od teraz jesteśmy razem i zostaniemy razem aż do śmierci. Prawda, że nigdy mnie nie okłamiesz?* Skąd mogę wiedzieć, czy nie będę kłamać, skoro nie wiem, o co zapyta? Potem jesteście skazani albo na kłamanie, albo na wydawanie z siebie wyłącznie onomatopei. A tak nie da się wytrzymać zbyt długo.

– Słuchaj, moja najlepsza kumpela ubrała się dziś jak kurwa i myśli, że facetom się to podoba. Przecież to nie może się nikomu podobać, nie?

– Eeeeeee.

3.

Jeśli kobietom na czymś zależy, to są to walentynki. Mężczyznom są one obojętne, ale dla kobiet to bardzo ważne święto. To ciekawe, bo mówi się przecież, że walentynki to dzień zakochanych. Ale sądząc po tych wszystkich prezentach i kwiatach, wygląda na to, że zakochani są przede wszystkim faceci. Na walentynki widzimy zastępy facetów biegających po mieście z kwiatkami i różnie zapakowanymi prezentami. Ale gdzie są prezenty dla facetów? Promocje walentynkowe pojawiają się głównie w kwiaciarniach i sklepach z rzeczami dla kobiet. Ale czy widzieliście kiedyś promocję walentynkową w sklepie z narzędziami? Albo w sklepie wędkarskim? Tylko mi nie mówcie, że na świecie nie ma żadnego majsterkowicza ani wędkarza, którego nie kochałaby jego dziewczyna lub żona. Chociaż jeśli jest akurat wędkarzem, może już po prostu zrozumiał, co się święci, i rozwiązał ten problem po swojemu.

Niektórzy twierdzą, że walentynki to okropne, sztuczne i amerykańskie święto, które u nas jest nienaturalne i zostało zaszczerpione wyłącznie po to, żebyśmy wydawali pieniądze na bezsensowne czerwone rzeczy w kształcie serduszek, ohydne walentynkowe dania itp. Oczywiście ja też tak myślałem. Kiedy byłem młodszy. Dziś już tak nie myślę. Wręcz przeciwnie, im jestem starszy, tym bardziej lubię walentynki. Poważnie. Dla mężczyzny nigdy, w żaden z pozostałych 364 dni w roku, seks nie jest tak tani, jak właśnie w walentynki. Naprawdę, cena seksu w walentynki dramatycznie spada. Wystarczy kupić coś czerwonego, coś, na czym jest serduszko,

i załatwione. Bo walentynki to taka seksualna korrida, wystarczy pomachać kobiecie przed oczami czymś czerwonym i nie wyglądać przy tym jak gwałciciel... I już! *Olé!* Otóż na walentynki mężczyźni masowo przekonują się, jak świetne życie wiodą pedofile. *Aha, czyli to tak wygląda, kiedy uprawia się seks za czekoladki!* Ale najlepsi są faceci, którzy dają partnerkom na walentynki wibrator. Nie kumam ich! Jasne, kobieta na walentynki traci czujność, więc wystarczy trochę romantyki przy świeczkach i ucieszy się nawet z proszku do prania, jeśli opakujecie go w coś czerwonego. Ale, do cholery, wibrator? W zeszłym roku widziałem nawet gościa, który wręczał go swojej dziewczynie lub żonie podczas romantycznej kolacji. A ona nawet się nie zawstydziła. Naprawdę, siedzieli w restauracji obok mnie, facet miał taką specjalną męską minę. Tę minę miłego, romantycznego mężczyzny, pragnącego słuchać. To mina, której faceci używają tylko w jednym przypadku: kiedy muszą ukryć minę całkowicie napalonego idioty. Każdy facet ma to w sobie i umie to. Uczymy się używać tej miny, kiedy mamy lat -naście... *Jasne, opowiedz mi o tym, co powiedziała ci twoja koleżanka.* Ale w duchu myślicie: *Choć dużo ciekawiej byłoby, gdyby ta twoja kumpela zamiast gadania polizała cię po sutkach.* No więc siedzę w tej restauracji, a ten typ podaje swojej dziewczynie prezent. Ona zagląda pod opakowanie i się rumieni, a ten gość mówi:

– Ale rozpakujemy go dopiero w domu.

A ja myślę: „Naprawdę? Dopiero w domu?”. To bardzo miło z twojej strony, że oszczędzisz mi konieczności oglądania przy steku, jak twoja niezbyt pociągająca dziewczyna rozpakowuje w środku restauracji kawałek chińskiego plastiku przeznaczony do wypełniania otworów w ciele. Bardzo to doceniam.



Serio? Wibrator jako romantyczny prezent? Co to ma być? Jakiś gest rezygnacji, całkowitej kapitulacji? Czy co? To ma być podniecające? Serio, nie jarzę. Ona będzie z niego korzystać, a wy nie musicie się wysilać? Może od razu dajcie jej romantycznie zapakowany klucz francuski albo nawet cały zestaw narzędzi. *Proszę, kochanie. Od teraz nie potrzebujesz mnie ani nawet tego sąsiada, który przychodził ci pomagać, kiedy nie było mnie w domu, od teraz możesz naprawić tę przeciekającą umywalkę, kiedy tylko zachcesz.*

Głupie jest to, że jeśli człowiek, a przede wszystkim kobieta, przyzwyczai się do czegoś, nie chce z tego potem rezygnować. Nie mam teraz na myśli seksu. Mam na myśli prezenty. Zobaczcie, teraz ciągle mówi się o tym, że dzięki temu, że wokół jest tyle wszystkiego, dzieci dojrzewają szybciej niż kiedyś. Przede wszystkim dziewczyny. Dziewczyny szybciej przechodzą pierwszą menstruację, szybciej rozwija się im mózg. A to przynosi ciekawe konsekwencje. Mój syn niedawno wrócił z przedszkola i powiedział, że już zdecydowali z kumplami, z kim się ożenią. I że on wybrał sobie Jaśminkę. A Jaśminka powiedziała mu, że dobrze, ale że chce

diamentowy naszyjnik... Diamentowy naszyjnik! W przedszkolu! A teraz spróbujcie jakoś logicznie wytłumaczyć pięciolatkowi: *Słuchaj, na twoim miejscu poczekałbym z tym naszyjnikiem, aż zobaczysz, jaka będzie w łóżku.* Właśnie tak szybko rozwijają się dziś dziewczyny. Próbuje seksualnych trików, kiedy nawet nie rozumieją jeszcze znaczenia słowa seks, a słowo trik wymawiają *tlik*... I spróbujcie teraz wyjaśnić małemu, niewinnemu chłopcu, że tak już będzie zawsze. Że od teraz, z krótką przerwą w okresie dojrzewania, już zawsze za każdą możliwością seksu będzie się kryło ryzyko kupna torebki lub przynajmniej zakupy w IKEA.

Ale w walentynkach podoba mi się to, że to dość bezpieczne święto. Jeśli facet czegoś nie spieprzy, na przykład jeśli o niczym nie zapomni, ma spokój i pewność, że obejdzie się bez kłótni. Nawet dźwięk SMS-a ujdzie mu płazem.

Ogólnie telefony są jednym z najczęstszych źródeł problemów w związkach. Moje były dziewczyny, wszystkie bez wyjątku, miały alergię na telefon. Jedna twierdziła nawet, że jestem od niego uzależniony. Ja nie jestem uzależniony od telefonu. Uzależnieni są ludzie, którzy potrzebują pomocy. Ja nie potrzebuję pomocy. Wystarczy mi świadomość, że mogę ją wezwać w każdej chwili. Że mam ten przyjemny ciepły prostokąt naładowany, na udzie, i mogę na niego spojrzeć, kiedy tylko zechcę.

Najlepsze jest, kiedy dziewczyna lub żona mówi coś w stylu: *Nie gap się na ten telefon, porozmawiaj ze mną...* A wy tak na nią patrzycie i myślicie: *A co takiego mogłabyś mi powiedzieć, czego nie ma w moim telefonie? Mam tu zebraną wiedzę z dwóch tysięcy lat, informacje online o wszystkim, co mnie interesuje. A zamiast tego mam słuchać, co powiedziała twoja koleżanka?* Ale w końcu i tak ją wysłuchujecie. Przecież porno możecie sobie obejrzeć zawsze...

4.

Wczoraj miałem w domu fachowców. No powiem wam, oby już nadeszła ta fala uchodźców, o której ciągle piszą w gazetach. Bo przecież ktoś spośród tych setek tysięcy ludzi ciągnących do Europy musi, do cholery, potrafić taniej i lepiej naprawić umywalkę niż ten facet, który wczoraj pod nią leżał. Ciągle się mówi, że musimy wybrać z tej fali, kogo chcemy, a kogo nie. Ja wybieram hydraulików.

Bo ci hydraulicy, których znamy, to zło. Hydraulicy to kara boska zesłana na mężczyzn za to, że zamiast uczyć się naprawiać umywalki, oglądali niemieckie porno z aktorami przebranymi za hydraulików przychodzących naprawić umywalkę. Bo tak jest. Facet zniesie jakiś stopień poniżenia, gdy przegra z równym sobie. Ale facet w stroju roboczym, nieznający dezodorantu, wyglądający, jakby potrafił policzyć maksymalnie do dziesięciu, ale dający wam potem rachunek na kilkadziesiąt złotych, naprawdę nie jest kimś, z kim chcielibyście się mierzyć. I właśnie dlatego każda porażka z nim tak strasznie boli.

Po prostu wezwanie do domu fachowca jest dla mężczyzny strasznym poniżeniem. A już najlepsze jest, kiedy to ucieleśnione oskarżenie waszej bezradności ubrane w strój roboczy wchodzi do waszej łazienki, rzuca okiem na to, co chcecie naprawić, przykładą kombinerki, dwa razy nimi przekręca, a potem patrzy na was z miną, z jaką zdobywca Nagrody Nobla obserwuje pierwotniaka pod mikroskopem. I mówi coś w stylu:

– Hm, wystarczyło dokręcić... Razem to będzie sto pięćdziesiąt złotych.

Sto pięćdziesiąt złotych za dokręcenie kranu i wymianę uszczelki? Gdyby naprawiała to naga kobieta – nie ma sprawy! Ale facet, który pokazuje wam tylko pół tyłka wystającego ze spodni, kiedy schyla się pod umywalkę? Wydaje mi się to za dużo. A kiedy przyszedł trzeci z rzędu hydraulik i jemu też zsunęły się spodnie do połowy tyłka, zrozumiałem, dlaczego luźne noszenie tej części garderoby nazywa się dekoltem hydraulicznym.

Lecz to oczywiście nie jest jedyne poniżenie, jakie czeka mężczyzn w łazience. Pierwsze nadchodzi, gdy ją wyposażacie. Sprawcą tego poniżenia również są ludzie, od których na to nie zasługujecie: sprzedawcy RTV/AGD. Kupowaliście kiedyś coś takiego? Nie wiem, cokolwiek. Lodówkę, płytę indukcyjną albo na przykład telewizor? W jaki sposób to kupowaliście? *Dzień dobry, chcę telewizor. Mniej więcej taki duży. Tej i tej firmy. Za tyle i tyle.* Dostajecie pudło i jedziecie do domu. Nie, tak było kiedyś. Te czasy minęły bezpowrotnie. Dziś kupowanie elektroniki to pojedynek. Pojedynek na obeznanie, pojedynek, którego stawką jest szacunek wobec samego siebie. Wchodzicie do sklepu i stajecie naprzeciw jakiegoś specja w koszulce z napisem *Czym mogę służyć?* oraz z miną *Tobie na pewno nie pomogę, gnoju. Tobą się zabawię!* Patrzycie na niego i już wiecie, że zamiast spędzić najbliższe pół godziny z nim, wolelibyście przez następne dziesięć lat gapić się wieczorem na ogień. Ale w końcu ulegacie. Bo telewizor jest potrzebny.

Odnajdujecie gdzieś w sobie ostatnie resztki silnej woli i podejmujecie próbę.

– Chciałbym kupić telewizor. Mniej więcej takiej wielkości, w takiej i takiej cenie.

– Hm, a ma mieć DVBT C/S2 czy S1?

I macie przesrane. Koniec. Po zawodach, można się rozejść. Patrzycie na tego debila w koszulce z kołnierzykiem i wiecie, że będzie was tak poniżać jeszcze przez pół godziny, zanim triumfalnie wyjdziecie stąd z telewizorem, o którym on myśli, że jest najgorszy na świecie. A wy jesteście idiotą, że go kupiliście. I będzie mieć o czym opowiadać pozostałym sprzedawcom podczas obiadu. Bo nie kupiliście tego telewizora, który on wam polecił.

Oczywiście możecie to zrobić też tak jak ludzie, którzy przed zakupem czytają wszystko o telewizorach, uczą się tych skrótów, centymetrów, wejść USB i tak dalej. Mają to wykute na blachę. Zazwyczaj trzeba na to poświęcić tydzień urlopu. Albo tydzień jakiejś pracy, w której wszystkim jest obojętne, czy tam jesteście i co robicie. Po tygodniu ruszacie do sklepu, jakbyście szli na egzamin licencjacki.

– DVBTC/S2 czy S1?

– Pchi, oczywiście S1.

– Ile scartów? (To podchwytliwe pytanie, a wy oczywiście o tym wiecie).

– Wystarczy jeden...

I w ten sposób odpowiadacie też na pytania wypełnione informacjami aż po brzegi. A potem przychodzi najważniejsza kwestia.

– To jak, bierze pan Samsunga UE55HU6900 czy UE55HU6900 TH?

No nie mogę! Kto nazywa telewizory ciągiem dziesięciu znaków? Odpowiedź: wszyscy. Każdy sprzęt elektroniczny ma jeszcze bardziej idiotyczną nazwę niż jego poprzednik. Tego po prostu nie da się nauczyć! Jedyni ludzie, którzy mogą w dzisiejszych czasach wybierać sprzęt elektroniczny, to autyści. My, pozostali, nie mamy szans. Prędzej nauczycie słonia biegać setkę poniżej dziesięciu sekund, niż zapamiętacie pełną nazwę swojego telewizora.

Chciałbym zobaczyć tego gościa, który wymyśla nazwy nowych modeli.

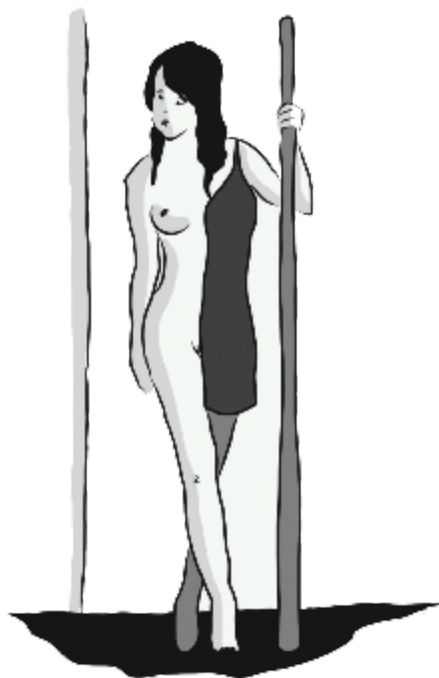
– Przydałoby się coś seksownego. Ten telewizor musi się dobrze sprzedawać. Nazwiemy go ATV 7852igsooo4. I wygląda przy tym jak jakiś szalony lekarz, mieszkający samotnie w odległym zamku i obmyślający zemstę nad ludzkością.

5.

Uchodźcy to fenomen. Skąd dokąd można jeszcze przejść, żeby ludziom to nie przeszkadzało? I kiedy jeszcze można, a kiedy już nie? Tak, cała Europa mówi o uchodźcach z Afryki, którzy utoną w Morzu Śródziemnym. Ale co z tymi biedakami, którzy codziennie umierają na autostradach, próbując dotrzeć za lepszym życiem do stolicy? To nie żart. Trzeba z tym coś zrobić. I im szybciej, tym lepiej, bo stolica nie jest z gumy. Owszem, wciąż jest tu kilka podrzędnych miejsc pracy dla ludzi z Moraw. Tu i ówdzie potrzeba śmieciarza, pokojówki w hotelu, kelnera, osoby do czyszczenia kanałów ściekowych, strażnika miejskiego czy kogoś w stylu junior account executive w którejkolwiek korporacji. Ale bądźmy szczerzy: te miejsca się kończą. A ludzie z Moraw wpychają się również tam, gdzie nie mają czego szukać... Krótko mówiąc, zabierają pracę nam, porządnym białym prażakom. Oczywiście w tym, że jesteśmy akurat prażakami, nie ma żadnych naszych zasług. Ale czy to kogoś interesuje? Nie. My jesteśmy tu. Oni tam. I coraz trudniej jest nam się ze sobą dogadać. Szczególnie gdy próbujemy dogadać się w taksówce, a jej kierowca oświadcza wam morawskim dialektem, że nie jest z Pragi i że zepsuła mu się nawigacja. Taki człowiek nie trafi z powrotem do domu, jeśli się go tam nie deportuje.

Wiecie, my, prażanie, mamy swoje atrybuty, których nie damy sobie odebrać. Na przykład turystów. Wszyscy wiedzą, że turyści w Czechach jeżdżą tylko do Pragi i w najlepszym razie do Krumlova, a potem od razu uciekają do Wiednia. To dlatego, że wszystkie pieniądze zostawili

w praskich taksówkach i barach ze striptizem. Ogólnie jest dość zabawne, że mówi się, że turyści przyjeżdżają do Pragi na tanie piwo. Widzieliście kiedyś, ile kosztuje piwo na placu Wacława? W Darlingu? Nie widzieliście. Ale z pewnością nie jest tanie. Tyle że nie macie o tym pojęcia. Normalny prażak nigdy nie wejdzie do Darlinga. Unikajcie tego miejsca. Po pierwsze dlatego, że dzięki temu nie będziecie pić najdroższego piwa na świecie, a po drugie dlatego, że unikniecie nieprzyjemnych sytuacji. Na przykład takich, że spotkacie tam swoją sąsiadkę. Albo swoją dziewczynę.



– Jezu, cześć, co ty tu robisz?

– Dorabiam. Szoruję tę rurę.

Ogólnie turyści nie mają w Pradze lekko. Ale z drugiej strony: dobrze im tak. Widzieliście kiedyś, jak ci zagraniczni turyści się tu panoszą? Turysta to ktoś, kto po przylocie na lotnisko Václava Havla oddaje połowę mózgu do przechowalni i odbiera ją dopiero podczas odprawy w drodze powrotnej. W tej oddanej części znajduje się między innymi instynkt

samozachowawczy, zdolność ekonomicznego myślenia, wszelkie centra smaku i wszystko inne oprócz umiejętności sikania po pijaku na placu Wacława o drugiej w nocy w towarzystwie trzech brzydkich kurew. Poważnie. Turysta przechodzi w Pradze cudowną przemianę. W swoim kraju jest wykształconym człowiekiem, który zastanawia się, czy w restauracji przy swojej ulicy w Paryżu, Hanowerze czy Detroit wydać parę euro czy dolarów więcej na kieliszek wina... I ten sam człowiek jest skłonny zapłacić równowartość ponad czterystu złotych za to, że może przez godzinę stać w Pradze w korku na mrozie w zabytkowym aucie bez dachu. Wiecie, o czym mówię? O tych debilnych autach, które udają, że są stare. Bo przecież Praga jest najpiękniejsza, gdy ogląda się ją z auta bez dachu, stojąc w korkach. Przed wami zamek praski, a za wami jakiś kierowca wrzeszczy: *Zjeżdżaj, chuju, gdzie się pchasz!* A na końcu wykładacie za to ponad cztery stówy! Jak dużą część mózgu trzeba sobie amputować z głowy, żeby chcieć płacić za coś takiego? Niedawno widziałem na starym rynku kilku turystów fotografujących typa puszczającego bańki mydlane. Takiego prawie bezdomnego, uzbrojonego w stare wiadro, dwa kijki połączone sznurkiem i mydło ukradzione w Rossmannie. Czy ci ludzie nigdy wcześniej nie widzieli baniek? Niby dlaczego trzeba robić temu zdjęcie? I gapią się na to przez długie dwie minuty, w czasie których mogliby przecież zrobić coś, co na przykład... no nie wiem, uratowałoby planetę od plastikowych śmieci?

Ale oni są po prostu na urlopie, im to nie przeszkadza. Bo na urlopie fotografuje się wszystko. I je się wszystko. Musi to być tylko wystarczająco ohydne, by ktoś mógł to nazwać daniem regionalnym. Jak już wspomniałem, turyści nie mają instynktu samozachowawczego... No, trudno. Człowiek, który jest w stanie zapłacić osiem złotych za ciastko pieczone w śmierdzącej budce, zasługuje na to, by połowę urlopu spędzić

w toalecie. Czekam, aż ktoś wymyśli, że w szesnastym wieku posypywało się te ciasteczka piaskiem jako prewencję przeciw szkorbutowi. A turyści i tak będą je kupować. A Praga zasłynie jako miejsce, z którego wyjeżdża się bez zębów.

– Jak było w Pradze?

– Supel, gorąco polecam.

Oczywiście z turystami u nas jest bardzo wesoło. Jeśli mieszkacie w Pradze długo, znacie ich wszystkich. Nie muszą się nawet odzywać. Świetni są na przykład Rosjanie. Podchodzą do was w centrum miasta i zaczynają wypytywać o coś po rosyjsku. *Kdzie prażki grad?* A wy najpierw się upewniate, że nie mają za rogiem zaparkowanego czołgu. A potem i tak na wszelki wypadek wysyłacie ich w przeciwnym kierunku, bo z nimi nigdy nic nie wiadomo... Fajne są też wycieczki Chińczyków. Ci ludzie ciągle wyglądają, jakby nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie są i dlaczego tu są. Ale nie przeszkadza im to, bo jest ich tu dużo. Podczas gdy normalni turyści gubią się pojedynczo, ci chińscy gubią się całymi grupami... Bo oni niczego nie potrafią zrobić w pojedynkę. W tym są podobni do wycieczek młodych Włochów. Na pewno ich znacie. To ci, którzy przyjeżdżają tu od jakichś dwudziestu lat, żeby sprawdzić, czy stu osiemdziesięciu włoskich turystów może się wcisnąć do restauracji z trzydziestoma miejscami. Nie, nie może! Ale oni będą wciąż próbować. Bo przecież od poprzedniego razu mogły się zmienić prawa fizyki, nie? Skoro już była mowa o tych uchodźcach. Nie cierpię uchodźców. Zniszczyli mi Facebook. Na moim Facebooku teraz część ludzi przyjmuje uchodźców, część wyrzuca, a między nimi jest jeszcze grupa ludzi, którzy na przemian uspokajają sytuację lub zamierzają emigrować.

Uchodźcy stali się obecnie naszym sportem narodowym. Przypominają mi trochę naszych hokeistów grających w NHL. Są gdzieś daleko za

granicą, mało kto widział ich na żywo i większość ludzi zna ich z telewizji, każdy wie, gdzie powinni się znaleźć, żeby było dla wszystkich najlepiej, a kiedy przypadkiem któryś z nich pojawia się w naszej ojczyźnie, rynek od razu wypełnia się ludźmi z flagami.

Super są ci, którzy mówią: „Jak tak się wam ci imigranci podobają, to weźcie ich sobie do domu”. Problem w tym, że większość ludzi, którzy są za ich przyjęciem, już ma ukraińską sprzątaczkę. Ale z drugiej strony całe to „weźcie ich sobie do domu” ma swój sens. Gdy weźmiemy pod uwagę, że główni polityczni oponenti wyglądają tak, jakby bez względu na swój wiek wciąż mieszkali z mamą, jest logiczne, że oni ich do domu wziąć nie mogą. To zrozumie każdy. Wyobraźcie sobie, jak taki poseł przychodzi do domu:

– Mamo, mogę przyprowadzić kilku kolegów?

– Nawet o tym nie myśl, gnojku. Ostatnio zużyli nam prawie cały papier toaletowy.

Ale mój ulubiony argument przeciw imigrantom przeczytałem niedawno na Facebooku. I przysięgam, że nie zmyślam. Jakiś facet napisał, że imigranci to zło, bo „nie pracują i zabierają nam pracę”. Tak, poważnie. Nie pracują i zabierają nam pracę. I pisze to na Facebooku. I nie jest mu głupio. Po prostu jemu zabiera pracę człowiek, który nawet nie pracuje. I ten typ się na to publicznie skarży. To tak, jakby skarżył się na to, że jest debilem.

Z drugiej strony nie jest też tak, że z imigrantami nie ma żadnego problemu. Spójrzcie na przykład na Teplice przy niemieckiej granicy. Tamtejsi mieszkańcy bardzo długo skarżyli się na to, że muzułmańscy turyści robią tam w parku straszny burdel. Burdel w Teplicach? Przecież Teplice to JEST jeden wielki burdel. Według mnie to powinno się teraz nazywać raczej adaptacją kulturową. Ale rozumiem, że tepliczan to

denerwuje. W Pradze już przywykliśmy do tego, że turyści brudzą, przecież rzygają nam tu na chodniki od 1990 roku. Wiemy, jak wykorzystać ich obecność. Od lat sprzedajemy im kufel piwa za piętnaście złotych, ohydną poledwicę za siedem dych i zielony alkohol udający absynt za trzy dychy za setkę. Dzięki temu milej się nam sprząta, gdy o piątej rano wyrzycują to wszystko na chodnik. Ale w Teplicach nie mają pojęcia, do czego służą turyści. Tam są tylko Niemcy, którzy przyjeżdżają na kurwy. Poważnie. Jeśli przejdziecie się po Teplicach w bieliźnie i będziecie mówić po niemiecku, nikt nawet nie zwróci na was uwagi. Choćby dlatego, że widzi, że nie ma wam już czego ukraść. *Jasne, autobus do Deutschland? W tamtym kierunku.* Rozumiem więc, że skoro dotychczas oglądali tam tylko napalonych szkopów, w dodatku trochę podkreślonych Rohypnolem, biegających w samych gaciach i próbujących dostać się z powrotem do Niemiec, to ludzie w burkach mogą ich tam trochę wystraszyć.

Wiecie, ja nie żartuję. Mnie też przerażają te ich kobiety w czerni. Przecież to nie moja wina. Nie jestem przyzwyczajony do Bóg wie jakiej multikulturowości. Dorastałem wśród komunistów za drutem kolczastym. Kiedy za moich młodych lat ktoś miał na sobie prześcieradło, znaczyło to, że próbuje was przestraszyć. Zatem nie dziwcie mi się, że się boję. Ale z drugiej strony to rozwiązanie, to znaczy posiadanie kilku żon i narzucanie na nie prześcieradeł, wydaje mi się świetne. Wiecie dlaczego? Nikt nie może się z was śmiać, że poślubiliście brzydulę. Wyobraźcie sobie na przykład spotkanie kumpli z liceum po dwudziestu latach. *Cześć, Karol, jak się masz, to były czasy, nie? Ciekawe, co porabia teraz Gośka Nowak, ta straszna brzydula z tymi pryszczami... A, przyszliście razem... I macie dwoje dzieci... aha... A teraz wyobraźcie sobie to samo w Kuwejcie. Cześć, kuwejcki Karolu, jak się masz, to były czasy, co? Pamiętasz tę kuwejcką Gośkę, tę brzydulę z tymi pryszczami, jaki mieliśmy z niej podzier...*

Ciekawy jestem, co teraz porabia. A kuwejcki Karol spogląda zamyślony na czarny stożek obok siebie i mówi: Hmm, ja też. (A stożek obok, będący kuwejcką Goską, właśnie myśli, jak obcina się jaja).

Jak pewnie wiecie, w całej Europie jest teraz dużo turystów z Półwyspu Arabskiego. Byłem w lecie w Austrii i tam też przyjeżdża mnóstwo turystów z Półwyspu Arabskiego. Ogrzać się w lecie. U siebie mają pięćdziesiąt stopni, w Alpach jest trzydzieści. To oczywiście świetnie, że ludzie latają po świecie i poznają go. My latamy na urlopy tam. Oni tu. W tym nie ma dziś nic skandalicznego. To mówi przednia część waszej głowy. Ta dobra część głowy, która zmusiła was do wykupienia prenumeraty snobistycznej gazety dla intelektualistów i która nie pozwala wam brać w sklepie jednorazówek. Lecz istnieje też tylna część mózgu. Ukrywa się za tą przednią. Ona nie mówi nic, bo przez większość czasu wstydy się, że istnieje. A w takich sytuacjach wyłazi i mówi: *Słuchaj, stary, nie chcę ci przeszkadzać, ale to jest chyba dziwne*. Nawet jeśli jesteście najbardziej multikulturowym człowiekiem na świecie, wciąż macie ten ukryty kawałek mózgu. Ja też go mam. Wyglądam przez okno i podziwiam widok na letnie Alpy. Nie ma nic bardziej europejskiego niż Alpy latem. Piękny widok. Patrzycie na Alpy i słuchacie języka niemieckiego wokół siebie. To niezwykle inspirujące. Po tygodniu moglibyście napisać sequel *Mein Kampf*... *Mein Kampf 2 – Zmartwychwstanie*. Albo: *Mein Kampf 2 – Jeszcze ostrzej. Mein Kampf 2 – Znow w Austrii!* Rozkoszujecie się tym i czerpicie inspirację, a tu nagle w tej nazistowskiej idylli wyłania się rodzina w burkach. Znaczą, rodzina... Pojawia się mężczyzna i burki. A tylna część waszego mózgu zaczyna krzyczeć: *Zamach, zamach, bomba, na ziemię, to ISIS, uciekajcie, albo wasi znajomi będą jutro podziwiać na Facebooku waszą odciętą głowę!* A przednia część waszego mózgu mówi: *Odwalilo ci? Spokojnie, to tylko turyści. Nic się nie dzieje. Ale już wiecie,*

że coś nie gra, bo... pomyślcie sami. Jakie jest ostatnie miejsce, w którym islamiści przeprowadziliby zamach? No jasne: trasa zjazdowa w Alpach. Nie ma bezpieczniejszego miejsca. Po pierwsze założę się, że nikt w ISIS nie potrafi jeździć na nartach, a po drugie zamachowca-samobójcę można by na stoku łatwo poznać. Nie będzie mieć kasku.

Sam byłem niedawno w górach, ale właściwie nic o nich nie wiem. Poprzednio byłem tam jako dziecko. I nie jeździłem na nartach, więc w ogóle się na tym nie znam. I widać to po mnie. Kiedy wszedłem do wypożyczalni nart, najpierw przez jakieś pół godziny się ze mnie śmiali, jeszcze zanim zdążyłem powiedzieć *dzień dobry*. Chyba było widać, że nie znam się na narciarstwie. A ja chodziłem tam sobie między regałami, a obok rozmawiały dwie dziewczyny: *Byłam teraz we Francji, a te czarne tam są super. I ile ich tam jest... Nie da ich się porównać z tymi naszymi tutaj... Wyjeździłam się na nich za wszystkie czasy. Były tak długie, że potem przez dwa dni nie mogłam chodzić. U nas prawie w ogóle nie ma czarnych, a jeśli już, to takie zaniedbane, że można się na nich strasznie poobcierać*. Powiem szczerze: sporo czasu minęło, zanim zrozumiałem, że mówiły o trasach narciarskich.



Ale dopiero w tej wypożyczalni nart dotarło do mnie, jak bardzo zmienił się świat. Za moich młodych lat nie trzeba było umieć jeździć na nartach. Dziś ze wszystkimi tymi nartami carvingowymi, superulepszeniami i wyciągami nie potrzebujecie do narciarstwa nawet obu nóg! Wystarczy, że potraficie zapiąć kurtkę. A już najlepsi są ci, którzy nagrywają swoje zjazdy. Mają kamerkę na głowie i wydaje się im, że ich życie jest niesamowicie bogate. Że zdobywają stoki. A potem zdobywają YouTube.

Tak to teraz działa. Facet, który wypił w życiu dużo, naprawdę dużo piwa, i tak też wygląda, pewnego ranka postanawia, że chce napić się piwa też gdzie indziej, nie tylko ciągle w tej jednej knajpie. Kupuje więc sobie narty. I wyrusza w góry. Do zapięcia butów narciarskich potrzebne jest mu zdalne sterowanie. Widziałem to, to najnowszy trend. Działa tak, że wyciąga się nogę przed siebie i woła się żonę albo dzieci, żeby pomogły zapiąć sprzączkę.

Kiedy taki facet wpada w zaspę na skraju trasy, muszą go za ręce i nogi wyciągać cztery dorosłe osoby lub dźwig. Wiem coś o tym. Kiedy ja wpadłem w zaspę, myślałem, że zostanę tam do wiosny. Zobaczcie, jeszcze kilkadziesiąt lat temu ludzie pokroju tego gościa, czy nawet mojego pokroju, jeździli w góry tylko w jednym celu – by umrzeć. Dziś jeżdżą tam odpoczywać. Powozić swój tyłek na wyciągu.



I taki gość, któremu buty zapina żona i który ma te supernarty, co same się zapinają, wyjeżdża na stok z małą kamerką GoPro przymocowaną do kasku. Już sama ta nazwa: GoPro. GoPro! Wystarczy wypakować ją z pudełka i od razu człowiek ma wrażenie, że właśnie wygrał rajd Paryż–Dakar i jeszcze zdążył podjechać na biegun północny. GoPro. To dowód na to, że robicie coś odlotowego i niebezpiecznego. A teraz powiedzcie mi... co ten facet nagrywa tą kamerką? Jak jedzie na nartach? I komu to pokazuje? Swojej żonie? *Cześć, kochanie, pokażę ci coś bardzo ciekawego. Nie uwierzysz, co przydarzyło mi się dziś po południu. Na szczęście przypadkowo to nagrałem. Masz dwie wolne godzinki? – Przecież zjeżdżałam z tego zbocza razem z tobą. I wyciągałam cię tam z zasy. – Aha. Ale może chciałabyś to zobaczyć z mojej perspektywy?*

Zatem żonie tego raczej nie pokaże. Kochance też nie, bo był tam z żoną. Kumplom w knajpie? *Chłopaki, kurwa, ja tam zapierdalałem jak dziki. Kurwa, serio, dałem radę. Ja pierdolę, to było serio mega. A tu macie dowód na to, że naprawdę zjechałem po niebieskiej, trwa tylko godzinę*

z hakiem. I patrzcie, to jest serio zajebiste! Po czym zaczyna się dwugodzinny seans: biała trasa zjazdowa, dźwięki nart i głośne sapnięcia co dziesięć sekund. Tak czy inaczej, w przeciągu tych dwóch godzin okaże się, którzy ze zgromadzonych nad ekranem mężczyzn są prawdziwymi przyjaciółmi.

Ale szczytem wszystkiego był facet, który podczas jazdy nagrywał się telefonem na kijku do selfie. Wyglądał jak orangutan, który zgubił się na techno-party. Do dziś zastanawiam się, co on tak właściwie filmował? Stok z góry? Czy swój ryj podczas jazdy na nartach?

Poważnie, sama myśl, żeby nagrywać się podczas jazdy na nartach, jest śmieszna. Lecz wiele ludzi to robi. To вина tych filmików, które puszczaają w telewizji. Tych z dronów, na których ludzie skaczą ze śmigłowca, a potem szybują ślizgiem gdzieś w Colorado lub w Kanadzie. Tyle że to błąd, straszne nieporozumienie. To, że lubię to oglądać, nie znaczy przecież jeszcze, że też coś takiego nagram... Wyobraźcie sobie, że robią to wszyscy. Jakby to się skończyło... na przykład z filmami porno?

Gdyby wszyscy zaczęli je nagrywać? A potem wrzucać do sieci? Boże, dlaczego? Żeby pokazać, że potrafi się zrobić coś, z czym spokojnie radzi sobie nawet kangur? A czasem nawet lepiej przy tym wygląda? Nie, kiedy włączam porno, chcę obejrzeć ładnych ludzi. Aktorów, którzy potrafią przy tym stać na głowie, i aktorki, które znają tylko dwa słowa i wyglądają, jakby ktoś odlał je w Chinach z silikonu, a w Ameryce jeszcze dopompował! Tego chcę. A nie swojego sąsiada. To samo dotyczy sportów. Chcę oglądać Puchar Świata, a nie typa zjeżdżającego po zboczu pługiem. Skoro już o tym mowa.

To problem czeskiego Tindera. Znać Tinder, nie? To taka aplikacja, w której wybieracie, kto się wam podoba, a kto nie. A wiele kobiet wrzuca tam swoje zdjęcia z nartami na jakimś szczycie, żeby mogły się pochwalić,

jakie to one są wysportowane. Jasne, nic nie podnieca mnie tak jak kobieta w grubym kombinezonie. Kiedy kobiety wpadły na to, że najbardziej pożądaną cechą w aplikacji służącej do nawiązywania kontaktów seksualnych jest umiejętność włożenia butów narciarskich? Gdzie kobiety wpadły na to, że kombinezon narciarski jest lepszy niż bikini? Albo niż nic? Do tego nieporozumienia jeszcze wrócimy.

6.

Wszyscy mamy świra na punkcie telefonów komórkowych. Komórki są cholernie ważne. Znacie to uczucie. Idziecie i wiecie, że nie może się wam nic stać, bo w kieszeni czujecie telefon. Z naładowaną baterią. Po prostu emanuje z niego poczucie bezpieczeństwa. A wy możecie cieszyć się nim bez ograniczeń, bo od kilku lat wiecie, że to, że dostaniecie od niego raka jąder, to tylko przesady. Ta świadomość jeszcze bardziej poprawia wam nastrój. Bo w telefonie jest dziś wszystko. A telefon to nie tylko rzecz, którą się telefonuje, ale też status, symbol. Znak bycia ważnym, którego można używać jako znak bycia ważnym. I wiele osób tak właśnie robi. Najlepsi są ci, którzy rozmawiając z wami twarzą w twarz, demonstracyjnie kładą telefon na stół. Dają wam do zrozumienia. *Tak, jasne. Jesteś dla mnie ważny, ale jeśli chcesz być naprawdę ważny, wyjdź na zewnątrz i zadzwoń do mnie. Bo wtedy odbiorę i będziesz dla mnie ważniejszy niż teraz, kiedy tu ze mną siedzisz.*

Zresztą dziś już prawie nie rozmawia się przez telefon. Zazwyczaj się na nim pisze. Czy raczej robi smajliki. Takie to TOP, serduszka i tak dalej. Kiedy pisze do mnie jakiś młody człowiek, czuję się jak egiptolog. Patrę na jakieś obrazki i mogę się tylko domyślać, co oznaczają. Ale pisanie jest boskie. Kiedy do kogoś piszecie, tak właściwie mówicie mu, że nie chcecie z nim gadać. *Nie, teraz jestem gotowy tylko na swoją połowę rozmowy. A ty siedź cicho.*



Telefony to świetna rzecz. Zresztą już o tym wspominałem. Szczególnie w dzisiejszych czasach. Ja jestem tak stary, że pamiętam, jak ludzie korzystali jeszcze z budek telefonicznych. Chyba nie wiecie, co to jest. To taka budka do wstrzykiwania sobie heroiny, którą widujecie czasem na ulicach. W dawnych czasach, kiedy w Czechach nie było jeszcze heroiny, wchodziło się tam i telefonowało się do kogoś. A tego kogoś nie było w domu. I tyle. Wieczorem próbowało się po raz drugi. Albo następnego dnia. Albo za tydzień. Nie mam pojęcia, jak ludzie mogli się wtedy na cokolwiek umówić. Jak oni sobie z tym radzili? Nie tylko bez dzwonienia, ale też bez SMS-ów? Bez Snapchata? Jak umawiali się na przykład na piwo? Może wtedy po prostu na wszelki wypadek ciągle siedziało się w knajpach? Albo jak ustalali, gdzie się spotkają? Myślę, że tych kilku bezdomnych, którzy siedzą z tyłu za pomnikiem świętego Wacława, umówiło się tam z kimś na początku lat dziewięćdziesiątych... i od tamtego czasu tam czekają.

Ciekawiłoby mnie też, jak bez telefonów komórkowych ludzie umawiali się na seks. Bez tych wszystkich Tinderów i Snapchatów. – *Cześć, podobasz mi się. – Ty mi też. – A jeśli później się do ciebie nie*

dodzwonię? – OK, chodźmy od razu do łóżka. To musiały być cudowne czasy.

Telefony. Tak. Telefony to świetna rzecz... Kiedy chcecie się z kimś rozejść. Jasne, zerwanie z kimś za pośrednictwem telefonu jest strasznie proste. Nie mam teraz na myśli dzwonienia. Po prostu kładzie się swój odblokowany telefon na stole, a partner lub partnerka prędzej czy później do niego zagląda. Większości par to wystarcza do rozstania.



Wśród moich znajomych przydarzyło się to prawie każdemu. Mnie oczywiście też. Jestem w łazience, biorę prysznic, a nagle otwierają się drzwi i stoi w nich moja ówczesna dziewczyna. W ręce trzyma telefon. Mój. A w nim otwartego SMS-a. Do mnie. I coś mówi. A ja nie wiem co, bo umieram ze strachu. Zaatakował was już kiedyś ktoś w łazience? Nigdy nie dajcie się zaatakować w łazience. W łazience się nie obronicie. W zasięgu wzroku macie tylko miękkie rzeczy. Te twarde zazwyczaj są przykręcone. I wiedźcie, że rozwścieczonej dziewczyny, która zamierza wcisnąć wam wasz własny telefon... właściwie nie wiem gdzie, kiedy stoi się nago w łazience, możliwości jest sporo... no, w każdym razie rozwścieczonej dziewczyny nie powstrzyma nawet częściowo zużyte mydło. Ani szampon

przeciwlupieżowy. Ani gąbka do mycia pleców. Wtedy myślałem, że odeprę atak, jeśli popsikam agresorkę tanimi perfumami, które kiedyś dostałem i które stały na półce. Skąd mogłem wiedzieć, że mają obrócony rozpylacz? Dobrze było to, że kiedy leżałem na podłodze oślepiony perfumami, które wstrzyknąłem sobie do oczu, i z rozbitą głową po tym, jak wypadłem z wanny, a przy tym wciąż nagi, moja dziewczyna oddała mi ten telefon, żebym mógł wezwać pogotowie.

7.

Młodzi ludzie często pytają mnie o lata dziewięćdziesiąte. Ostatnio czytałem artykuł, w którym jakiś psycholog twierdził, że lata dziewięćdziesiąte to były szalone czasy, z punktu widzenia historii całkowicie zwariowane, kiedy całkowicie szaleńcy i niebezpieczni psychopaci stawali się bohaterami ludu i idolami mas. A skoro już mowa o naszym prezydencie... Niedawno oświadczył, że jeśli nie będziecie pić alkoholu, skończycie jak Hitler. Jeśli będziecie pić alkohol, skończycie jak nasz prezydent. Tak czy inaczej, w sumie to bez znaczenia, bo w obu przypadkach będą stać za tym Rosjanie.

Słuchajcie, ja nie mam nic przeciwko picciu alkoholu. Wręcz przeciwnie, lubię alkohol, ale są pewne granice. Zawsze sobie o tym przypominam, gdy widzę naszego prezydenta, bo kiedy ktoś jest prezydentem i porządnie się nawali, to coś innego, niż kiedy nawalicie się wy albo ja. To nie to samo, bo po prostu prezydent to prezydent. I ma dużo różnych uprawnień, których wy nigdy mieć nie będziecie. Na przykład kiedy ostatnio prawie obrzygaliście klejnoty koronacyjne? No właśnie.

Ale z drugiej strony nie możemy się prezydentowi dziwić. W Czechach piją wszyscy. I ciągle. Ludzie wokół was piją, gdy przychodziecie na świat. Właściwie macie szczęście, jeśli pierwszy człowiek, ten w białym płaszczu, nie będzie całkowicie nawalony. Ten drugi, wasz ojciec, prawdopodobnie będzie. A to już gorzej. Będziecie pić, bo uciekliście z lekcji w podstawówce, bo przyjęli was do liceum, bo nie przyjęli was na studia...

A potem przyjmą was na studia, a wy zaczniecie pić... tak po prostu. Wtedy jest najlepiej. Bo na studiach pije się na przykład dlatego, że jest poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela. A także dlatego, że myślicie, że jest niedziela, choć jest poniedziałek. Studia to najlepszy czas do picia, bo możecie pić wszystko i wszędzie. *Jest to zielono-pomarańczowe, ma konsystencję kleju i osiemdziesiąt pięć procent alkoholu metylowego? Dawaj to tutaj! Hmmm, z kolą całkiem niezłe.*

Potem zaczniecie chodzić do pracy. Jeśli ją polubicie, będziecie pić dopiero po niej. Jeśli nie – prawdopodobnie już w robocie. Potem przejdziecie na emeryturę. To trzeba oblać. A potem umrzecie. Tego już oblać nie zdążycie. Ale żałobnikom nie będzie to w niczym przeszkadzać, bo co? Bo już będziecie sztywni! Dobry pretekst, żeby się nawalić! Wprawdzie będą twierdzić, że piją na waszą cześć, ale wam już to będzie obojętne. Poza tym wcale w to nie uwierzycie, bo pomimo wszystkich tych lat, kiedy piliście z kimś *na zdrowie*, jesteście już martwi i z logicznych przyczyn nie bierzecie udziału w tej imprezie.

Cały ten alkoholowy szal jest niezłe odjechany. Już to, że ludzie chodzą się poznawać w miejsca, w których pije się alkohol. Boże, kto wymyślił, żeby szukać partnerów w knajpach? Szukacie miłości na całe życie? Matki waszych dzieci? Czas lecieć do baru. Bo nic tak nie pomoże odpowiedzialnie wybrać partnera jak butelka wódki! Co za bzdura. Poszlibyście po pięciu kielichach wybierać komputer? Raczej nie, prawda? A poszlibyście po pięciu kielichach wybierać dziewczynę, z którą zamierzacie spędzić kilka lat, a potencjalnie nawet resztę życia? Jasne! Z drugiej strony w żadnym stanie nie robi się dzieci tak dobrze jak w stanie wskazującym. *Aaaa, skarbie, jasne, że chcę mieć z tobą dzieci. Masz sześć palców u ręki? Hehehehe, trudno będzie im wybrać jakieś rękawiczki. No nic, rozbieraj się!* Kiedy następnego dnia się obudzicie, spojrzycie obok

siebie, powstrzymacie odruch wymiotny i minie pierwsza fala przerażenia, zrozumiecie, dlaczego przez cały wieczór to ona stawiała alkohol wam, a nie wy jej...



Ale ja nie mam problemu z alkoholem. Bo alkohol to nie narkotyki. To suplement diety. Lek. Daje waszemu ciału to, czego mu brakuje. Nigdy się nie biliście? Pięć kolejek i idziecie się bić. Sześć i spokojnie startujecie nawet do policjanta. Nigdy nie czuliście się zabawni? Pięć kolejek i zmieniacie się w komika. A jak te dziewczyny pragną was po alkoholu... Ale trwa to tylko chwilę. Potem zaczyna świtać. Ludzie wokół was idą do pracy, a wy macie na sobie koszulę z plamą po drinku tej dziewczyny, która tak bardzo was pragnęła. Są tam też ślady krwi, to po tym, jak przy wyjściu pobiliście się z tym facetem, któremu przecież dalibyście radę. No i dwie dziury wypalone papierosami przez tych ludzi, którym wydawaliście się tacy zabawni. Jasne, kiedy wypalali wam te dziury, prawie tarzali się ze śmiechu. Ale nie szkodzi, jest dziewiąta rano, a wy macie przed sobą pochód wstydu, choć udajecie, że idziecie do pracy tak jak pozostali. I że macie ważne spotkanie z klientem. A tak naprawdę zastanawiacie się, jak to zrobić, żeby powiedzieć do telefonu bez zajknięcia i w miarę możliwości

trzeźwym głosem zdanie: *Bardzo przepraszam, ale dziś nie przyjdę, chyba mam gripę.*

Najgorsza w piciu nie jest zniszczona wątroba, ale coś dużo gorszego! Wyrzuty sumienia! Alkohol to tak naprawdę wyrzuty sumienia w płynie. Nieważne, ile alkoholu wypijecie. Niektórzy po jednej szklaneczce czołgają się do domu jak zbity pies. Istnieje też taka klasyczna dawka: trzy piwa i wódka. Albo dwie. Maksymalnie trzy. Ale kiedy przekraczacie próg domu, a dziewczyna lub żona zaczynają przesłuchanie, to był to maksymalnie jeden kieliszek. I nie macie pojęcia, dlaczego zarzygaliście dywan i usnęliście w ubraniu. Chyba zjedliście coś trefnego czy co. Jasne, na pewno to niestrawność. Nie ma wątpliwości.

To jest oczywiście amatorka. Prawdziwi zawodowcy nie piją do osiągnięcia trzeźwości, tylko właśnie do chwili, gdy pozbywają się wyrzutów sumienia. *Słuchaj, dziś będę grzeczniutki. Wypiję litr wina, dwie wódki, może wciągnę krechę koki albo i dwie i przed północą będę w domu. Po prostu spokojny wieczór!* Tak piją zawodowcy. Dużo piją najwyraźniej też ludzie robiący reklamy alkoholu. Bo na trzeźwo nikt nie potrafiłby tak kłamać. Podoba mi się na przykład reklama Fernetu. Facet wlewa w siebie kieliszek i mówi: *Nie zmięknię!* A wy się zastanawiacie, od kiedy do Fernetu dodają oprócz tych ziół jeszcze Viagrę.



Przez to, że piją wszyscy, dochodzi oczywiście do różnych nefajnych sytuacji. Na przykład ktoś przestaje pić. Z tym wiąże się mnóstwo problemów. Choćby to, że ludzie, którzy przestali pić, są podstępni. Strasznie podstępni. Najwyraźniej odstawienie alkoholu robi z was podstępną bestię. Bo co robi wasz kumpel, kiedy przestaje pić? Nie mówi wam o tym. Proponujecie mu: *Chodź na piwo*. A on na to: *Jasne, idziemy. O siódmej?* O siódmej wchodzicie do knajpy, siadacie, zaczynacie gadać, przychodzi kelner, rzucacie mu: *Dwa piwa*, a wtedy pojawia się totalna zdrada. Wasz kumpel oświadcza: *Nie, ja nie piję, proszę bezalkoholowe*. A wy patrzycie na niego i myślicie: *Co ty sobie, kurwa, myślisz, debilu? Że będę tu siedział i słuchał cię trzeźwego?* Ale tylko to myślicie. A mówicie: *Hm, ty nie pijesz? To ja też poproszę bezalkoholowe*. Bo nie chcecie, kurwa, wyjść na alkoholika. A w głowie słyszycie tylko: *Ja pierdolę, ja pierdolę, co ja tu teraz będę robić przez dwie godziny?* I macie przy tym tę minę niby pewną siebie i bezproblemową. Po czym następują dwie najgorsze godziny waszego życia. Bo, i wiemy to wszyscy, co my byśmy zrobili bez alkoholu, nie?



8.

Strasznie patrzy się na piłkarzy. Wiecie, ja lubię piłkę nożną. Ale nie cierpię piłkarzy. Jasne, piłkarze odwalają kawał porządnej roboty, na przykład żenią się z tymi wszystkimi fryzjerkami, które w przeciwnym razie skończyłyby w pośredniaku. Zatem są ważni z punktu widzenia ekonomicznego. Ale poza tym? Zobaczcie, tak naprawdę nikt nie lubi piłkarzy, oprócz tych fryzjerek. Nawet ludzie, którzy chodzą na stadion, żeby ich obejrzeć, ich nie lubią. Tak naprawdę chodzą tam tylko po to, żeby ich zbluzgać. I spoko, bo kiedy indziej możemy sobie bezkarnie pokrzyzczeć na kogoś, kto zarabia dużo więcej niż my? Spróbujcie na przykład na swojego szefa podczas narady kierownictwa firmy. *Rusz się, debil, gównie grasz, a twoja matka to kurwa!*

Ale tak naprawdę nie chodzimy na stadion, by zbluzgać piłkarzy za to, że są bogatsi, tylko za to, jakimi są cieniasami. Zobaczcie, kiedyś piłka nożna była grą, w której grały dwie drużyny po jedenastu piłkarzy, a na końcu zawsze wygrywali Niemcy. Dziś zwykły mecz piłkarski wygląda jak piknik – co chwilę tarzają się po trawie przynajmniej trzy osoby. Jasne, cóż mogłoby nam sprawić większą radość niż bogacz wijący się na ziemi z bólu? Tyle że oni tylko udają. I wiecie co? To już jest serio żenada. A jeszcze bardziej żenujące jest to od momentu, gdy wszyscy piłkarze postanowili się wytatuować i zaczęli nosić na głowach takie dziwne rzeczy. No po prostu wyglądać jak z *Mad Max*. Rozumiecie ich?

Oczywiście zabawne jest również to, jak tarzają się po ziemi i trzymają się za inną część ciała, niż powinna ich boleć. Znacze to. Dwaj faceci skaczą do piłki, łokieć uderza w ramię, jeden piłkarz pada, trzymając się za twarz... Robią to cały czas. Zawsze się boję, że tak im już zostanie. Zwichną sobie kostkę i pójda z tym do dentysty. Albo te upadki w polu karnym, na to mam już alergię. Wiecie, jak ja bym to rozwiązał? Zrobiłbym w polu karnym warunki parkowe. Porozrzuciłbym tam psie kupy i od razu sytuacja byłaby klarowna. Symulujesz? Spoko. Wpadasz swoją nażelowaną głową w psie gównu. Niefajnie mieliby bramkarze, ale słuchajcie, wiecie, że piłkarze w Anglii zarabiają około osiemdziesięciu tysięcy funtów tygodniowo? To jakieś czterysta tysięcy złotych. Za jeden lub dwa mecze trwające dziewięćdziesiąt minut. Ja za taką kasę mógłbym stać w psich kupach nawet po kostki i jeszcze machałbym do kibiców... Jasne, niesmaczny żart, wiem. Ale widzieliście trenera reprezentacji Niemiec Joachima Lo''wa na poprzednim EURO? Został kilka razy nagrany podczas... nie wiem, jak to ładnie powiedzieć, po prostu grzebał sobie w jajach. Porządnie. Musi być super, kiedy potem motywuje piłkarzy i ich dotyka. Nie dziwię się, że Niemcy zaszli tak daleko. Ja też brzydziłbym się z nimi grać. Tylko zaskakiwało mnie, że trenerzy rywali podawali Lo''wowi po meczu rękę. Z higienicznego punktu widzenia mogli po prostu wsadzić mu łapę w spodnie i też podrapać go po jajach. *Dzięki, dobry mecz.* Nasi też byli na tym EURO nieźli. Oni dla odmiany brzydzili się piłki. Nie wiem, czy jeszcze to pamiętacie, ale oni serio się jej wtedy brzydzili. To było boskie, jak stali wycofani, najdalej, jak się dało. Tak daleko, że już prawie nie stali we Francji. Prawie już byli w domu. Myślę, że o niczym innym nie marzyli. Bo Europa jest do niczego. My będziemy robić wszystko po swojemu. A o tym całym EURO też swoje wiemy. I wcale go nie chcemy. Następnym razem nie chcemy się tam nawet zakwalifikować.



Ale najzabawniejsza jest nasza liga krajowa. Jeśli nie wiecie, to jest to coś w stylu naszych dzisiejszych średnich miast. Udaje to wielki świat, ale każdy, kto bez pomocy osoby trzeciej potrafi kupić bilet autobusowy, ucieka stamtąd przy pierwszej okazji. Wiedzieliście na przykład, że w naszej lidze sędziował pijany sędzia? Ja nie, przynajmniej nie do czasu, gdy dwóch sędziów zataczało się po boisku, obaj nawaleni jak stodoły. A wiecie, co było najciekawsze? Że nic się nie stało. To znaczy tym sędziom się stało, następnego dnia na pewno mieli okrutnego kaca. Ale nic poza tym. Mecz się normalnie toczył, sędziowie jakoś dobiegli do końca, wszystko w najlepszym porządku. Kumacie? Mecz ekstraklasy może u nas sędziować ktoś, kto jest pijany. A wiecie dlaczego? Bo to nie ma znaczenia. Przecież piłkarze też grają na kacu, a poza tym i tak z góry wiadomo, jaki będzie wynik.

Zresztą to dlatego te pomeczowe wywiady z piłkarzami są tak idiotyczne. Oczywiście byłoby świetnie, gdyby w rozmowach po meczu

mówili prawdę. *Słuchajcie, od wczoraj jeszcze nie wytrzeźwiałem, bo rozwodzi się ze mną fryzjerka, a poza tym powiedzieli nam, że ma być remis...*

Oczywiście w piłce nożnej świetni są też ci ludzie w studiu. Bo jeśli dotychczas nie sądziliście, że piłka nożna to gra dwudziestu dwóch niezbyt mądrych ludzi, to w pełni się przekonacie, że jednak tak właśnie jest. Czterej wkurzeni chłopcy. *No ja myślę, że to było dobre.* Wszystko, co mówią, brzmi strasznie depresyjnie i jednocześnie bardzo banalnie. Z komentarzem tych ludzi futbol jest najbardziej depresyjną grą na świecie. Po prostu patrzycie na nich i zaczynacie rozumieć, że nic na świecie nie ma sensu i że najlepiej byłoby się zabić. A najgenialniejszym wynalazkiem jest ten ich pisak elektroniczny. Czyli urządzenie, za pomocą którego wyjaśnia się nam, dlaczego znów przegraliśmy.

9.

Być może pamiętacie, jak organizatorzy musieli zamknąć wystawę w bibliotece Akademii Nauk. Jeśli nie pamiętacie: po prostu komuś przyszło do głowy, by powiesić w bibliotece obrazki nagich kobiet. A Akademia musiała je ściągnąć z powodu protestów. Ja te protesty popieram. Z biblioteki człowiek powinien wychodzić bogatszy o przeżycia, a nie bogatszy o erekcję. – *Jak szła ci dziś nauka? – Było twardo, ale jakoś sobie z tym poradziłem.*

Niemniej – wystawa oburzyła również feministki, bo podobno uprzedmiotawia kobiece ciało. Twierdziły, że nie powinniśmy widzieć w kobietach tylko piersi. Ale też... coś innego, akurat teraz zapomniałem, co dokładnie. I tu pojawia się problem. Jeśli chodzi o mnie, mógłbym spokojnie gapić się na piersi facetów, nawet próbowałem, ale przyznaję, że to jednak nie to samo.

Oczywiście nie mam nic przeciwko równym szansom dla kobiet. Jestem nowoczesnym mężczyzną. Wiem, jak ciężko mają kobiety. Ale faceci też mają ciężko. Zobaczcie sami. Według niektórych feministek mężczyźni to chodzące maszyny do gwałtów, nieustannie zagrażające płci pięknej. A kiedy akurat nie myślą o gwałtach, walczą o ograniczenie równych szans dla kobiet. I chcą się gapić na ich piersi.

Najlepsze są feministki, które twierdzą: *Gdyby na czele krajów stały kobiety, nie byłoby wojen.* Uwielbiam to... Nie byłoby wojen. Haha, jasne, kobiety są mądre i rozwiązują problemy bez przemocy. Poprzez

kompromis. Są konsensualne. Unikają użycia siły. Ten, kto tak twierdzi, nie musiał nigdy powiedzieć swojej dziewczynie, że przespał się z jej najlepszą przyjaciółką. W ich łóżku. I że ten seks był świetny. Właściwie dziś niełatwo jest być facetem. Czasem czuję się jak neonazista. A bycie neonazistą jest strasznie smutne. Bo zobaczcie sami: nikt nie lubi neonazistów. Z wyjątkiem innych neonazistów. Z kolei oni lubią się czasami aż za bardzo. Kiedy patrzycie na te ich półnagie zdjęcia, na których leżą po sobie na koncertach zespołów neonazistowskich, pojmujecie, że ci chłopcy naprawdę darzą się wielką sympatią. Właściwie według mnie każdy neonazista spędza większość czasu półnagi jak Indianin, żeby pokazać, że tak naprawdę jest prymitywną formą kulturową. Ale poza tym bycie neonazistą jest strasznie smutne. Rano wstajecie i od razu wiecie, że nikt was nie lubi. Smutno hajlucie do siebie przed lustrem. Zawsze, jak otwieracie Internet, widzicie, że gdzieś znów narozrabiali neonaziści i że naprawdę nikt ich nie lubi. Bycie mężczyzną jest prawie takie samo. Wszystko jest waszą winą. Druga wojna światowa? Wina facetów. Zatoniecie Titanica? Wina facetów. Owszem, wszystko jest winą facetów, bo wszystko zrobili faceci. A mimo to strasznie niewdzięczne jest bycie facetem. Bo wciąż trzeba myśleć o równych szansach. Ale jednocześnie wciąż pamiętać, że nie zawsze obowiązują. Gdzie są na przykład równe szanse przy uwalnianiu zakładników, he? Zawsze najpierw uwalnia się kobiety i dzieci. To nie fair. Równe szanse, proszę bardzo, ale kiedy pojawiają się problemy, nikt nie mówi: *Dziś wypuszczamy zakładników według kolejności alfabetycznej, tak będzie najuczciwiej...* Nie, zawsze najpierw kobiety. To nie jest uczciwe. *Słuchaj, załatw jakoś wszystko z tym panem z karabinem, będę ci kibicować z zewnątrz, zobaczymy się wieczorem, jeśli przeżyjesz...* pa



A poza tym strasznie trudno się zorientować, która kobieta jest nowoczesna, a która tradycyjna. Niektóre kobiety są niezależne. Na przykład nie życzą sobie, żeby płacić za nie w restauracjach. Niedawno byłem z pewną kobietą w restauracji i przyszło do płacenia. A to jest prawdziwe pole minowe. Dziewczyna mówi: *Wiesz, ja jestem nowoczesną kobietą*. Kelner przynosi rachunek, więc mówicie: *OK, to płacimy na pół?* A ona: *No, aż tak nowoczesna nie jestem*. No dobrze, w takim razie jak nowoczesna? Gdzie zaczyna się ta nowoczesność? Przed prawem wyborczym? Czy w czasach, kiedy bycie kobietą oznaczało smażenie kotletów i robienie mężowi seksu oralnego?

Mężczyźni i kobiety oczywiście nie są tacy sami. Między nimi jest wiele istotnych różnic. Jedną z mniejszych różnic jest to, że mężczyźni

niczego nie pamiętają. O tym już mówiliśmy. Z tym łączy się jeszcze jedna rzecz. Ponieważ niczego nie pamiętamy, my, mężczyźni, googlujemy swoje byłe partnerki. Po prostu, my, faceci, to robimy. Kobiety tego nie robią, bo one pamiętają wszystko. Googlowanie swoich byłych jest tylko trochę bardziej obciachowe niż googlowanie siebie samego. A przecież googlowanie byłych dziewczyn to strasznie dołująca sprawa. Serio. Dlaczego tak właściwie to robimy? Albo wyglądają strasznie i zastanawiamy się: *Cholera, jak mogłem?*, albo wyglądają świetnie i myślimy: *Cholera, mogłem jeszcze chwilę wytrzymać*. Jedynym plusem googlowania byłych dziewczyn jest to, że możecie popastwić się nad ich chłopakami. *Debil, i jeszcze gruby w dodatku*. Albo: *Hm, sportowiec, na pewno idiota*. Poza tym googlowanie byłych dziewczyn bywa niebezpieczne. Bo Google pamięta, co do niego wpisujecie, i potem wam podpowiada... To strasznie podstępna rzecz. Mówi się na to *intelligentne wyszukiwanie*. Wasza dziewczyna chce przypadkiem znaleźć na waszym komputerze przepis na babkę, a Google najpierw podpowiada jej gołe zdjęcia, a zaraz potem imię waszej byłej dziewczyny. Co w tym jest, do cholery, inteligentnego? I to się serio zdarzyło. Nie, mnie nie. Kumplowi. Chcę powiedzieć, że lepiej googlować porno niż byłe dziewczyny. Ryzyko takie samo, a zabawa zazwyczaj lepsza.

W ogóle to googlowanie to bardzo niebezpieczna sprawa. Wyobraźcie sobie, że umieracie, a w Googlu zostaje cała historia waszych wyszukiwań. Wszystkie te rzeczy, których szukaliście celowo lub przypadkiem. Co powie to o was światu? Jak zmieni to postrzeganie waszej osoby? Spójrzcie na rzeczy, które wyszukiwaliście w zeszłym tygodniu. I wyobraźcie sobie, że znajdą się one w waszym nekrologu. *Umarł Luděk Staněk, był całkiem spoko gościem. Jego hobby było japońskie porno i obskurne kapele z lat*

siedemdziesiątych, ale interesował się też karmą dla ptaków, historią obozów koncentracyjnych i Milošem Zemanem.

Jak już wspomniałem, obecne czasy są bardzo niebezpieczne, nawet jeśli jest się bogatym człowiekiem i teoretycznie nie trzeba się o nic martwić. Elon Musk ma teraz problemy. Prasa zwęszyła, że obserwuje na Twitterze mało kobiet. Serio, nie żartuję. Obserwuje mało kobiet... Kiedyś za obserwowanie kobiet trafiało się za kraty. Dziś musimy je obserwować, żeby nie wyjść na mizogina i seksistę. To absurd. Słuchajcie, Elon Musk to ziomek, który chce latać na Marsa, sprzedaje wypasione auta elektryczne, wymyślił PayPal, baterie słoneczne... Zastanawiam się, czego nowego mógłby się nauczyć od jakiejś baby na Twitterze?

Dziś świat naprawdę oszalał. Jeśli mówicie dziś o kobietach, wygląda to, jakbyście je atakowali. Twierdzi się, że mężczyźni i kobiety są tacy sami i że kobiety powinny dostawać szanse w męskim świecie. Wszystko się zmieniło. Jeśli dziś kobieta postanowi zostać sztangistką, wszystko inne schodzi na dalszy plan. Tworzy się dla niej specjalną kategorię – gdzieś między paraolimpijczykami a młodzieżowcami. Będzie się to reklamować jako wielki krok. Nakręci się z nią reklamę podpasek, w której zostanie przedstawiona jako superman z błękitną krwią. A jeśli coś wygra, Hollywood nakręci o niej film. Jeśli postanowiłaby zostać sztangistką dwieście lat temu, zostawilibyście ją na polu pięć godzin dłużej i przeszłoby jej. Sposób, w jaki społeczeństwo traktuje kobiety, uległ wielkiej zmianie. Ale dla nich to wciąż za mało.

Tyle że po prostu kobiety nie są takie jak mężczyźni. Bo kobiety nie są gotowe ryzykować życiem z powodu byle bzdury tak jak mężczyźni. W sumie mężczyźni przez całe życie próbują się jakoś nieostrożnie zabić, a kobiety starają się im w tym przeszkodzić. Już od małego. Spójrzcie, jak to wygląda w piaskownicy. Kobiety mówią synom: *Nie idź tam, ostrożnie,*

nie wchodzi na to. Tak, w piaskownicach kobiety dzielą się na zaklinaczki i wiedźmy. Zaklinaczki mówią *nie spadnij tam*, a wiedźmy *spadniesz tam*.

Tym, co kobiety potrafią lepiej niż mężczyźni, jest pisanie kiepskich książek. Popatrzcie, facet nigdy by tak nie potrafił. Wziąć siedemdziesiąt tysięcy słów, ustawić je obok siebie w przypadkowej kolejności, nadać temu jakiś idiotyczny tytuł typu *Chmurki na powszednim niebie* lub *Krople myśli* i sprzedawać to z powodzeniem za cztery dychy. Faceci, nie dacie rady, pogódźcie się z tym. Nigdy nie zostaniecie gwiazdą literatury kobiecej. Choć niektórym piosenkarzom niewiele do tego brakuje!

Chyba rozumiecie, że świat bez mężczyzn wyglądałby zupełnie inaczej. Pomyślcie, co byście jedli. Wyobraźcie sobie faceta, który jako pierwszy odkrył, że można zjeść jajko. A to musiał być facet. Bo kto inny niż facet może wpaść na to, że coś, co wypadło jakiemuś zwierzęciu z tyłka czy z czego, można ugotować i zjeść. Rozumiecie, że to nie jest dzieło przypadku? Wiedziecie, co człowiek, który odkrył, że można zjeść jajko, musiał wziąć do ust, zanim z tyłka jakiegoś zwierzęcia wypadło coś jadalnego? Wiedziecie, przez co ten bohater musiał przejść, żebyście mogli zjeść na śniadanie jajecznicę? Pomyślcie o tym, kiedy następnym razem będziecie jeść jajka – ten pomnik męskiego pędu do robienia całkowitych bzdur, które może potem do czegoś się przydadzą.

Albo pomyślcie o człowieku, który jako pierwszy wpadł na to, że można jeść ser pleśniowy. Wiedziecie, ile serów, również spleśniałych, musiał zjeść ten człowiek, zanim odkrył, że niektóre są spoko? Może pół życia spędził w toalecie, wymiotując i miotając się w straszliwych skurczach, zanim odkrył te właściwe. I to tylko dlatego, że dzielnie ignorował żonę powtarzającą ciągle: *Nie bierz tego do buzi, nie bierz tego do buzi!* Czyli ważnym warunkiem rozwoju ludzkości jest oczywiście niesłuchanie tego, co mówi wam kobieta. Telefony pod tym względem nie okazały się zbyt

pomocne. Na początku tego tygodnia leciałem samolotem... Był to poranny lot. O ósmej rano. Przede mną stał jakiś facet. I ten facet, miał praski akcent, odbiera o ósmej rano telefon i mówi: *Cześć, tak tak, jestem już na lotnisku. No, już po check-inie, czekam przy gejcie, tak, dojechałem na lotnisko bez problemu. Jasne, odezwę się, jak dolecę do Nicei.* Była ósma rano! Ten facet najwyraźniej wyjechał z domu, który, sądząc po akcencie, znajdował się kilka kilometrów od lotniska. A jego żona już dzwoni i pyta, gdzie jest. Jakies dwie godziny po tym, jak wstał z łóżka! Wsiądzie, będzie dwie godziny lecieć, a potem znów zadzwoni. I tak w kółko. I w kółko, i w kółko. I w kółko. Przez resztę życia. Dopóki nie umrze. I nie, rozwód mu nie pomoże. Bo potem ożeni się z młodszą kobietą, o której będzie myśleć, że ona nie będzie go o nic pytać, ale ten stan potrwa tylko do ślubu. Bo tak robią wszystkie kobiety. Nie chodzi o to, że was śledzą. Po prostu chcą rozmawiać. Czyli nie: jeśli zamontujecie sobie na głowie kamerę i będziecie waszej dziewczynie lub żonie streamować obraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zawsze, kiedy akurat nie jesteście razem, w niczym wam to nie pomoże. Ona i tak będzie dzwonić do was co dwie godziny... *Cześć, nie, nie, widzę, co robisz, tylko chciałam wiedzieć... o czym przy tym myślisz?*

Tak, kobiety po prostu tak mają. Muszą mówić. Ciągłe. A to spory problem, bo mężczyźni potrzebują spokoju, by myśleć, czy da się zjeść coś, co wypada jakiemuś zwierzęciu z tyłka. Dlatego małżeństwa nie działają. Oczywiście niektórzy twierdzą, że ludzie w związkach żyją dłużej niż ludzie bez partnerów. No jasne. W ogrodach zoologicznych zwierzęta też żyją dłużej niż na wolności.



10.

Pamiętacie, jak wszyscy śmiali się z tej okropnej książki kucharskiej? Wszystkich wkurzało, że sprzedano się jej trzysta tysięcy egzemplarzy i że uczy się w niej gotować ohydne dania z ohydnych rzeczy. Według mnie ci krytycy to snoby i hipokryci. Wszyscy mówią o tym, że ziemia jest w coraz gorszym stanie i że trzeba myśleć o przyrodzie, a kiedy ktoś nareszcie wymyślił świetny sposób na utylizację śmieci (tak, że ludzie je dobrowolnie jedzą), to nagle kręci się na to nosem.

Wiecie, jest tak dlatego, że jedzenie stało się dziś dla ludzi religią. Ludzie mówią o jedzeniu, piszą, fotografują je. To jest najgorsze. Wchodzicie na Facebook, a tam codziennie dwadzieścia zdjęć jedzenia. Boże, o czym ci ludzie myślą, kiedy wrzucają tam te fotki? *Hmmm, muszę to sfotografować, bo mam wśród przyjaciół osiemdziesięcioro dzieci z Afryki środkowej, które nigdy nie widziały steka z ziemniakami, na pewno bardzo je to zainteresuje...* Nie, to są naprawdę straszne czasy. Na przykład ci ludzie, którzy twierdzą o sobie, że są food-snobami. Tych uwielbiam najbardziej. Food-snoby. Albo mówią też o sobie *foodie*. To po angielsku. W dokładnym tłumaczeniu znaczy to podobno *spasiony i żarłoczny kretyn*. Ale nie wiem, może się mylę. Tak czy inaczej, powiedzcie mi, od kiedy bycie *żarłocznym kretynem* jest czymś, z czego ludzie są dumni?

Miejsce, w którym ci ludzie się spotykają i kumulują, nazywa się targi regionalne. Pewnie myślicie, że handluje się tam lokalnymi produktami... Nie. Targi regionalne to przede wszystkim miejsce pełne magii. Ta magia

przejawia się tak, że jesteście skłonni zapłacić tam majątek za całkowicie zwyczajne rzeczy. Z targów regionalnych zawsze wracacie do domu spłukani, ale macie wrażenie, że wszystkie pieniądze oddaliście dobrym ludziom, żyjącym zgodnie z naturą. I dzięki temu będziecie bardzo zdrowi. I też zgodni z naturą... Bo nie ma nic bardziej zgodnego z naturą niż słoiczek dżemu za pięćdziesiąt złotych. A właściwie jest. Słoiczek dżemu za pięćdziesiąt trzy złote, który kupicie w przyszłym tygodniu.



Ale nie myślcie sobie, ja też chodzę na te targi. Jest tam fajnie, ludzie się nie stresują i wszyscy o coś pytają. Ciągle. To moja ulubiona część zakupów na targach regionalnych. Musicie ciągle pytać i mieć podejrzliwą minę. Bo wszyscy klienci targów regionalnych mają permanentną paranoję. Ale jest to taka pozytywna paranoja. *A te jabłka na pewno krajowe? Na pewno?* – pyta pani. A kiedy sprzedawca odpowiada *Da, da, krajowe*, pani się uspokaja i kupuje dwa kilo. Jak mówię: magia.

Kolejny trik to Włochy. Wszystko, co włoskie, świetnie się sprzedaje. Lubię to stoisko na targach regionalnych, które nazywa się Formagerria. Prawdziwe włoskie sery z Czech. Najwyraźniej mamy tu fabryki pełne

nielegalnych pracowników z Włoch, którzy specjalnie dla nas robią prawdziwe włoskie sery.

Ale moje ulubione stoisko na tych targach to zawsze rzeźnik. Oczywiście, proszę pana, to świnka z wolnego chowu. Miała duży wybieg... Oczywiście, bo nikt nie idzie na targi regionalne, by kupić zwykłą świnię. Jakąś smutną świnię, która była wdzięczna za strzał w głowę, bo dzięki niemu nie musiała już siedzieć na innej świni. Nie, nie. Ja jestem porządna klasa średnia. Nie chcę jeść jakichś luzerów. Chcę spałaszować zadowoloną świnkę, która mieszkała w piętrowym chlewiku, jadła tylko włoskie pomyje, miała prenumeratę jakiejś snobistycznej gazety intelektualnej i wszystkie prosiątka w przedszkolu Montessori. A zanim oberwała w głowę, otrzymała masaż aromatyczny. Po prostu świnia, która była coś warta. Taka sama świnia jak ja!

Ale szczytem food-snobizmu jest całkowita rezygnacja z jedzenia. Uwielbiam to. Bo najbardziej zgodne z naturą jest odmówienie przyjmowania posiłków. Po prostu udawanie przed naturą, że nas tu nie ma. Odżywianie się powietrzem. Zostanie breatharianinem. Odżywiacie się praną. Czyli tym, co my, laicy, nazywamy powietrzem. Dopiero wtedy jesteście prawdziwym *foodie*... Hmmmm, jesienny smog stolicy... Mniam. Poproszę dziesięć deko. Może nawet przyjdę po dokładkę. Tylko szkoda, że nie można tego sfotografować. To znaczy można, ale wygląda to jak zdjęcie drzewa. Albo grubej kobiety wracającej z zakupów. Może ludzie na Facebooku doceniliby, że jesteście artystą. Ale nie, przepraszam, wy jesteście *foodie*. Absolutną gwiazdą wśród prana foodie jest niejaki Henri Monfort. Facet, który twierdzi, że od czternastu lat nic nie jadł. To musi być strasznie męczące. Wyobrażacie sobie to burczenie w brzuchu? Pewnie brzmi jak młot pneumatyczny. A teraz wyobraźcie sobie, że powiecie przy takim człowieku na przykład słowo *jabłecznik*, a on po czternastu latach

przypomni sobie, że jest głodny... wrrrrr. Może lepiej by było, gdyby bekał. Ale ciekawe, że ten Monfort, który od czternastu lat nie je, mówił gdzieś, że to powietrze, tę praną, popija wodą lub kawą... Jak myślicie, ile kaw może wypić po takim obiedzie, kiedy opchał się powietrzem? Trzy, cztery?

Ale od jedzenia powietrza się nie tyje. Ja jestem gruby, a bycie grubym ma sporo minusów. Psują się wam stawy, ludzie patrzą na was z paniką, kiedy zbliżacie się do nich w samolocie uliczką między siedzeniami. *O, nie, Boże, grubas, niech on tylko nie siada obok mnie.* Z największą paniką patrzę na grubasów oczywiście ja, bo gruby człowiek najbardziej przeraża właśnie innego grubego człowieka. Dwa grubasy obok siebie? To już jest problem. Ale niepodważalnym plusem bycia grubym jest to, że dostaje się za darmo mnóstwo rad. Ludzie wciąż coś wam doradzają. *A próbowałeś nie jeść pieczywa? Na twoim miejscu dzieliłabym posiłki. Odstaw piwo i od razu to zrzucisz.* To moje ulubione. Albo te alternatywne, w stylu *słuchaj własnego ciała*. No dobra, hmmm, moje ciało mówi mi o trzeciej w nocy, żebym zajrzał do lodówki, bo na pewno znajdę coś dobrego.

Skoro już mowa o alternatywnych ludziach. Uwielbiam ludzi chodzących w tych batikowanych ciuchach i mówiących mi, że powinienem mniej jeść i więcej chodzić. Że powinniśmy wrócić do natury. I tak dalej. I wszyscy powinniśmy nosić spodnie marki Rejoice. I palić drewnem. I hodować krowy, i sprzedawać auto. Zawsze, kiedy ktoś mówi coś takiego, mam wrażenie, że przede mną stoi neandertalec. *Hu hu hu, auta śmierdzą, chcę wracać do jaskini.*

Naprawdę nie rozumiem, co ludzie mają z tą naturą. Nie da się żyć w zgodzie z naturą. Natura chce nas zabić. Serio. Natura jest na nas totalnie wkurwiona. Hipisi mówią: *Natura się mną zaopiekuje*. Natura jest mądra, a zwierzątka to wasi przyjaciele, a nie pożywienie. Popatrzcie na

Maugliego. Albo Tarzana. Dobra, OK, przetrwali w dżungli. Brawo. A co powiedzieli nam potem o swoim pobycie? *HUHUHUHUHUHH*. Tylko tyle się od nich dowiedzieliśmy. Powiedzieli nam to, a potem poszli szukać pierwszego wilczego sutka, do którego dałoby się przyssać. Ich historie musiał opisać ktoś, kto jadł mięso, a największą rozrywkę znajdował w strzelaniu do czegoś czworonogiego. Bo to są mądry ludzie. Maugli nie jest mądry. Nic, co żyje na łonie natury, nie jest mądre. Bo w przeciwnym razie nie żyłoby w lesie, tylko zbudowałoby sobie normalny dom. Tak to już jest, zastanówcie się. Z jednej strony telewizja i ogrzewanie elektryczne, a z drugiej wilczy cycek. A jeśli marzycie o wilczym cycku, to według mnie jesteście nieźle odjechani.



Ci ludzie, którzy uwielbiają przyrodę, jednocześnie ciągle się czegoś boją. Produkcji przemysłowej, pestycydów, rozorywania miedzy, erozji, boją się wyginięcia bobrów, namnożenia się szkodników, że będzie za dużo korników, za mało korników, że wyginą skowronki. Dużo emulgatorów, mało witamin. Dużo szczepień, dużo *chemtrails*, dużo raka, mało miłości i zrozumienia... blablablabla... Wciąż żyją w strachu. Bo jeśli jesteście

człowiekiem przyrody, musicie się ciągle czegoś bać. A przecież jedyne, czego powinniście się tak naprawdę bać, to ta zaszraona przyroda. Ona i tak w końcu was dorwie. Ona albo jakiś myśliwy.

To jest paradoks. Ludzie uciekają z miasta, bo jest w nim duża przestępczość. I żyje się tam w strasznym stresie. A potem zabija ich w lesie jakiś pijany myśliwy, który ma trzy promile we krwi, bo na wsi nie ma do roboty nic oprócz picia i strzelania w lesie do wszystkiego, co się rusza.

Oczywiście ci alternatywni ludzie utwierdzają się wzajemnie w swoich przekonaniach. Utwierdzają się w światopoglądzie, że trzeba wciąż bać się tego, co się stanie, jeśli nie uratują przyrody. A teraz nawet bardziej. Już nie ratują przyrody, ratują już całą planetę. *Jezus Maria, jest globalne ocieplenie, natychmiast wszyscy zrezygnujmy z aut i kupmy sobie rowery i psa.* Tak, nasze jeżdżenie na rowerach uratuje planetę. Obniżymy emisję jakiegoś gazu, którego nazwa to dwie litery i jedna cyfra i o którym nigdy nie słyszeliśmy, i w ten sposób ocalimy planetę. Jeśli to takie proste, to dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej? Czy do holokaustu nie doszło przypadkiem tylko dlatego, że w międzywojennych Niemczech było za mało ścieżek rowerowych, a ludzie mieli za mało zwierząt domowych?

Tak, musimy mieć po prostu więcej rowerów i bardziej dbać o przyrodę wokół nas i wszystko znów będzie świetnie. A przy okazji: wiecie, gdzie jest najwięcej rowerów? W Chinach. A wiecie, gdzie jest największe zanieczyszczenie? W Chinach. A wiecie, gdzie zjada się najwięcej psów? W Chinach. Myślę, że jeśli w Chinach wydają takie same intelektualne gazety jak u nas, to ich redaktorzy mają w głowie niezły mętlik, jak to wszystko wyjaśnić.

Alternatywni ludzie po prostu myślą, że wystarczy włożyć spodnie marki Rejoice i wszystko będzie dobrze. Żyjmy zgodnie z przyrodą. Tak naprawdę oni po prostu nie lubią pozostałych ludzi, tak samo jak ja, wy i wszyscy pozostali. Tyle że my, normalni ludzie, pomimo iż nie lubimy pozostałych, i tak lubimy ludzkość. A oni nie. Oni są po drugiej stronie. Po stronie przyrody.

To ich plan. Widzicie hipstera w spodniach Rejoice, czytającego intelektualną gazetę. Myślicie: *No, czyta taką gazetę, to nie może być zły człowiek, nie?* Ale to jest właśnie plan tych ludzi natury. Maskowanie się. Wyglądanie na dobrotliwego i jednocześnie prowadzenie wojny partyzanckiej. *Musicie częściej jeździć na rowerze!* Ale cholera, na zewnątrz jest pięć centymetrów śniegu. *Nie szkodzi, trzeba ratować planetę!!!* Owszem, w ich wersji oznacza to, że na tym rowerze zdechniecie. Rozwalicie sobie głowę i umrzecie. Tak wygląda ich wersja zbawiania planety. Że nie będzie na niej was. Na tym polega ten ich plan.

11.

Boże Narodzenie jest strasznie wymagające. Nie chodzi tylko o te wszystkie zakupy i tak dalej... Pomyślcie, ile różnych form tych świąt przeżyliśmy my, trzydziestolatkowie. Najpierw przychodził do nas Gwiazdor – straszna świnia, zawsze tylko dzwonił dzwoneczkiem i zaraz znikał, nigdy nie widzieliśmy, jak wygląda. Potem Dziadek Mróz, typowy ruski moczymorda, którego przez chwilę ta fucha bawiła, ale potem poszedł w diabły. Potem znów Gwiazdor, a teraz Santa Claus. Wielkie, czerwone, spasionie prosię. To dość niepraktyczne cechy dla kogoś, kto w Ameryce normalnie wchodzi przez komin. Dzieci, nie będzie prezentów, bo Santa zaklinał się w kominie w Pensylwanii.

Oczywiście my znamy Santę tylko z reklam. Wiemy, że mieszka w centrum handlowym i w reklamie Coca-Coli. Znacie te reklamy... *Coraz bliżej święta, coraz bliżej święta...* Są świetne. Szczególnie gdy po raz pierwszy słyszycie je pod koniec października. Ja uważam, że te reklamy są niebezpieczne. I powinno się ich zakazać. Bo zobaczcie, co w nich pokazują. Facet z białą brodą i plecakiem pełnym Bóg wie czego przyjeżdża tirem na targ świąteczny. A gdzieś w Niemczech Ahmed mówi do Abdula... *Słuchaj, habibi, on wygląda tak samo jak ty...* A Ahmed na to: *Hmmm, racja, ale w odróżnieniu ode mnie potrafi kierować tirem. Ale teraz przyszło mi do głowy, że to byłaby dobra przykrywka ataku terrorystycznego.*

Śmiesz mi to, że prezenty na Boże Narodzenie dostają wszyscy, tylko nie jubilat. Spróbujcie to wyjaśnić małemu dziecku. Albo wyobraźcie sobie, że zaglądacie pod choinkę jako pierwsi, myślicie, że wszystkich przechytrzyliście, a tam jakaś mała postać syczy: *To moje urodziny, wszystkie te prezenty należą do mnie, wszyyyystkie.*

Już lepiej od razu powiedzieć dzieciom, że żaden Gwiazdor nie istnieje. Unikniecie dzięki temu wielu problemów. Zresztą całe te święta są takie trochę idiotyczne. Spójrzcie na te zwyczaje. Na przykład ścięcie drzewka i przyniesienie go do domu. Nie wiem, jak dokładnie powstał ten zwyczaj. Ja też tak robiłem. Idziecie całkowicie nawaleni, chwytacie coś, urywacie i targacie to do domu. Mnie się zdarzyło przynieść znak drogowy, kawałek budki telefonicznej i pacholek. Podejrzewam, że kiedyś ktoś w podobnym stanie przytargał do domu choinkę z ogrodu sąsiada. I od tego się to wszystko zaczęło.

12.

Jako naród uwielbiamy zwierzęta. Wszyscy mają tu psa. Według mnie to choroba. I nie jest to normalne. Psy są niebezpieczne. I nie mam tu na myśli pitbulla, który potrafiłby odgryźć dziecku głowę, tylko te małe wypierdki, te łydkowce. A już w ogóle nie pojmuję tego, że ludzie potrafią poprzez psy nawiązywać znajomości. Kiedyś jedno takie bydlę mnie ugryzło. Lekarz powiedział, że wygląda to jak dźgnięcie nożem. Zatem pies to taka sama broń jak nóż... No, spróbujcie pospacerować sobie wieczorem po parku z nożem. Ale jeśli zamiast tego weźmiecie ze sobą równie niebezpiecznego psa, ludzie od razu zapragną z wami rozmawiać. Ale nigdy nie podejdzie do was obca kobieta i nie powie: *O, jaki piękny nóż, mogę pogłaskać?*

Najbardziej śmieszy mnie to, że psa mają tu naprawdę wszyscy. Łącznie ze starymi ludźmi czy na przykład narkomanami... Jasne, miłośnicy psów powiedzą zaraz, że dla tych ludzi kontakt ze zwierzęciem ma pozytywny wpływ na psychikę, żeby ci ludzie nie byli sami i tak dalej... Cholera, narkomani nie są sami. Mają heroinę. Heroina ich lubi, a oni lubią heroinę. Po co im jeszcze pitbull? Kiedy mieszkalem na Winohradach, niedaleko mojego domu znajdowało się mieszkanie ćpunów. Można to było poznać po tym, że czasem spotykało się grupkę ludzi, z których kilkoro próbuje bardzo, ale to bardzo dyskretnie wbić sobie o wpół do pierwszej po południu strzykawkę w żyłę po wewnętrznej stronie uda pośrodku ruchliwego chodnika. I połowa z nich miała psa. Zazwyczaj pitbulla. A ten

pies niestety nie jest na haju. To niedobrze, bo zazwyczaj próbuje was ugryźć, kiedy jego pan akurat próbuje znaleźć tę żyłę...

Ale oczywiście istnieją też łagodniejsze formy. Na przykład psy palą trawę. Ludzie palący trawę zazwyczaj zapominają, że mają jakiegoś psa. I to kilka razy dziennie. Idziecie z dzieckiem, naprzeciwko biegnie pies bez smyczy, a daleko za nim jakaś postać z dreadami i słuchawkami, w których dudni hip-hop, drum'n'bass lub techno, czy czego tam ci ludzie słuchają. Wy robicie się trochę nerwowi, bo boicie się psów. A ta podredowana głowa mówi: *Niech pan się nie boi, ten pies jest zupełnie spokojny*. I właśnie w tej samej chwili pies się na was rzuca. A dreadowa głowa kontynuuje: *A nie, moment, to ten poprzedni był spokojny, ten spokojny nie jest...*



Zresztą dzieci i psy to temat na osobny rozdział. Mawia się, że dzieciom powinno się kupować psa, żeby nauczyły się być lepszymi ludźmi i przyzwyczyły się do opieki nad kimś. Bzdura. Dzieci nie potrafią się nikim opiekować. A już na pewno nie psami. Kiedy widzicie, jak dziecko wyprowadza psa na spacer, w rzeczywistości to pies wyprowadza na spacer dziecko. Serio. Pomyślcie, psy są mądre. Psa da się wyćwiczyć. Dziecka

nie. Jeśli myślicie, że jest inaczej, to dlaczego ślepców prowadzą psy, a nie dzieci? Bo dzieciom nie można wierzyć. To gnojki, które kradną wam pieniądze z portfela.

Ale to nie znaczy, że zamiast dzieci powinniście kupować sobie psy. Na przykład niedawno zaglądałem na Tindera... to taka aplikacja do poznawania innych osób. Już była o niej mowa. Po prostu fotka, patrzycie na nią, a jeśli człowiek na zdjęciu się wam podoba, przesuwacie go w prawo. Jeśli nie podoba, to w lewo. Co druga dziewczyna jest tam z psem. Ja rozumiem, że faceci fotografują się tam z psem, czasami. Coś w stylu... *Jestem wrażliwą duszą, lubię zwierzątka... mam wielką nadzieję, że na tym zdjęciu nie widać, że jest wypchane...* Facet, który fotografuje się z psem, żeby poznać jakąś kobietę, ma swoje powody. Jeśli robi sobie zdjęcie z dużym psem, chce pokazać, że jest podróżnikiem, miłośnikiem przygód, właśnie wrócił z Tatr i wyrusza na Alaskę, a pies to jego najlepszy przyjaciel. I jedyny, więc nie będzie chodzić do knajpy. Facet z małym psem chce pokazać, że ma dobre serce i jest wrażliwy. Zakłada, że dzięki temu będzie mógł przeskoczyć wszystkie te romantyczne gadki. Jeśli więc traficie na Tinderze na zdjęcie typu z jamnikiem z taką słodziutką minką, ta mina oznacza: *mój pancio chciałby cię przelecieć.*



U kobiet jest to bardziej skomplikowane. Kiedy przeglądałem Tindera, nastawiłem najszerszy zakres wiekowy, bo koniec końców wyglądam tak, jak wyglądam. Co trzecia kobieta miała zdjęcie z psem. Boże, dlaczego? Co one mają z tymi psami? Ale przede wszystkim: kogo, do cholery, interesuje pies? Zobaczcie, Tinder to zwykła aplikacja randkowa. Chodzi w niej o twarz. Nie ma tam rubryk typu hobby, ulubione danie, chciałabym coś tam, uwielbiam wycieczki za miasto itd. Nie, Tinder to aplikacja dla napalonych neandertalców. Widzicie twarz, a w głowie huczy wam: *huhu, seks, huhu* albo *eeee, ohydne, uciekać*. Owszem, to przerażające, by w XXI wieku zawierać znajomości w taki sposób, ale to nie moja wina, ja tego nie wymyśliłem. Po prostu tak już jest. Takie są reguły. Tinder to po prostu aplikacja do pieprzenia. Zatem... dlaczego większość kobiet oferuje mi tam do bzyknięcia swojego psa? Chcę przez to powiedzieć, że to nie jest strona *Zabierz mnie do domu*. To znaczy jest, ale tylko dla ludzi...

Cholera, gdybym chciał uprawiać seks z dorosłym labradorem, poszedłbym do schroniska. I wziąłbym psa ze schroniska. Na jedną noc.

A potem bym go tam oddał. Przedtem bym mu jeszcze obiecał, że na pewno zadzwonię. (Nie, nie przywidziało się wam, właśnie przeczytaliście żart o zoofilii).

Wiecie, dla ludzi takich jak ja Tinder jest prawdziwym zbawieniem. Bo ja nie cierpię poważnych związków. Ludzie czasem mnie pytają, czy przeraża mnie bycie z kimś. Nie, bynajmniej, ale przerażają mnie wspólne zakupy w Ikei. Widzieliście kiedyś ludzi robiących zakupy w Ikei? Przyjrzyjcie się im. Normalnie zakupy wyglądają następująco. Przychodzicie, kupujecie, płacicie, wracacie do domu. Normalka. Ale w Ikei to tak nie działa. Zakupy z partnerką w Ikei są jak karuzela strachu. Przejażdżka po żółtym kole strachu, strasznym zamku z pokoju dziennego do kuchni, które nigdy nie będą wyglądać tak jak u was w domu. Ale wasza dziewczyna i tak je chce. Rozejrzyjcie się wokół, jeśli kiedyś tam będziecie. Zazwyczaj z przodu idzie kobieta, podziwia, patrzy i planuje. A za nią człapie facet pragnący się zabić. Gdyby Ikea rozstawiła co pięćdziesiąt metrów stację, w której można by popełnić bezbolesne samobójstwo, populacja mężczyzn spadłaby o połowę. – *Chcesz ten niebieski dywan czy czerwony?* – *Chcę się zabić!!!* Wielu mężczyzn rozwiązuje problem w ten sposób, że celowo się w Ikei gubi. Według mnie próbują zniknąć, chowają się tam w łóżkach pod kołdrą, a w nocy wychodzą i żyją tam. Sami. Bez kobiet. Gadają o piłce nożnej i nikt nie zmusza ich do kupowania tych ohydnych brązowych szafek nocnych... Nie mówcie, że nigdy nie przyszło wam do głowy, jak fajne byłoby takie życie...



13.

Wszyscy teraz szaleją na punkcie Trumpa. Kiedy zaglądam na Facebook, mam wrażenie, że nadchodzi koniec świata. I to świetnie. Bo kiedy wiecie, że nadchodzi koniec świata, możecie wreszcie zrobić to, co zawsze chcieliście zrobić. No bo będzie koniec świata, więc nie ma się nad czym zastanawiać. Nie ma na co czekać. Hura! Będzie koniec świata.

Ale na koniec świata dobrze jest być przygotowanym. Nie ma większego obciachu niż przegapienie końca świata. Nie zauważycie, że obok was przejeżdża siedmiu jeźdźców apokalipsy, a tu nagle *ziuuiu* i po wszystkim. A koniec świata to nie to samo co superpełnia, nie da się poczekać trzy lata na następny, nie?

Nie wiem, co planujecie zrobić przed końcem świata. Mam na myśli takie sprawy jak poważna rozmowa z rodzicami i powiedzenie im, że ich kochacie. Posadzenie drzewa. Romantyczny urlop z żoną. Złożenie wypowiedzenia w pracy i zrobienie czegoś szlachetnego. Wyjazd nad Niagarę. A jeśli nie macie jeszcze nic wymyślonego, powinniście natychmiast coś wymyślić, bo według mojego Facebooka to się naprawdę zbliża. Pomyślcie o tym. I spróbujcie wydumać coś szlachetnego. Coś, co pogodziłoby was z życiem. Coś, co uczyniłoby z was przed śmiercią człowieka, który nie żył na darmo. Ja już to mam, to coś, dzięki czemu wiedziałbym, że nie żyłem na darmo. Coś, o czym wiem, że jest niemal nieosiągalne, ale to nie znaczy, że nie warto próbować. Każdego dnia przez

resztę życia. Seks z bliźniaczkami. Nie znacie przypadkiem jakichś bliźniaczek?

Poważnie. Będzie koniec świata. A ja nie chcę umrzeć jako człowiek, który nie uprawiał seksu z bliźniaczkami. Bo wszyscy powinniśmy mieć jakiś sen. I nie powinniśmy z niego rezygnować. Chyba że akurat jedziemy po autostradzie z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wtedy unikajcie snu. Ale poza tym ludzie powinni realizować swoje marzenia. Bo wiecie, co piszą w tych takich książeczkach. Wystarczy bardzo chcieć, a wszechświat wam to da. Tylko musicie o tym myśleć bardzo intensywnie. Choć muszę przyznać, że ja myślę o tych bliźniaczkach bardzo intensywnie i wciąż nic. Próbowalem z włączonym pornhubem, z wyłączonym pornhubem... nic. Potem mówili, żeby to, o czym się marzy, powiedzieć na głos. Nie róbcie tego. To podstęp. Szczególnie jeśli waszym snem jest seks z bliźniaczkami. A już na pewno nie mówcie o tym, kiedy ktoś na rozmowie o pracę spyta was na przykład, gdzie widzicie siebie za pięć lat lub co chcielibyście w życiu osiągnąć. Albo kiedy wasza dziewczyna spyta was: *Kochanie, o czym marzysz tak najbardziej, ale naprawdę najbardziej na świecie?*





A jeśli myślicie, że seks z bliźniaczkami to przeginka... W żadnym razie. A nawet jeśli – no to co? Istnieją rzeczy, które jeszcze jakiś czas temu były przegięciem, a dziś są zupełnie normalne. Na przykład *dickpics*. Znacie *dickpics*? Wielki fenomen internetowy. Polega na tym, że faceci wysyłają laskom zdjęcia swoich penisów. Może niektórzy z was to znają, ale nie chcą się przyznać. Rozumiem was. Faceci się do tego nie przyznają, a kobiet pytać nie zamierzam, bo jeśli taką fotkę wysłał wam ktoś, z kim tu dziś jesteście, to wszystko się wyda. A jeśli ktoś inny, to też się wyda. Tak czy inaczej, dziś faceci wysyłają kobietom wyznanie miłości w formie zdjęcia swojego penisa. Nie twarzy, nie auta, nie psa, nie mieszkania. Penisa.

Wciąż się zastanawiam, skąd się to wzięło. Przed erą komórek tego nie było, nie? Żeby ktoś pokazywał swojego fiuta. Lub robił mu zdjęcie. Bo gdzie by je wywołał? W zakładzie fotograficznym? Albo żeby faceci pokazywali fiuta tak po prostu. Szedł facet ulicą, zobaczył kobietę, spodobała mu się, więc wyciągał penisa? No dobra, może nie od razu na

ulicy, może poczekali, aż lepiej się poznają, gdzieś w barze. – *Słuchaj, bardzo mi się podobasz, a teraz, skoro już dałaś mi swój numer telefonu, patrz... Kuku! – Co to jest? – Mój penis.*

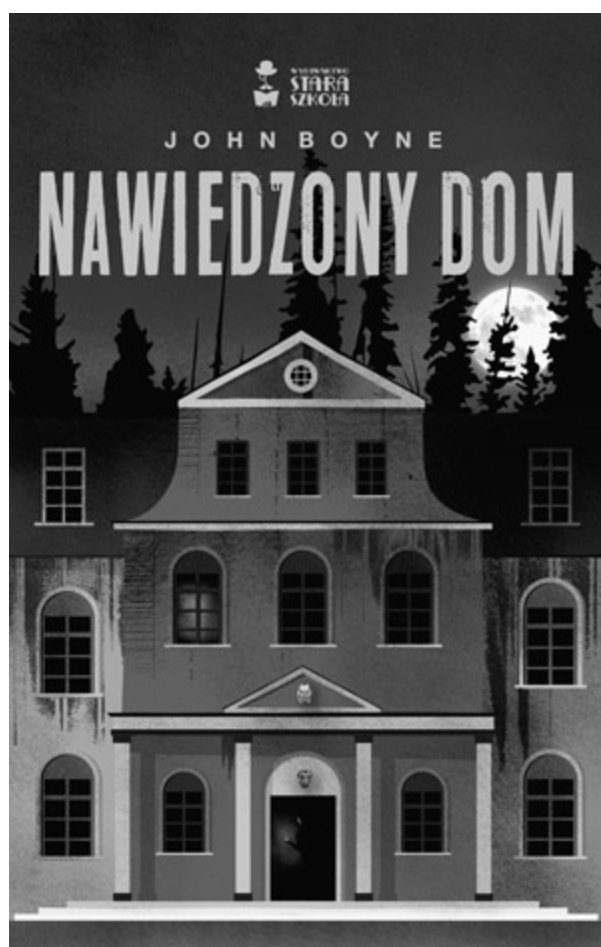
Nie umiem zrozumieć, dlaczego faceci to robią. Dlaczego fotografują akurat tę część ciała? Jedna z teorii brzmi, że wysyłają takie zdjęcia, bo liczą na to, że oni też coś dostaną. Jakąś nagą część kobiecego ciała. To jest jak giełda znaczków pocztowych. A ja wam od razu mówię, drogie damy, nie nabierajcie się na to. To najgorszy interes na świecie. Wymienicie zdjęcie czegoś, co facetów strasznie podnieca, na zdjęcie czegoś dziwnego, brzydkiego, a poza tym w stanie, w którym to coś znajduje się zaledwie kilkadziesiąt minut miesięcznie. To tak, jakby wymienić zdjęcie Karela Gotta z autografem na zdjęcie naszego prezydenta z autografem. To pierwsze ma wartość dla wszystkich, a to drugie tylko dla zboczeńców.

Wróćmy do tematu. Dlaczego facetom przyszło do głowy fotografowanie penisów? Dlaczego myślą, że ta część ich ciała interesuje kobiety bardziej niż inne części? *Cześć, jestem Franek, twarz mam obsypaną pryszczami, nóg nie mam w ogóle, ale tak wygląda mój kutas.* Dlaczego faceci nie fotografują czegoś innego? Numer karty kredytowej też zrobiłby wrażenie, a przynajmniej tak uważam. A poza tym penisa potrafi sobie sfotografować nawet szympan. A poza tym jest to prawdopodobnie pierwsza rzecz, którą by zrobił, gdyby dostał smartfon. Sfotografowałby swojego penisa.

Przecież każdy facet ma penisa, to nic wyjątkowego. Jak myślicie, co mówicie kobiecie w ten sposób? OK, mam penisa, potrafię go naprężyć. No i? Z penisem jest jak z autem. Ilu z was ma auto? Ha! A ilu z was potrafi naprawdę porządnie kierować? A penis to coś w rodzaju auta. Jasne, ma go każdy facet, ale ilu z nas potrafi skorzystać z niego w taki sposób, żeby żona lub dziewczyna nie musiały wam mówić: *Teraz w prawo, teraz*

w lewo, wolniej, szybciej. Dokąd ty jedziesz? Tam nie. O, już jesteśmy na miejscu.

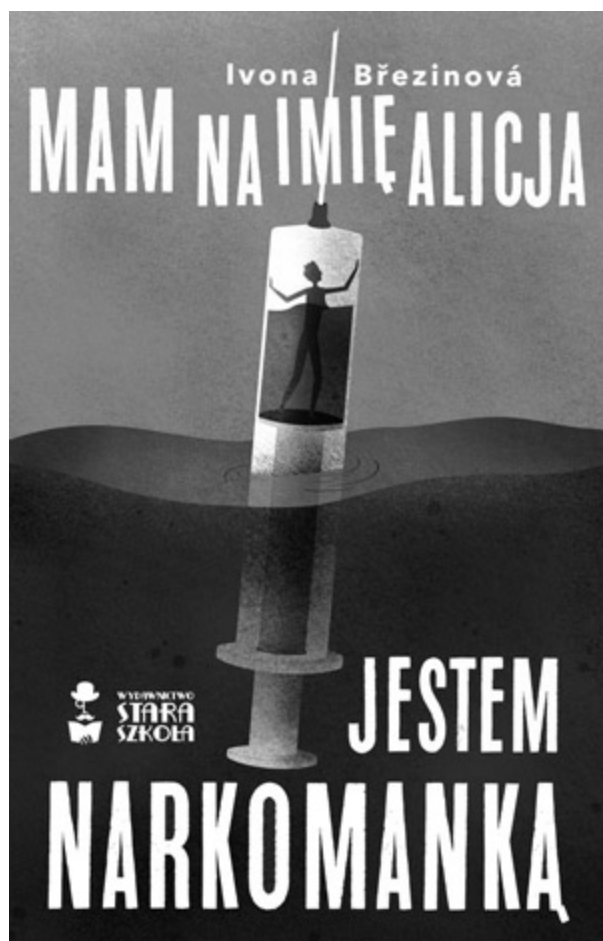
Tak, ta książka naprawdę kończy się dowcipem o penisach. Bo kiedy ma się trzydzieści dziewięć lat, penisy są jedną z niewielu rzeczy przypominających czasy, kiedy wasze życie było jeszcze coś warte.



Po śmierci ojca Eliza Caine postanawia porzucić Londyn i objąć stanowisko guwernantki w posiadłości Gaudlin Hall. W starym domu nie zastaje jednak pracodawcy.

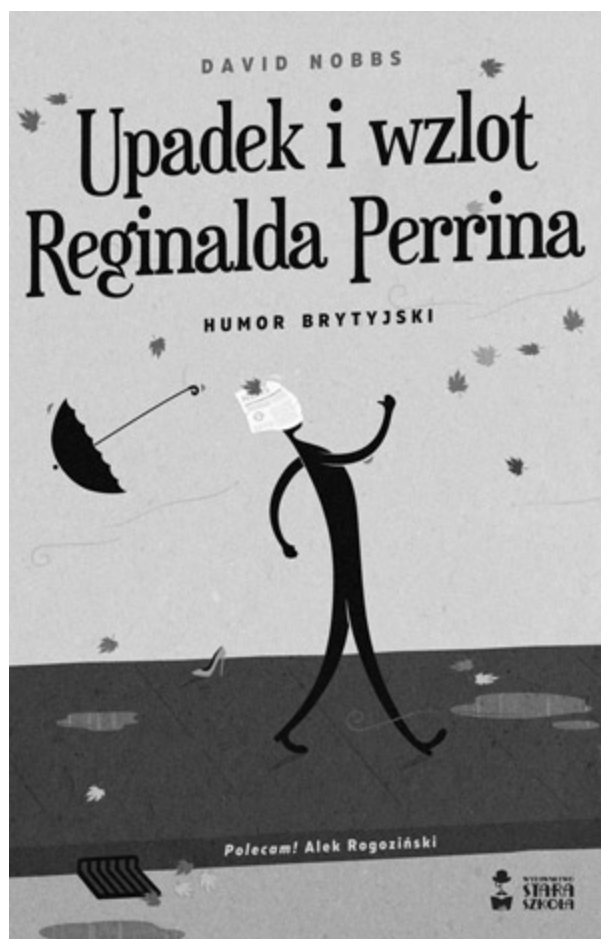
Wita ją tylko... dwoje dzieci.

Tajemnica, o której nikt nie chce mówić. Klaustrofobiczna atmosfera angielskiej prowincji. I seria wypadków wskazujących na siły nadprzyrodzone. Kiedy wychodzi na jaw tragiczny los poprzednich guwernantek, Eliza Caine pojmuję, że w Gaudlin Hall stoczy bój o życie swoje i swoich podopiecznych.



Wzorowa rodzina: matka nauczycielka, ojciec przedsiębiorca, dwoje dzieci. Jednak pozorna idylla zmienia się w koszmar, gdy córka Alicja po raz pierwszy sięga po narkotyki i wsiada na szaleńczą karuzelę kręcącą się coraz szybciej. Czy stało się tak za sprawą jednej złej decyzji, czy wieloletnich błędów uznawanych powszechnie za błahe? Jak rodzice mogą ustrzec dzieci przed narkotykami? Jak one same mogą się przed nimi bronić?

Mam na imię Alicja. Jestem narkomanką to pierwsza część trylogii pod tytułem Dziewczyny na smyczy poświęconej problemom nastolatków.



Jedna z najpopularniejszych brytyjskich komedii literackich!

Kiedy Reginald I. Perrin, pracownik Słonecznych Deserów, obudził się pewnego czwartkowego poranka, bynajmniej nie zamierzał nazwać swej teściowej hipopotamem. Lecz później wszystko uległo diametralnej zmianie.

Reggie poczuł, że musi zmienić swoje życie. Nie chciał,

by ograniczało się do nudnej pracy i przewidywalnego małżeństwa. Przewraca więc swój świat do góry nogami. Czy to pozwoli mu odwrócić złą kartę?

Brytyjski humor w najlepszym, starym stylu!



Czwarta część najpopularniejszego literackiego sitcomu ostatnich lat!

Spokój na zamku zostaje zakłócony. Personel musi zmierzyć się z falą przestępstw przetaczających się przez Kostkę.

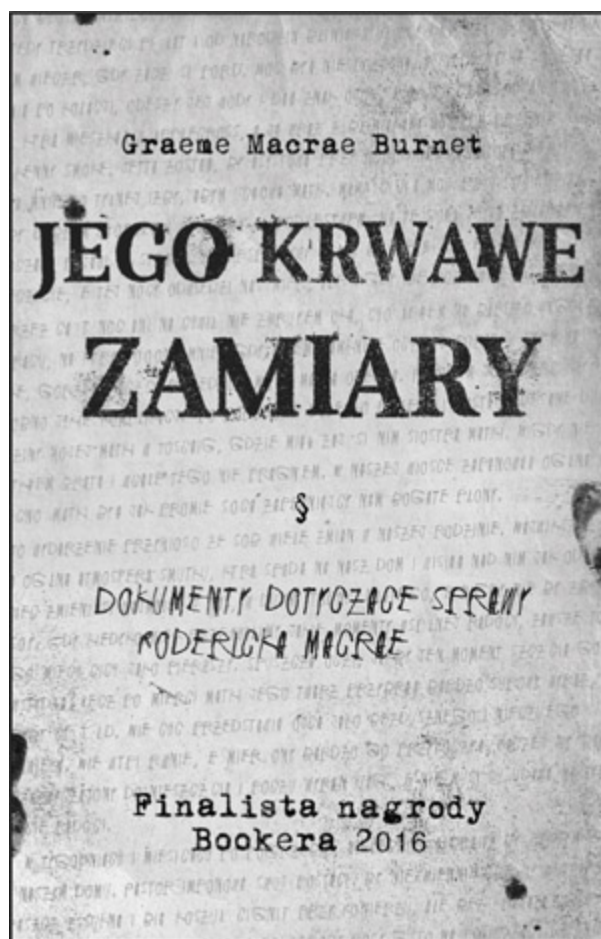
Czy w obliczu tak dramatycznych wydarzeń można zachować dobry humor? Oczywiście! Nowi bohaterowie, nowe wątki i kolejna dawka doskonałej rozrywki. Evžen Boček mistrzowsko bawi się konwencją, serwując gagi i humor sytuacyjny, za które pokochały go setki tysięcy czytelników!



Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.

Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?



Thriller psychologiczno-sądowy.

Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.

Szkocja, 1869 rok. W zapomnianej przez Boga i ludzi osadzie zostaje popełnione potrójne morderstwo. Do winy przyznaje się siedemnastoletni Roderick Macrae. Czy rzeczywiście jest odpowiedzialny za zbrodnię. Co mogło sprawić, że postanowił zrealizować swe krwawe zamiary?

Finalista Nagrody Bookera 2016

Zdobywca Nagrody Saltire 2016 w kategorii Najlepsza Powieść 2016

Zdobywca Nagrody Vrij Nederland w kategorii Najlepszy Thriller 2017

Finalista Nagrody Los Angeles Times w kategorii Najlepsza Książka Grozy 2017

Finalista Sunday Herald Culture Awards w kategorii Autor Roku 2017



Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia.

Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako... robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu

lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość?

Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

Szczelina zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką

ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!



Jakie wydarzenie najbardziej zmienia świat dorosłego mężczyzny?
Oczywiście narodziny dziecka.

Dziecko w wieku przedszkolnym to zbiór opowieści napisanych przez tatę trzyletniej Wiki. M. M. Cabicar opisuje rodzicielską rzeczywistość bezkompromisowo, czasem dosadnie, ale przede wszystkim z rozbijającą szczerością i kapitalnym poczuciem humoru. Nie zdejmuje różowych okularów nawet w najbardziej kłopotliwych sytuacjach, wychowując dzięki temu niezwykle pogodne dziecko!



Jeremiasz jest inny. Żyje w świecie, w którym dni tygodnia mają swoje kolory, a najlepszą zabawką jest zamek błyskawiczny. Jeremiasz wychodzi z domu tylko z olbrzymią pokrywką.

Jeremiaszem opiekuje się siostra Pamela. Dlaczego to właśnie ona rozumie go najlepiej? Chłopiec, jego siostra oraz ich mama przeprowadzają się do kolejnego miasta. Muszą rozpocząć życie na nowo. Czy tym razem im się to uda?

Ta pełna ciepła i humoru historia łamie serca i uczy zrozumienia.



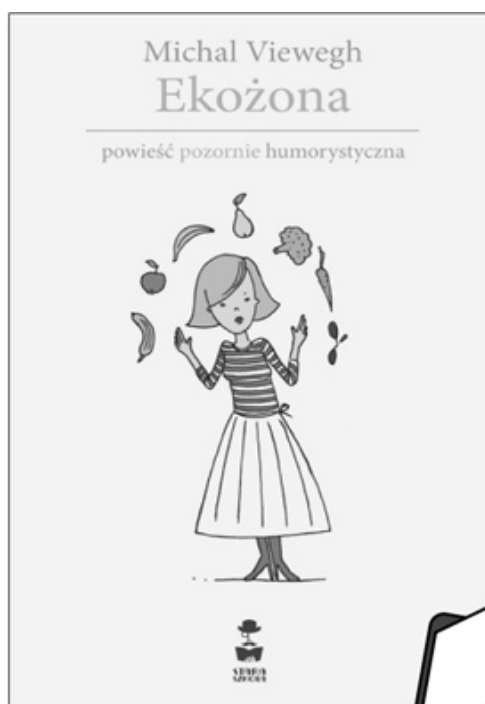
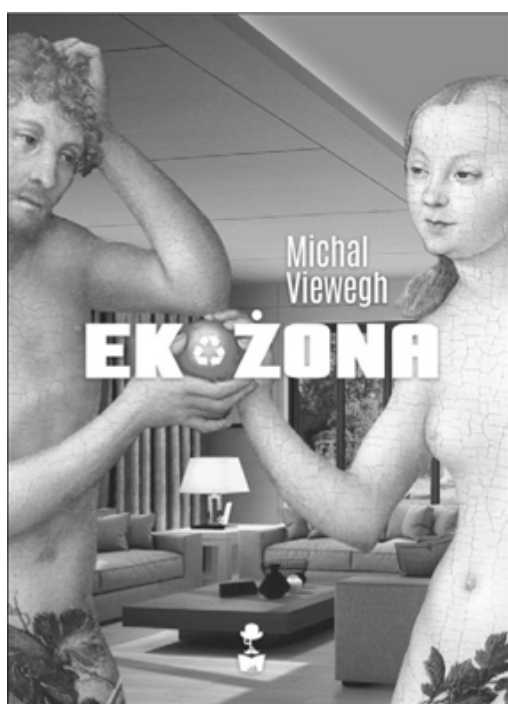
Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych

mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz... demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!



Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

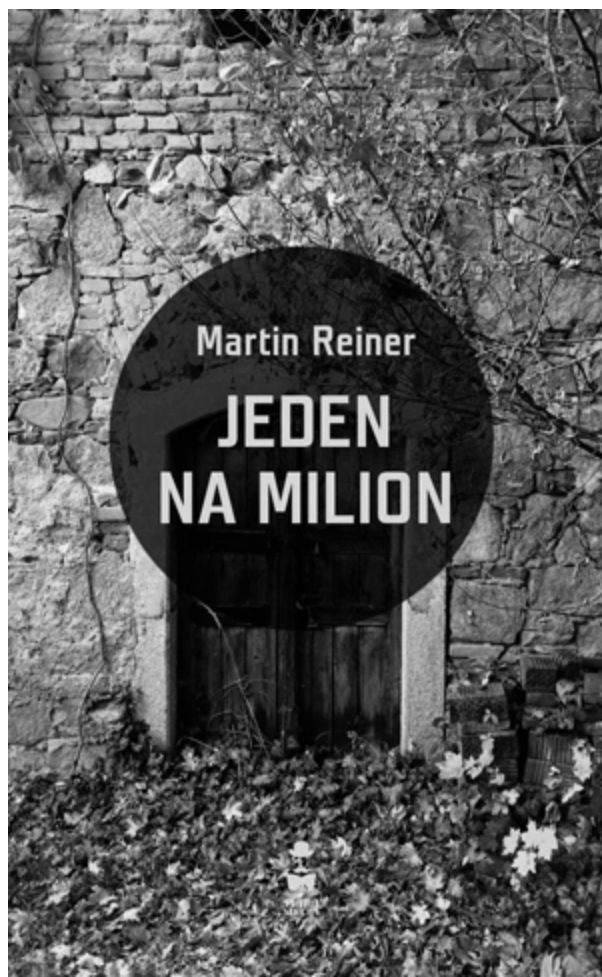
Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.



Kiedy Mojmirowi pęka aorta, jego świat oraz światopogląd ulegają gwałtownym zmianom. Mojmir zmienia się z butnego racjonalisty... no właśnie, w kogo?

W tej brawurowej narracji pełnej ciętych ripost Michał Viewegh z humorem i autoironią opowiada o byciu pacjentem VIP oraz o poszukiwaniu nowej drogi życiowej po osobistym kataklizmie.

Ekomaż to jedna z najważniejszych powieści najpopularniejszego czeskiego pisarza.



Jeden na milion to zbiór czternastu opowiadań jednego z najpopularniejszych czeskich prozaików. Martin Reiner zabiera nas na łąki pełne hipisów, na próby chóru więziennego, do Ameryki – a szerokiemu wachlarzowi tematów towarzyszą różnorodne formy literackie. Lektura dla smakoszy!



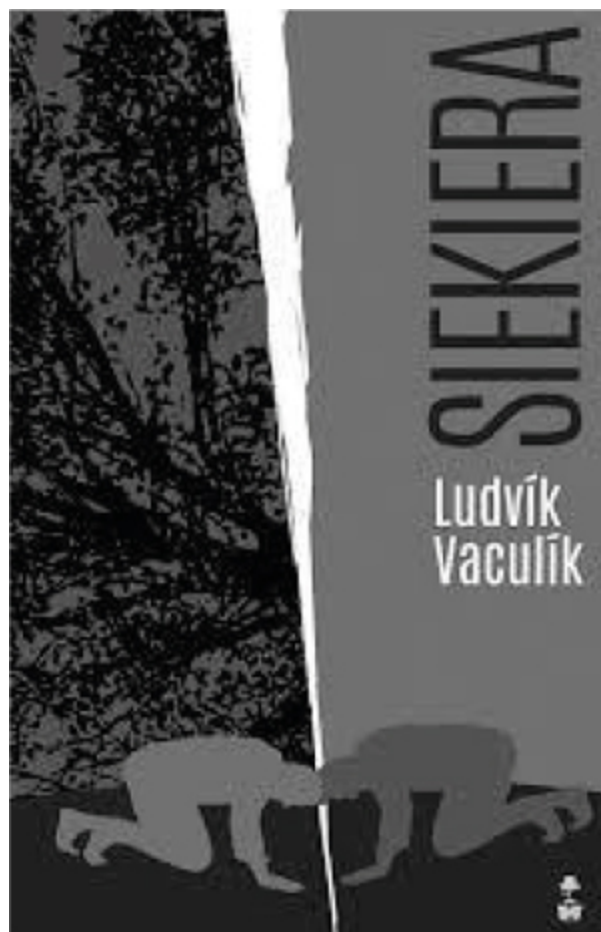
MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?



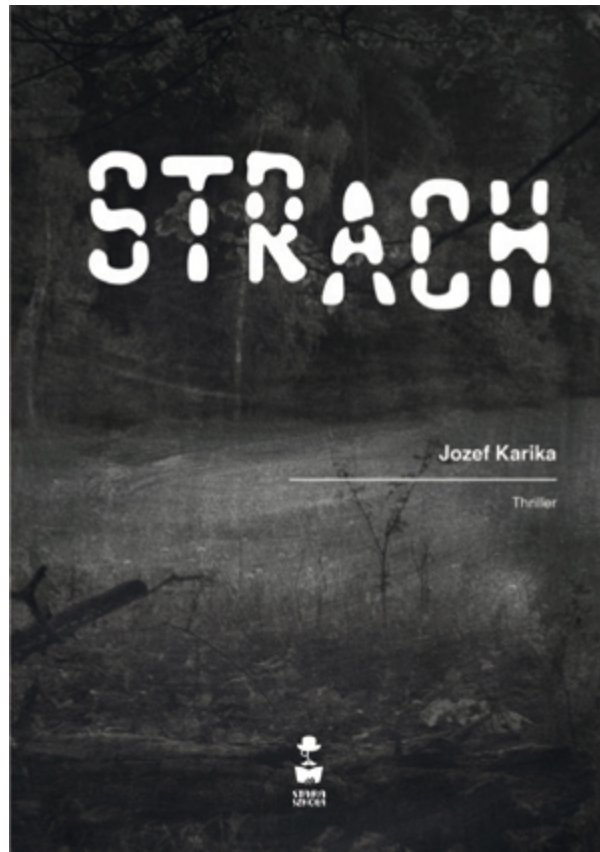
Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)



Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

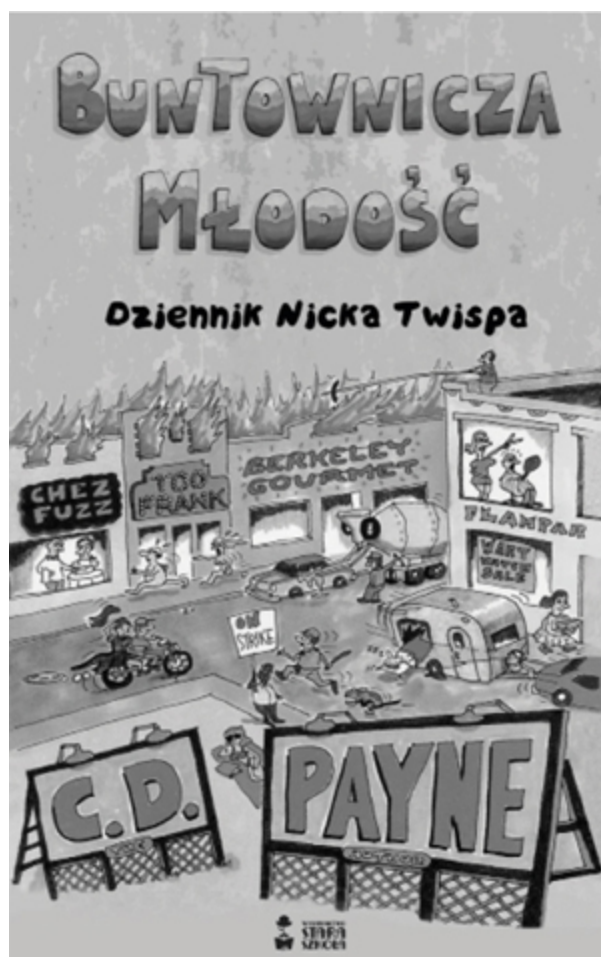
Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.



Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jožo Karski powraca do rodzinnego Ružomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.

Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają zniknąć dzieci.



Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.



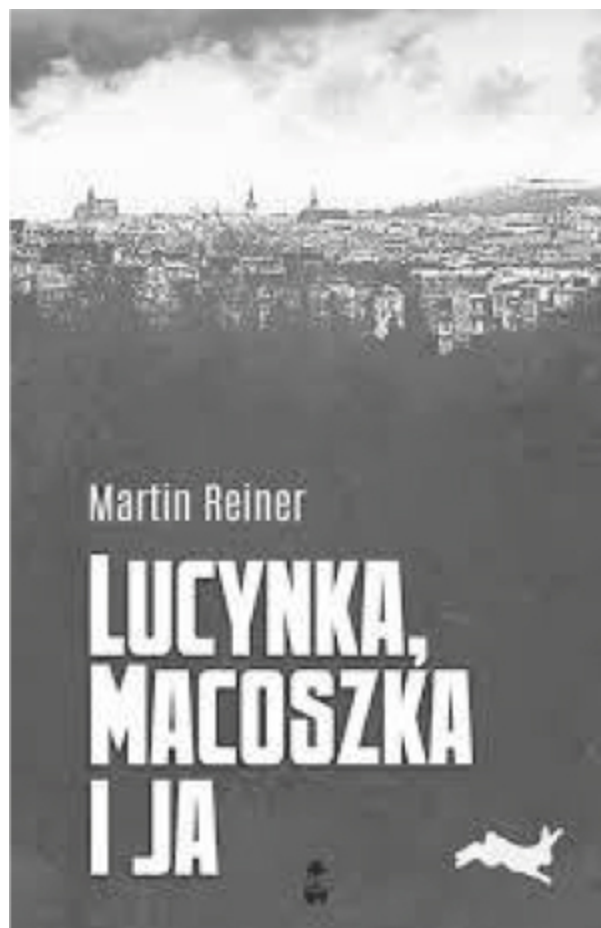
Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces. To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłagane się zatrzyma?

Ota Pavel
Puchar od Pana Boga



Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.



Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)



Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.

Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Miloš Čermák

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

CZĘŚĆ DRUGA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

Luděk Stanek

CIEŻKIE ŻYCIE CZTERDZIESTOLATKA

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Přišel Bůh do kavárny v Karlíně...*

Copyright © Miloš Čermák, Luděk Staněk, 2018

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2020

All rights reserved

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski

Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw

Korekta: Ewa Żak

Projekt okładki: Radosław Bączkowski

Ilustracje: Miloš Čermák

Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

biuro@stara-szkola.com

www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-27-8

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek